

ODRODZENIE NARODU
PRZEZ WIARĘ I MIŁOŚĆ

HR. MICHAŁ SOBĄSKI

ODRODZENIE NARODU
PRZEZ WIARĘ I MIŁOŚĆ

ZBIÓR ODCZYTÓW I ARTYKUŁÓW

KRAKÓW 1926
WYDAWNICTWO KSIĘŻY JEZUITÓW



85954

2
| 0

*Pamięci kochanych Rodziców,
po których odziedziczyłem łaskę i szczęście Wiary,
tę pracę moją poświęcam.*

*Wdzięczny syn
MICHAŁ SOBAŃSKI.*

*Guzów, 30 marca 1926 roku,
Środa Wielkiego Tygodnia.*

*„Nie drwicie sobie, że mój głos już stary,
Mało w nim sztuki, ale dużo wiary.
Śpiewam, co w sercu mam”.*

Aleksander Fredro.

OD WYDAWNICTWA.

Postanowiliśmy zebrać w jedną całość odczyty i artykuły, które Czcigodny Autor wygłaszał lub drukował w ciągu kilku tych lat życia niepodległej Polski.

Tłómaczy się on sam w swojej chrześcijańskiej skromności, że w nich nic oryginalnego nie powiedział ani nie napisał; my jednak musimy wskazać na to, co jest w tych przemówieniach charakterystyczne i Czcigodnemu Mowcy właściwe.

Jest to, najpierw, przewodnia myśl, przez wszystkie jego przemówienia czy artykuły przewijające się przekonanie, że odrodzenie narodu naszego nie da się osiągnąć inaczej, jak przez wiarę katolicką i miłość po chrześcijańsku pojętą. Z tej przewodniej myśli uczyniliśmy tytuł niniejszej książki.

Powtóre, jest to siła przekonania, z jaką wygłasza to, co uważa za zbawienne dla Polski, jak również głębia jego miłości Ojczyzny. Te silne akcenty tłumaczą zapał, jaki Czcigodny Mówca potrafi wzbudzać w duszach słuchających.

Te cechy charakterystyczne przemówień Hr. M. Sobańskiego usprawiedliwiają aż nadto niniejsze książkowe ich wydanie i nadają im szczególną aktualność zwłaszcza w tym czasie, kiedy tyle się mówi o »odrodzeniu moralnem« narodu. Niektóre poszczególne myśli tych przemówień może już nieco straciły bezpośredni związek z życiem dzisiejszej chwili, który miały wtedy, gdy były mówione; inne, nieliczne, są wyrazem osobistych Autora politycznych zapatrywań; całość będzie napewno pożądanym wkładem do naszej literatury odczytowej i będzie, mamy nadzieję, mile przyjętą zwłaszcza przez rozmaite stowarzyszenia katolickie.

WSTĘP.

Podobno Henryk Rzewuski raz zapytany, czy grywa na fortepianie, odpowiedział krótko: »nie wiem«, a widząc, że pytający nie zrozumiał jego odpowiedzi, tak się tłumaczył: »Na skrzypcach, wiem, że nie gram, bo próbowałem i nic wygrać nie potrafiłem, ale, czy gram na fortepianie, dotąd nie wiem, bo nigdy jeszcze nie spróbowałem«.

Chyba nikogo nie zdziwi, że ja byłem bardziej sceptyczny od autora »Listopada« w ocenianiu, a priori, moich przyrodzonych zdolności. Więc, chociaż nigdy nie próbowałem oratorskiego kunsztu, nie przychodziło mi nawet do głowy, abym na starość mógł z katedry przemawiać.

Jeśli dziś piszę przedmowę do zbioru moich odczytów i artykułów, zawdzięczam to, nie mojej odważnej zarozumiałości, ale owszem pokornemu posłuszeństwu. Mam zaszczyt należeć do Towarzystwa imienia Piotra Skargi i tylko z polecenia i na odpowiedzialność Przewodniczących tego Towarzystwa, na termin i na temat przez nichznaczony, pisałem i przemawiałem.

Jak inicjatywa, tak i treść tych przemówień nie do mnie należą, więc nie moją są zasługą. Mojego bardzo mało w tej książce, a jednak może jeszcze za wiele. Kiedy chodzi o głoszenie prawd odwiecznych, trudno jest nawet najgłębszemu filozofowi, najgenialniejszemu uczonemu, najzdolniejszemu pisarzowi, powiedzieć coś nowego, a cóż dopiero temu, który ani filozofem, ani uczonym, ani literatem nie jest.

Od Mojżesza do Chrystusa zasadnicze prawdy wiary i moralności wypowiadali natchnionemi usty patriarchowie i prorocy, a od przyjścia na świat Zbawiciela, od kiedy na Jego uczni zstąpił Duch Światłości, prawdy te, w całym przepychu ich piękna, w całym bogactwie ich nadprzyrodzonych i życiowych wartości, głoszone są od dwudziestu wieków, pisane krwią męczenną po całej kuli ziemskiej. Kto szczerze chce tej prawdzie służyć, tę

prawdę szerzyć, kto kocha prawdę, a nie siebie tylko, ten, mimo woli, staje się naśladowcą, plagjatorem.

Świat jest tak stary, mowa ludzka tak spracowana i zużyta, że nawet w kłamstwie trudno dziś być nowatorem, a cóż dopiero głosząc prawdę, która jest jedną, niezmienną, odwieczną. Francuz mówi: »et on imite quelqu'un lorsque on plante des choux«. Ja też, bez skrupułów, czerpałem z chrześcijańskich autorów, bo chodziło mi, nie o oryginalność mego stylu, ale o rozwój, o pogłębienie kultury katolickiej, bardzo opóźnionej w naszym kraju.

Państwa, które dokonały zbrodni rozbioru, czuły to dobrze, że pod grobowym głazem Polska wciąż żyje i żyć nie przestanie, dopóki nie nastąpi rozkład jej ducha. Duch jej żył wiarą. I dlatego odgradzono nas od Rzymu, tego źródła siły naszej i najświętszej tradycji kultury narodowej. Dzisiaj panujący u nas zamęt myśli, obniżenie pojęć etycznych to tylko skutki niewoli, z których wyleczyć się trzeba jak najprędzej, a lekarstwem może być jedynie religja, ale religja oświecona, żywa, przenikająca umysł, hartująca wolę, uszlachetniająca czyn każdy. Ona tylko da odpowiedź jasną na wszystkie pytania życiowego Sfinxa, ona wypłeni egoizm osobisty i partyjny, da zdrową i mądrą radę we wszystkich sprawach czy to życia rodzinnego, społecznego, czy politycznego. Ona stanie się sprawdzianem każdej głoszonej teorii, nawet pozornie nic wspólnego z religją nie mającej, bo myśl Boża cały świat prznika i kto, bez jej światła, bada zjawiska przyrody, czy potrzeby ludzkości, ten zbłądzi. Kultura religijna ułatwi odpowiedź w każdej dziedzinie wiedzy, lub czynu, nigdy nie skłamię, nigdy nie oszuka.

Jeśli w budowaniu Polski panuje taki niepokojący, taki gorszący chaos, nieład, taki brak linii wytycznej, ciągłości, jeśli Polska nie ma dzisiaj kredytu, pieniędzy, jeśli rząd polski nie otoczony jest szacunkiem, nie ma moralnego autorytetu, siły, stanowczości, odwagi w walce z czynnikami rozkładu, jeśli Polska nie budzi w państwach Zachodu ani życzliwości, ani zaufania, te braki są wszystkie wynikiem jednego zasadniczego braku — braku dogmatu. Polska dzisiejsza, a bardziej jeszcze ta rządząca, niż ta rządzona-Polska... to Płoszowski. Gdybyśmy zamiast wieńców, złożonych na trumnie Sienkiewicza, dogmat położyć chcieli pod fundament życia rodzinnego i państwowego, dowiedlibyśmy sobie i światu całemu, lepiej niż przez najwspanialsze manifestacje po-

grzebowe, że umiemy cenić naszych wielkich ludzi, korzystać z ich nauki, że oni są kwiatkiem rodzimej naszej kultury.

Towarzystwo imienia Piotra Skargi postawiło sobie za zadanie iść śladem wielkiego kaznodziei i wierząc, że Polak mądry będzie po szkodzie, wskazywać jemu to hasło zwycięstwa, jakim jest Krzyż Chrystusowy, ten kodeks cywilizacji i postępu, jakim jest dekalog, to źródło siły i świętości, jakim są Sakramenta. Powtarzać postanowiliśmy, za Skargą, że najpotężniejszym i jednocześnie najwierniejszym sojusznikiem narodu naszego był, jest i będzie Kościół rzymsko-katolicki. Aby te prawdy uczynić dostępnymi, nie mogłem czerpać z mojej pustej głowy: »Ex nihilo nihil fit«. Śmiała więc ręką zgarniałem myśli autorów katolickich, często nie cytując ani dzieł, ani nazwiska pisarza, bo szczerne myśli podnoszą, porywają, a w cytatach się grzęźnie. Dziś jednak, kiedy znaleźli się odważni wydawcy moich przemówień i to, co było lotnem słowem, ma być drukiem zaprotokółowane, ja... stchórzyłem i sumienie nie pozwala mi rękopisu oddać do druku, bez odbycia uprzednio generalnej spowiedzi, tembardziej wskazanej, że te słowa piszę około »Wielkiej Nocy«. »Verba volant, scripta manent«.

Wyznaję zatem, że wszystkie myśli, zdania »in extenso«, czasem całe rozplanowanie odczytu, są wzięte żywcem z autorów, których tu poniżej wyliczę, zatem są: nie moje. Jeśli przy każdym poszczególnym ustępie nie wymieniałem skąd jest zaczerpniętym, co byłoby nie tylko najwłaściwszem, ale najuczciwszem, takiej restytucji nie czynię dla dwóch powodów. Pierwszy powód, to obawa, że tekst upstrzony wciąż powtarzającymi się odnośnikami, stałby się nieznośnym dla czytelnika, wciąż przerywając tok myśli; ale jest drugi powód, jeszcze ważniejszy: mam w notatkach moich spis czytanych autorów i ten podaje, ale samych dzieł, łaskawie mi pożyczonych, nie mam już dziś pod ręką i nie mógłbym powiedzieć którego autora, w jakim ustępie, okradam. Niechaj dla nich zadośćuczynieniem służy niniejsze oświadczenie, że wszystko co wartościowego, trafnego, zdrowego jest w tej książce, im zawdzięczam. Moją jest tylko chęć spopularyzowania, na korzyść najszerszych sfer społeczeństwa naszego, ich wiedzy, talentu, ich wiary i miłości Boga i bliźniego.

Kogo książka ta usposobi do szukania w doktrynie katolickiej zadawalniającej odpowiedzi na wszystkie zagadnienia spo-

leczne, kto w nauce Kościoła zapragnie znaleźć lekarstwo na dzisiejszą niemoc Polski, niechaj czyta raczej którekolwiek z wymienionych poniżej dzieł, a daleko więcej pociechy i korzyści odniesie, bo czerpać będzie bezpośrednio w wartkim potoku życiodajnej kultury katolickiej. Mój elaborat jest tylko miksturą. Chciałem w nią scedzić najprzedniejsze lecznicze pierwiastki dla polskiego społeczeństwa. Esencje są szlachetne, ale mieszanina — niezdarna.

Splaciwszy dług prawdzie, bo to sobie winienem, muszę splacić jeszcze dług inny. Mało bardzo dzieł sam posiadałem, lub nabyłem, te, które cytuję, przeważnie dostarczyła mi Biblioteka Wiedzy Religijnej, założona i prowadzona osobiście przez hrabinę Irenę Józefową Tyszkiewiczową. Wystarczyło mi wymienić tytuł zamierzonego odczytu, aby otrzymać do każdego z nich obfity i zawsze trafnie dobrany materiał źródłowo-informacyjny. Za tę życzliwą, a tak skuteczną pomoc składam fundatorce hold wdzięczności mojej.

Wykaz autorów i dzieł, przy pomocy których opracowywałem moje odczyty:

Autorzy polscy.

- 1) Piotr Skarga: *Kazania sejmowe*.
- 2) Ks. Arcybiskup Bilczewski: *Charakter*.
- 3) Pani Jenerałowa Zamojska: *O wychowaniu*.
- 4) Hrabianka Cecylja Plater-Zyberkówna: *Ideal a młodzież*.
- 5) " " " *Na przelomie*.
- 6) " " " *Na progu małżeństwa*.
- 7) Ks. Stan. Podoleński T. J.: *Rozwód a zdrowie narodu*.
- 8) Henryk Konic: *Prawo o małżeństwie*.
- 9) Ks. K. Biszyga T. J.: *Rozwody*.
- 10) Profesor Gołąb: *Przedmowa do projektu Komisji sejmowej o ślubach cywilnych i rozwodach*.

Polskie tłumaczenia dzieł z innych języków.

- 11) O. Felix T. J.: *Postęp przez chrześcijaństwo*.
- 12) Ks. Biskup Bougaud: *Chryścjanizm i czasy obecne*, tłumaczone z francuskiego przez J. Bitnerową.
- 13) Fr. Foerster: *O wychowaniu obywatelskiem*, tłumaczone na polskie przez Dr. Józefa Kretza.

Dzieła francuskich autorów.

- 14) Prof. Amédé de la Margerie: *De la Famille.*
- 15) Bonald: *Le Divorce.*
- 16) Mgr. Charles Gibier: *Famille.*
- 17) „ „ „ *Désorganisation de la Famille.*
- 18) R. P. F. A. Vuillermont: *Les Divertissemens et la Conscience chrétienne.*
- 19) Alfred Naquet, ministre: *La loi sur le divorce de 1848.*
- 20) L'Abbé Henry Bolo: *Du Mariage au Divorce.*
- 21) „ „ „ *Les mariages écrits au ciel.*
- 22) „ „ „ *Les mariages de demain.*
- 23) Mgr. Gillet, dominicain: *L'Eglise et la Famille.*
- 24) Abbé de Gibergues, Supérieur des Missionnaires diocésains de Paris: *Devoirs des hommes envers les femmes.*
- 25) Paul Bureau, professeur de l'Université libre de Paris: *L'Indiscipline des mœurs.*
- 26) Mgr. d'Hulst: *La morale de la Famille. Conférences de Notre Dame à Paris.*
- 27) L'Abbé Vitali: *La Famille Catholique*, traduit de l'Italien.
- 28) *Le Code bolchevique du Mariage*, traduit du Russe. Edition de la Sirène à Paris.

Pierwsze przemówienie, jako prezesa Towarzystwa im. Piotra Skargi w 1921 roku.

Zaszczyt niezasłużony. Nie wiem, czy mam prawo się cieszyć, nie wiem nawet, czy się cieszę. Jeśli będę złym prezesem i szkodę przyniosę Towarzystwu, cierpieć będzie na tem moja miłość własna. Mniejsza o nią. Ale cierpieć także będzie moja miłość do Towarzystwa imienia Piotra Skargi, a tę miłość kocham w sobie, szanuję ją i nie chcę jej ubliżyć. Uprzedzam Was zatem, Szanowni Panowie i Panie, że wybór dzisiejszy przyjmuję warunkowo i rachuję na to, że zostanę przez Was szczerze ostrzeżonym, gdybyście z działalności mojej nie byli zadowoleni, lub gdyby bezczynność moja Was gorszyła. Uwagi Wasze przyjmę z wdzięcznością, bo będę w nich widział wiarę Waszą w moją dobrą wolę i miłość Waszą dla celów Towarzystwa, tę miłość, która nas tu zebrała i ma być w przyszłej pracy naszą spójnią.

Gdyby jutro, lub za miesiąc, zjawił się ktoś, któryby mógł i chciał zająć zaszczytny ten urząd, a wydał się Panom lepszym, szczęśliwym będę złożył z siebie odpowiedzialność w ręce zdolniejsze i bardziej zaufane.

Na to, by Towarzystwo nasze nie uwłaczało tytułem swoim imieniowi tego proroka i apostoła, tego wielkiego patryjoty i świętobliwego kapłana, tego mądrego męża stanu, myśliciela i moralisty, tego, który świecił cnotą zawsze tak rzadką, a tak prawie nieznaną u nas, odwagą cywilną, na to by nie wzywać tego wielkiego imienia nadaremnie, musimy wysoko nastroić. Jemu do wtóru, serca, umysły i dusze nasze.

A wobec tego, cóż mi daje prawo, już nie zasiadać, ale przewodniczyć w tem zebraniu? Nie chcę jednak, ani przeceniać swych zdolności, ani ich nie doceniać. Bojaźń Bożą, ten początek mądrości, czuję w sobie. Wiem także o prawdzie słów Mickiewicza, kiedy mówi, że:

»Na silnych fundamentach wielki gmach stać może
I wielki rozum — tylko na wielkiej pokorze».

Tę wielką pokorę, więcej niż kiedykolwiek, dzisiaj w sobie wyczuwam, mam zatem ten początek, ten fundament mądrości; prócz niego... ani cegiełki. Tak, w sobie nic. Ale około siebie widzę Was, szanowni Panowie i Panie, kochani towarzysze moi. Wy stanowić będziecie ten czynnik budujący, który sprawi, że piętro za piętro wzniesiemy nad ziemią ojczystą wysoki gmach kultury chrześcijańskiej, dążąc do tego, by prawo Boże stało się w kraju naszym regulatorem życia każdego z nas, każdej rodziny naszej, społeczeństwa i państwa.

Polityki prowadzić nie będziemy i nigdy Towarzystwo Piotra Skargi nie będzie domagać się dla Polski króla, albo prezydenta, zostawimy troskę o to politycznym działaczom, ale to musimy sobie dziś obiecać, że wyteżymy wszystkie siły umysłu i woli, całą gorącość serca, że oszczędzić nie będziemy czasu, ani mienia, zdrowia, ani życia, by bronić praw Matki Najświętszej do wszechwładnego królewskiego panowania w duszach naszych i na ziemi naszej.

Mądry Polak po szkodzi. Nie słuchaliśmy proroka, którego nam Bóg zesłał i ukarani zostaliśmy półtorawiekową niewolą. Dziś skończyła się kara. Weszliśmy na niwy miłosierdzia. Słońce zmartwychwstania nam świeci. Stańmy się godnymi tego cudu. Niechaj w tę pierwszą wiosnę na ścierniska, na odłogi, na ugory ojczystej kultury wyjdą liczni pracownicy, ludzie dobrej woli; niech głęboko przeorzą zdziczałą, chwastami porośłą ziemię. Niech w nią rzucają zdrowe ziarna wiary, nadziei i ofiarnej miłości.

Bóg w najcięższych chwilach niewoli i ucisku nie pozbawił nas powszedniego chleba. Dlatego też, choć we łzach i cierpieniu, dotrwaliśmy do dnia Zmartwychwstania. Ale »myśli z nieba« tej brakowało narodowi, bo wrogowie ducha polskiego odgradzili nas, prawdziwie chińskim murem, od tego źródła naszej moralnej kultury, od Rzymu. Rozwalmy ten mur, przytulmy się do Piotrowego tronu, przywiążmy silnemi węzły państwową nawę naszą do holowniczej Piotrowej łodzi i bądźmy, jak dawniej heroldami dobrej nowiny dla Wschodu.

Dwie są dziś tylko siły na świecie, walczące z sobą. Nienawiść, ta córka szatana, która woła: proletariusze wszystkich kra-

jów, łączcie się, by burzyć, by niszczyć, i druga siła — religja, która woła na nas: »łączcie się, by kochać, by poświęcać się, by budować«. »Przyjdźcie do mnie wszyscy, którzy pracujecie i obciążeni jesteście, a Ja was wspomogę«. My opowiadamy się przy tem Pospolitem Ruszeniu miłości i wiary. Ale na to, by praca była wytrwałą, skuteczną, płodną, rozumną, musimy sami silnie wierzyć. Musimy dawać przykład gorącej miłości Boga i ludzi, musimy wreszcie niewiele ufać sobie, a bezgraniczną mieć ufność w pomoc i błogosławieństwo Boże.

»Niech się z nas każdy doliną położy,
A wnet po niej, jak rzeka, popłynie duch Boży«.

Tak Panowie i Panie, kochajmy tę służbę Bogu i Ojczyźnie.

Polski zasługą i zaszczytem była nazwa »Przedmurze Chrześcijaństwa«. Dziś więcej niż kiedykolwiek Europa takiego przedmurza potrzebuje, ale to przedmurze spełni swoje zadanie tylko wtedy, jeśli stanie się twierdzą wiary katolickiej, a nie pasem neutralnym. Kochajmy tę służbę miłością czynną, szczerą i wytrwałą.

Niech każda sesja będzie pracą twórczą.

Ci młodzi bracia nasi, którzy krew leją na Kresach, niech nam będą przykładem i podniętą. Oni młode życie składają w ofierze dla obrony fizycznych granic Polski, a my, którym wiek nie pozwala na tego rodzaju czyn ofiarny, poświęćmy przynajmniej pracę naszą, bo chodzi tu o życie i zdrowie moralne kochanej Ojczyzny.

Siedziba Towarzystwa imienia Piotra Skargi przenosi się z bohaterskiego Lwowa do stołecznej Warszawy. Niech to będzie jedną z oznak i dobrą wróżbą ścisłej spójni między dzielnicami Ojczyzny, spójni dokonanej przez ten właśnie czynnik, który najsilniej spaja — przez religję. Niech Warszawskie Towarzystwo przechowuje ze czcią pamięć zasług położonych przez lwowskich inicjatorów, przodowników i pracowników tej instytucji i niech okaże się godnym spadkobiercą ich przewodniej myśli.

Wzywając pomocy i błogosławieństwa Bożego nad przyszłą działalnością naszą, rozpoczynamy dziś pracę Towarzystwa imienia Piotra Skargi, w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Przemówienie na pierwszym Organizacyjnym Zebraniu Zjazdu Katolickiego w Warszawie 23 stycznia 1921 r.

Nie czułbym się na siłach sprostać tym obowiązkom, ani dotąd zrozumieć mogę czem zasłużyłem sobie na tak wielki zaszczyt. Ponieważ jednak nie wspinałem się po tę godność, ale ona sama do mnie przyszła i, jak każda łaska Boża, przyszła darmo i z góry, przyszła od prawowitej władzy duchownej, ponieważ ta nominacja powołuje mnie, nie do panowania, ale do służby Bożej sądzę, że otrzymam, wraz z godnością, potrzebną siłę i światło, byłem nie sobie ufał, a świętości sprawy.

W tę pomoc Bożą ufam i mam nadzieję, że potwierdzenie mojej wiary znajdę dziś w oczach, w sercach słuchaczy, że całe zgromadzenie przykłaśnie z radością zamiarowi zwołania zjazdu.

Do honorowego prezydium zaprosimy liczniejszy zastęp ludzi, którzy przywiązaniem do wiary katolickiej i wybitnymi zasługami w społeczeństwie, zalecają się na patronów i opiekunów powziętej myśli, aby ich imiona, powszechnie szanowane, zdobyły zaufanie i otoczyły życzliwością naszą pracę organizacyjną.

Ale, prócz tego aeropagu dobrze zasłużonych, potrzebujemy pracy takich, którzy zasłużyć się pragną dobrej sprawie, szukamy dobroczynnych pszczołek, pracowitych mrówek, potrzebujemy kilkudziesięciu, a może parę setek ludzi dobrej woli, a cichej ofiarnej pracy, żeby spełniali w tej służbie Bożej obowiązki Marji i Marty, misyjno-apostolskie i gospodarczo-administracyjne.

Podzielić się tu muszę dobrą nowiną: Jego Eminencja Ksiądz Kardynał dał nam, w swoim pałacu, cztery pokoje na biura Komitetu Organizacyjnego, ale pokoje były nieumeblowane. Udałem się do wielkich magazynów mebli, pragnąc u nich wynająć choćby najniezbędniejsze przedmioty, ale oni, dowiedziawszy się, że chodzi tu o organizację Zjazdu katolickiego, z największą

życzliwością, nie tylko dali bezinteresownie znaczną ilość mebli, ale przewieźli je i wnieśli do lokalu biura, odmawiając wszelkiego wynagrodzenia, nawet za kosztą przewozu. Wdzięczność każe mi publicznie złożyć tu podziękowania firmom: Orthwein na Mazowieckiej, Szczerbińskiego na placu Małachowskiego i Wędrychowskiego na ulicy Brackiej. Firma Gerlach dała nam maszynę Underwood'a, firma Winiarskiego ofiarowała obfity materiał piśmienniczy i biurowy. Mam też i inne dowody bezinteresownej ofiarności pracy, które są dla mnie dobrą i radosną wróżbą, ale których wymienić mi nie pozwolono.

Zamierzamy utworzyć następujące komisje: a) organizacyjną, b) adresowo-korespondencyjną, c) gospodarczo-finansową, d) mieszkaniową, e) programowo-referatową, f) obchodową, g) biuro prasowe i informacyjne, h) sekretarjat ogólny. A może wypadnie zwiększyć jeszcze ilość komisyj, niektóre zaś zapewne będą musiały rozdzielić się na podkomisje.

Aby rekrutować pracowników, pozwoliłem sobie zaprosić wszystkie sodaliczki i stowarzyszenia katolickie, bo w ich gronie pewny byłem znaleźć poparcie i siły wdrożone do pracy organizacyjnej. Czy zaprosiłem wszystkie katolickie organizacje? Czy żadnej jednak nie opuściłem? Gdybym opuścił, proszę wybaczyć. Z trudnością zdobyłem adresy. Czasu nie było. Pracowałem w największym pośpiechu. Zadaniem Zjazdu, chwałę Bożą mającym na celu, jest łączyć, a nie wyłączać. Jego Eminencja przysłała nam błogosławieństwo swoje, o ile pracować będziemy w zgodzie i miłości. Ufam, że zasłużymy sobie na to błogosławieństwo. Najmilszą nagrodą za trudy będzie dla mnie uczucie, że łączy nas, nie tylko umiłowanie celu, ale miłość wzajemna. Po tem poznają, żeśmy synami Bożymi i pójdą za nami.

Jeśli sama idea Zjazdu zyskała poparcie ogółu, ale Zjazd mógł się nie udać z powodu, że przewodniczący nie posiada zaufania ogółu, szczęśliwy będę ustąpić z tego stanowiska i pracować jako szeregowiec, byle tylko przynieść korzyść a nie szkodę zamiarom Jego Eminencji. Jeśli jednak nominacja moja będzie przez was, Szanowni słuchacze, przyjęta życzliwie, wtedy wyciągnę śmiało ręce do wszystkich zdolności waszych. I wszystko co macie, czy umysł światły i naukę, czy dar krasomówstwa, czy czas i pracę, czy gotówkę, wszystko dawać powinniście hojnie, bo potrzeby są wielkie, a cel jest święty.

A teraz pomówmy czego się od Zjazdu spodziewamy i dla czego sądzimy, że jest potrzebny.

Zjazd potrzebny na to, by Polska poczęła życie od Boga. Poganin i niedowiarek wierzy w gusła, w kręcone stoliki, ma przesady. On drży o powodzenie dnia całego, jeżeli z łóżka wstaje, lub z domu wyjdzie lewą nogą. My — chrześcijanie, którzy wierzymy w Boga, dzień zaczynamy od znaku krzyża świętego, a Polska, chrześcijańska, po półtorawiekowym śnie grobowym wstaje do nowego życia. Niech Zjazd Katolicki będzie tą pierwszą Jej czynnością, tem świadectwem, że pamięta o swoim opatrnościowem posłannictwie. Ten Zjazd niech będzie Jej przeżegnaniem się. Niech rozpocznie życie w Imię Ojca i Syna i Ducha Świętego.

Zjazd katolicki. potrzebnym. jest. abyśmy się policzyć mogli i szeregować. Stanie się on niejako rewją, nietylko sił naszych, ale i potrzeb duchowych. On nauczyć nas może, żeśmy większością, że, pragnąc, nie własnego partyjnego dobra, ale chwały Bożej i dobra Ojczyzny, mamy prawo głosu odważnego i decydującego. Nie śmieliśmy często płynąć przeciwko prądowi, ale kiedy się przekonamy, że katolicy w Polsce są prawowitymi gospodarzami w kraju, nie będziemy potrzebowali wysilać się pływaniem pod prąd, bo prąd wytworzymy sami, tak silny, że dotąd obojętni, że przeciwnicy nawet będą nim porwani. Umilkną wtedy głosy tych gorszycieli, którzy pozwalają sobie, w imieniu ludu, narzucać Polsce prawa bezbożne, na szkodę tego ludu; ocknie się lud polski i zrozumie, że ci, którzy się dotąd opiekunami jego mianowali, są samozwańcami i szkodnikami. Jesteśmy większością, szanować chcemy wolność mniejszości i jej prawa do życia, jej wiarę, czy niewiarę nawet, ale prosimy o wzajemność i nie damy im obrażać uczuć naszych najświętszych. Nie możemy wygnąć Boga z prawodawstwa, ze szkoły, z życia rodzinnego, by się stało zadość ich despotycznej nietolerancji.

Zjazd jest potrzebny, bo uczą nas wszyscy praw naszych, nikt nie uczy obowiązków. Posiedliśmy pełnię praw. Jaka to radość, jaka łaska Boża, ale też jaka odpowiedzialność. Czy wiemy o tem, że z prawami razem rosną i olbrzymieją nasze obowiązki, a jeśli o tem nie wiemy, wolność stać się może dla nas trucizną, bo wolność bez Boga to swawola, to

rozbój, to anarchja, to terror. Niedaleko szukać. Niejeden z nas ma jeszcze w oczach strach widzianych zbliżonych skutków bezbożnej wolności, a wielu na własnej skórze ją odczuło. Kiedy religja nie trzyma go na wodzy:

»Nie wolności dotąd człowiek,
do wolności wstało zwierzę«.

My, którzy chcemy w Ojczyźnie naszej wolności dla wszystkich równej, niedokuczliwej innym, wolności dla dobrych, a nie dla drapieżników, musimy iść ku niej z Bogiem i pod sztandarem religji.

W pozagrobowym życiu naszym religja była tym cudownym balsamem, który ciało Polski rozczwartowanej ochronił od rozkładu, który ducha w nas krzepił, ale wtedy wiedzielibyśmy tylko, że ona jest niezbędnym czynnikiem dla zbawienia duszy każdego z nas. Zjazd katolicki powinien nas uświadomić, że religja zbawia, nietylko ludzi, ale narody i państwa.

Wolność, wolność do której tęskniliśmy, wolność, która jest ideałem dzisiaj wszystkich ludów, tę wolność naród polski posiadał w najpełniejszej mierze. Nikogo już nie czuje nad sobą, żadnej niema nad nim władzy. On niedawno uciskany, gnębiony, jest sam sobie prawodawcą i sam stróżem prawa. On jeden jest sobie panem, ale biada mu, jeśli ten samowładca nie uzna dobrowolnie Boga za Pana swojego, jeśli ten Prawodawca oprze polskie Volumina legum na fantazji własnej, a nie na sprawiedliwości odwiecznej i przykazaniach Bożych.

Dałeś nam Boże wolność, ten dar niebezpieczny. Ogranicza on wszechmoc miłosierdzia Twego nad Ojczyznę naszą. Byliśmy w niewoli, wybawiłeś nas, ale dając wolność, nie wszystko dałeś, co dać mogłeś Panie, daj nam dobrą wolę, to jest wolę zgodną ze świętą wolą Twoją, bo my tej wolności godni się staniemy, bo wykwitnie z niej chwała i szczęście Ojczyzny naszej, o ile przyjmujemy zaraz i dobrowolnie słodkie jarzmo Chrystusowe.

Potrzeba Zjazdu Katolickiego dla uświadomienia wszystkich braków i niedoborów w naszym bilansie duchowym i etycznym, a także dla wyleczenia nas z następstw niewoli, niewiary, anarchji, a przynajmniej dla szukania na nie lekarstwa.

Obniżenie ogólne powojenne etycznego poziomu w Polsce, jak zresztą i w innych krajach, jest oczywiste i niepokojące. U nas

wpłynęło na to zbyt wiele czynników: rozćwiartowanie Polski, długoletnia niewola, demoralizujący wpływ szkół, głównie szkoły rosyjskiej, prześladowanie religij, utrudnienie stosunków z Rzymem, brak powołań, brak księży, stąd niemożliwość katechizacji i zaspakajania, w dostatecznej mierze, potrzeb duchowych parafjan. Sztuczne wytwarzanie scysji między warstwami społeczeństwa przez machiawelizm rządów rozbiorczych. Długoletnia wojna, ruina kraju, drożyzna, brak pracy, pokusa łatwego zubożenia się przez pasek i spekulację giełdową, grynderstwo, to zjawisko nowe w naszym kraju, na które niema nawet jeszcze nazwy w polskim języku. Niezadowolenie ogólne, rozgoryczenie, zanik uprzejmości i uczynności w stosunkach między ludźmi, objawy brutalności, bezwzględności, nadużycia władzy... Na tym grząskim gruncie trudno budować przyszłość naszą.

Jeśli chcemy, by sprawiedliwość była podstawą każdego prawa, by rodzina polska została, jak to bywało dotąd, ogniskiem domowego szczęścia, cnoty i obyczajności, żeby szkoła niosła oświatę i wychowanie obywatelskie, a nie zgorzenie i bałamučenje młodzieży; jeśli pragniemy, aby obywatele kraju myśleli nie tylko o prawach, ale o obowiązkach, nie masz na to innej rady, jak budzić uśpioną wiarę. Ona zamieni dziś bagniste podwaliny życia społecznego w opokę Piotrową i jeśli na niej zbudujemy gmach państwowości naszej, bramy piekielne nie zwyciężą go.

Ale prócz wiary trzeba miłości, bo jak kolor biały zawiera w sobie wszystkie kolory tęczy, tak miłość jest streszczeniem wszystkich cnót chrześcijańskich. Jeśli jej jednak brak, nic nie warta wiara nasza, zawodną będzie nadzieja. Miłość to radość, to szczęście, to pokój w kraju, to ofiarność i poświęcenie siebie dla innych, to raj na ziemi, ale warunkiem takiej miłości bliźniego jest miłość Boża. Czy my mamy tę miłość? Niech Zjazd Katolicki ją w nas rozpali.

Słyszę zarzuty przeciw Zjazdowi. Chcecie raj na ziemię sprowadzić, co za mrzonka! Był raj na ziemi, ale już nie wróci!

A jednak modlimy się codziennie i to z Bożego rozkazu: »bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi«, a gdyby się wola Boża na ziemi spełniła, ziemia stałaby się znowu rajem, jak nią była w dzień stworzenia. Ona jednak, mimo codziennej modlitwy naszej pozostanie doliną łez. Więc czego marzymy o jej odrodzeniu, czemu prosimy o cuda nieziszczalne? Bo chcemy za-

chować pamięć o raj, chcemy zachować prawo do szczęścia. A to wspomnienie, to pragnienie uświęca życie. Ta tęsknota różni nas od zwierząt, które się już niczego nie spodziewają, do niczego nie dążą i głowy mają na dół pochylone. To wieczne *sursum corda* jest w duszy ludzkiej świadectwem naszego szlachectwa. Raju nie stworzymy, gdybyśmy jednak nad jego stworzeniem nie wzięli wszystkich sił, mielibyśmy niebawem piekło na ziemi.

Do Boga daleko, mówią sceptycy, ale słusznie odpowiada im Cherbuliez: »Cóż znowu — daleko do Boga? Bóg jest naprzeciwko, chodzi o to, żeby iść tylko prosto. Ludziom się droga daleką wydaje, bo błędzą i zbaczają. Kto celu życia nie traci z oczu, kto idzie prosto, spotyka Boga zaraz, gdyż On wychodzi nam na spotkanie. I trzeci zarzut. Zjazd jest demonstracją uliczną. Takie wietrzenie uczuć najszlachetniejszych nic dobrego sprawie Bożej przynieść nie może.

Wiara, jak każde uczucie — im jest głębsze i silniejsze, tem mniej powinno być rozlewane na ulicach z kryształowego naczynia duszy naszej, bo od tego wylewu wietrzeje i traci siłę. Tak mówią niektórzy, takby się zdawać mogło, ale tak nie jest. Życie temu przeczy, przeczy doświadczenie.

Patrzmy na wrogów wiary i uczmy się od nich. Jaka tam praca, jaka rozrzutność w propagandzie, jaka niesłychana gorliwość w urządzaniu wieców, pochodów, demonstracyj, uroczystości. A każdy wiec mnoży liczbę adeptów, których dalsze obchody i pochody rejestrują, ćwiczą, zamieniają w karną i potężną armję.

Jeśli idee przewrotu, jeśli zamiary rewolucyjne i obietnice złudne mają taką siłę przyciągającą, o ile większą powinna być ufność nasza w powab i urok myśli zdrowych, uczuć szlachetnych, zamiarów uczciwych. Tak jak miłość nie zużywa się, ani wyczerpuje przez kochanie, tylko się wzmacnia, pogłębia, potężnieje, tak i wiara, głoszona sercem gorącym i w duchu apostoelskim, szerzy się i rozkrzewia wśród innych, wzmacniając jednocześnie gorliwość propagatorów. Wyznanie Boga publiczne, odważne, ufne, miłosne nie może pozostać bez nagrody, bez echa, nie może pójść na marne.

Zjazd katolicki stanie się początkiem odrodzenia kraju, odrodzenia moralnego i materialnego, a krzewiąc pobożność i cnotę, przyczyni państwu i społeczeństwu siły pokoju, ładu, praworządności. Praca, oszczędność, uczciwość wyrugują biedę, zrówno-

ważą budżet. Poprawi się na giełdach kurs waluty polskiej, bo podniesie się wśród narodów kredyt moralny Polaków.

Nie odrazu Kraków zbudowano, a cóż dopiero Polskę. Niech nas wyobraźnia nie unosi. Pierwszy Zjazd, jeden Zjazd, tych cudów nie sprawi i długo jeszcze popracować nam trzeba będzie, by obaczyć uzdrowione społeczeństwo. Skutków doczekamy kiedyś, ale pracę rozpocząć trzeba dzisiaj i wierzyć, że nam Bóg dopomoże.



O potrzebie Dziennika Katolickiego.

Przemówienie na zebraniu zwołanem przez Towarzystwo imienia Piotra Skargi w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa dnia 20 lutego 1921 r.

»Gdy się zwycięstwem panoszą narody,
Echem triumfu biją ich wież dzwony,
Kraj nasz tak dziwnie jest cichy i niemy,
Zda się, iż wierzyć jeszcze nie możemy
W ten cud spełniony«.

Tak się pyta, zdziwiona, młoda poetka. Co jej odpowiemy? Co odpowiemy sobie? Po półwiekowej próbie grobu i cierpienia czyścawych, weszliśmy w okres cudów miłosierdzia Bożego nad nami, a jednak my, wybawieni z otchłani, my, wczoraj z martwych powstałi, radości nie czujemy w piersiach. Chodzimy smutni, rozczarowani, nie ufni w przyszłość... dlaczego?

Naród, rozpoczynając życie polityczne, podzielił się na partje. Tak bywa zawsze, tak jest i u nas. Rozdzieliliśmy się na stronnictwa. Każde broni postulatów i praw swoich. Dzielą nas cele stronnictw, interesy klasowe, lub dzielnicowe, dzielą orientacje polityczne. Wszystko nas dzieli, a nic nie jednoczy. Walka żłobi przepaście między stronnictwami, dzielnicami, między synami jednej Ojczyzny, a nic nie rzuca ponad te przepaście mostów, któreby ułatwiły zbliżenie i pojednanie.

Życie polityczne bez krytyki obejść się nie może, ale, bez jedności państwo zginąć musi. Jedności dotąd w nas niema. Zamiast czynu — szamotanie, a miłość Ojczyzny nawet staje się źródłem nienawiści w duszach naszych. W imię miłości Ojczyzny nienawidzimy: Niemców, Moskali, Czechów, Rusinów, Hohenzolernów, Romanowych, Habsburgów, a najżywszą niechęć zachowujemy dla rodaków innej orientacji politycznej.

Byłbym oszczercą gdybym miał twierdzić, że Polacy kochać nie umieją, że nie potrafią się jednoczyć. Kiedy mówię o tej

wieży Babel polskiej, mam na myśli dziennikarstwo, które jest niestety, w przeważnej swojej ilości, głosem naszych namiętności politycznych, społecznych, ale nie głosem sumienia. Mam oskarżać dziennikarstwo polskie i głos mi się załamał, bo jeśli kiedy, to w tym wypadku powiedzieć można: »Niech ten pierwszy kamień rzuci, kto się czuje bez winy«. Jaki naród, takimi muszą być organy jego codziennej myśli, kronikarze jego życia. Ten naród kocham, jak siebie samego, a może i więcej, więc kocham też tę codzienną strawę duchową, którą podają nam dzienniki polskie.

Mówię o najlepszych, bo mamy też dzienniki złe, przewrotne, siejące zgorzniecie, znieprawiające sumienie narodu, podkopujące w państwie podstawy ładu społecznego i moralności publicznej. Takie dzienniki czyta się jak najradziej, a czytać trzeba dlatego tylko, by nie zamykać oczu na niebezpieczeństwo.

Ale dzienniki o zabarwieniu narodowym, dzienniki uczciwe i poczciwe, bez przeczytania których nie umiemy dnia rozpocząć, one, w latach niewoli i prześladowania, strzegły praw języka naszego i kultury narodowej, one, z narażeniem własnego interesu materialnego i wbrew czujności zawziętej cenzury, sądów, policji, codzien przynosiły nam krzepiące uczucie żywotności naszej i świadectwo, że »jeszcze nie zginęła«. Te najlepsze dzienniki są na poziomie ducha naszego, ale nie wzlatają ponad poziomy. Mają miłość Ojczyzny, szacunek przeszłości, wiarę w przyszłość, przywiązanie do obyczaju narodowego i nawet do wiary katolickiej, szczególnie w jej przejawach etnograficznych. Oto są więzy, łączące nas z prasą ojczystą. W tem leży źródło uroku i zasług tej prasy.

Ale są w niej i inne wspólne z nami właściwości: szowinizm, megalomanja, zaślepienie i egoizm partyjny, niechęć widzieć zalet, cnót, lub zasług przeciwnika. Brak kultury katolickiej, stąd rozlewność i płytkość uczuć katolickich, stąd chwiejność dążeń i sądów naszych.

Dziennik miłym jest przeciętnemu czytelnikowi, bo jest echem jego umiłowań i nienawiści, jego wiary atawistycznej i faktycznej obojętności, jego ofiarnych porywów i egoizmu kastowego, jego patryjotyzmu i szowinizmu. Jego zalet wielkich i ciężkich wad. Dzienniki to bezkrytyczna obrona *status quo* moralnego społeczeństwa. I dobrze nam z nimi, ale trzeba czegoś więcej. Trzeba surowej straży naszych ideałów. Dzienniki idą za

opinią, trzeba nam takiego, któryby opinię stwarzał, dawał hasło, uczył, wskazywał drogę. Trzeba nam dziennika opartego na wierze katolickiej. Tylko wiara daje miłość nadprzyrodzoną, a tylko taka miłość nas uszlachetni i Polsce pożytek przyniesie. Tylko taka miłość jest onotą, więc jest siłą.

Kto kocha nie w Bogu, ten nie kocha dobrze. My, a więc i nasze dzienniki kochamy się w Polsce. Trzeba kochać Polskę. Dziennikiem, któryby się stał katechizmem takiej miłości czystej, wiernej, rozumnej, może być tylko dziennik nawskroś katolicki. On będzie wyrażał, nie rozdzwiek w duszy Polaka, nie wypadkową jego cnót i wad, ale stanie się głosem narodowego sumienia, jego myślą, nie tą szarą, codzienną, oportunistyczną, sroką, ale górną, natchnioną, myślą z nieba. Będzie on dla nas heroldem Dobrej Nowiny, obrońcą każdego szlachetnego poczynania, pobudką dla śpiących, biczem dla leniwych, zarzewiem dla letnich.

Upadliśmy i znikli z widowni świata na przeciąg półtora wieku, dlatego tylko, żeśmy, w dniach największych potęgi państwowej, nie usłuchali głosu Piotra Skargi! Ostrzegwał on, że, jeśli domu nie wybuduje Pan, darmo się trzudzą ci, którzy go bez Niego wybudować pragną. Niechże dziś, przy odbudowie państwa polskiego, ta nauka nie pójdzie na marne. Do takiej akcji, dziennikarsko-apostolskiej i misjonarskiej, Tow. Piotra Skargi dziś wyciąga ręce do polskiego społeczeństwa. Czy głos ten znajdzie posłuch? Czy zechcemy być wykonawcami testamentu polskiego proroka?

Dziennikarze instynktowo rozumieją, że najłatwiej pociągać masy, grając na namiętnościach, że posłuch ma większy ten, kto krzyknie: »bierz«, niż ten, który mówi: »daj«. Łatwiej krytykować i burzyć, niż tworzyć i budować. Przypominać o prawach, to pochlebia i zjednywa czytelników. Mówić o obowiązkach — to nuży i zraża. Maczają więc pióra w żółci, by być poczytnymi. Służą oni Ojczyźnie najszczerzej, ale najczęściej w imię miłości Ojczyzny, nienawidzą. My zaś czytamy codzien, przy rannej kawie, tę kronikę wojny domowej i jakże mamy być wesołymi? Zatruci jesteśmy nienawiścią przeciwko wrogom zewnętrznym, przeciwnikom politycznym, przeciwko rządowi. W tej atmosferze rozgoryczenia łamie się wiara, gaśnie nadzieja.

W tem pandemonium polkiem żyć niepodobna. Szukajmy

odtrutki, szukajmy lekarstwa. Zdawałoby się, że łączy nas tylko nienawiść wspólna i wzajemna, ale tak nie jest, a ten smutek ogólny, o którym mówiliśmy, który wszyscy odczuwamy, świadczy najlepiej, że nastrój ten jest nam wstętny. Jedność to siła, ale jedność w nienawiści to siła burząca, siła rozstroju, to anarchja. Ona to ciągnie ku nam od Wschodu, niby morowa zaraza. Przeciwstawić jej trzeba natychmiast jedność w wierze i miłości.

Czy to tak trudno? Czy tę wiarę dopiero stworzyć trzeba, powołać do życia? Nie, po stokroć nie! Naród polski, semper fidelis — zawsze wierny. Wiarę tę nosi głęboko zakorzenioną. Niech świadczą o tem dzieje nasze: Cecora i Wiedeń, Podlasie i Kroże, Częstochowa i Ostrobrama. Nadzieją naszą przeżyliśmy piekło porozbiorowej niewoli. Miłością Ojczyzny zdobyliśmy u Boga Cud Wisły.

Co nam brakuje? Czego nam dziś trzeba, by rozchmurzyły się nasze czoła, rozjaśniły oczy, by serca nasze żywiej i radośniej biły capstrzyk zmartwychpowstania? Trzeba dać głos tej wierze naszej. Ona dotąd jest niema, więc zdawaćby się mogło, że wiary niema.

Mamy dzienniki demokratyczne, konserwatywne, ludowe, radykalne, prawie bolszewickie, ale, w Polsce katolickiej i tak szczerze katolickiej, nie mamy katolickiego dziennika.

Tamte dzienniki walczą, każdy w obronie swoich przekonań. Każde stronnictwo ma swój głos, zawsze donośny, często krzykliwy; stąd rozdźwięk i niepokój. Trzeba dziennika, któryby potrafił te dźwięki łączyć w akordy, zharmonizować te hałasy.

Dobrze jest bronić praw swoich, ale kardynalnym prawem społeczeństwa jest prawo do życia. Ono zdobywa się jedynie przez wierne pełnienie obowiązków. Dziennik katolicki przypominać będzie, że m o ż n a zrzec się praw, ale nie obowiązków.

Tacyśmy bliscy jeszcze doznanego cudu. Czybyśmy tak prędko zapomnieć mogli o Tym, »który nas wywiódł z domu niewoli«? Czy nie czujemy, żeśmy ludem wybranym i wartownikiem chrześcijańskiej cywilizacji u jej wschodniej rubieży, że przeznaczeniem naszym jest nieść miłość Bożą tym na Wschodzie, którzy nieszczęśliwi, bo bezbożni, więc tylko nienawidzić umieją? Czy zapomnieliśmy już o pieśni, która kołysała dziecinne lata nasze: »My się jeszcze obudzili, byśmy Cię Boże chwalili«?

Nie! My o tem pamiętamy i ci dziennikarze, którzy używają

liczby mnogiej, pluralis majestaticus, mówiąc: My nienawidzimy, aby im łatwiej wierzone, że przemawiają w imię całego kraju, ci ludzie nas mistyfikują i są samozwańcami.

W katolickiej Polsce ten tylko ma prawo pisać »My« przez wielkie M, który głosi: »My wierzymy w Boga, My w Bogu położyliśmy nadzieję naszą, My przebaczymy urazy najzawziętszym wrogom naszym, My chcemy, by w zmartwychwstałej Polsce szanowanym było prawo Boże we wszystkich dziedzinach życia«.

Sztandar nasz jest biało-amarantowy. Jedniby go chcieli widzieć bardziej białym, inni bardziej czerwonym, ale ogromna większość dba o to, by te dwa kolory łączył w jedną harmonijną całość wizerunek Matki Najświętszej, Królowej, nietylko doczesnej, ale wiecznej Ojczyzny naszej. Bo Polski bez Boga nie chcemy; my wiemy, że On jeden tylko wszechwładnym Panem świata. Nie mamy wyboru. Będziemy zawsze w ręku Jego miłosierdzia, lub sprawiedliwości i przejść możemy z pod tej dzisiaj tak cudownie miłosiernej opieki, pod karzącą prawicę Jego, byleśmy, zamiast stanąć przy archanielskim sztandarze: »Quis ut Deus« (Któż jak Bóg), przyłączyli się do potępiénnych hufców i poszli pod buntownicze znamiona, na których niewdzięczność szatana wypisała zuchwałe hasło: »Non serviam« — służyć nie będę.

Ale to niebezpieczeństwo straszne nam nie grozi. My wiemy, że miłość Boga i miłość Polski sprzecznością nie będą i być nie mogą, że te dwie miłości są jedną nierozzerwalną całością. Tej całości powinniśmy strzec zazdrośnie, bo zacietrzewiony szowinizm i tępowzroczny oportunizm nie uznają tej jedności.

Matki Polki, urodzone w niewoli, okute w powiciu i to już w szóstej może generacji, często nie mogły dać dzieciom swoim głębokiej i gruntownej nauki wiary, bo same jej od swoich matek nie otrzymały. Dlatego też nasza generacja nie zawsze umie w dogmacie katolickim szukać rozwiązania życiowej zagadki. Ufamy raczej sobie samym i swoim politycznym, chytrym środowiskom. Często zdaje nam się, że zasady etyki katolickiej krępują rozmach patryjotycznej naszej gorliwości, że formalizm dogmatyczny za ciasny jest dla naszych genialnych pomysłów o zbawieniu Ojczyzny. A kiedy religja, przez usta swoich przedstawicieli, karcie ten eklektyzm moralny, a raczej amoralny, gromy się sypią z trybunałów redakcyjnych. Poważne dzienniki gotowe zaraz

ciskać rękawice Kościołowi i jego najgodniejszym przedstawicielem. Wrogami Ojczyzny ich obwołują.

Medice cura te ipsum. Nigdy nie zgadnie dziennikarz, kto więcej szkodzi Ojczyźnie, czy ten, który pielęgnuje w niej ducha sprawiedliwości, umiarkowania, panowania nad sobą i kultury moralnej, czy ten drugi, który, w imię miłości Ojczyzny, zachęca ziomków do wciąż nowych uczuć nienawiści, czujnie wypatrując i odkrywając wrogów codzien innych, jakby pragnął świat cały nam we wrogów zamienić. Ani pan redaktor, ani czytelnicy jego dziennika nie dowiedzą się chyba nigdy o szkodliwości takich wystąpień, bo katolicy, chociaż oburzeni i zawstydzeni... milczą. Nie mają dziennika, w którymby mogli wyrazić swoje veto. Katolicy nie mają w Polsce głosu.

Mamy pismo, które długi czas siało zgorszenie, zatrutowało duszę naszego żołnierza na froncie bluźnierczymi artykułami, i miało przytem dziwną i smutną odwagę nazywać siebie: »Naród«, a rzeczywisty naród, naród polski, katolicki. my, którzyśmy tak niedawno z tych »Pamiętników Pana Boga« dowiedzieli się o zmartwychwstaniu cudownem naszej Ojczyzny, o cudzie Wisły, my milczeć musieliśmy, bo katolicy nie mają dokąd posłać swego protestu. Katolicy nie mają dziennika. Były wprawdzie protesty tu i ówdzie, ale nie odpowiadały wielkości zbrodni, ani sile oburzenia naszego. Czuć było raczej w nich partyjną niechęć do dziennika, niż wstyd i ból całego społeczeństwa...

Bóg jest nad nami — w to wierzymy. Bóg jest z nami. Na to nawet wiary nie potrzeba, bo dziś mamy zbyt liczne tego dowody. Skądże więc ten smutek, ta trwoga nasza? Boga w nas niema i to jest straszne niebezpieczeństwo dzisiejszej doby. »Ty bez nas samych nie możesz nas zbawić«. I dlatego, byśmy świadczyc mogli o obecności Bożej w duszy narodu, dziennik katolicki jest konieczny. Bóg jest celem, Omegą życia ludzi i narodów, niech stanie się też Alfą naszego państwowego ustroju.

»Do marzonej potęgi tak daleka droga,
A my do niej dążymy, na oślep, bez Boga«.

Zaczynamy nasze bytowanie, rozpoczniemy je od modlitwy: »Święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź Wola Twoja jako w niebie tak i na ziemi«. Bo wtedy i chleba naszego powszedniego nam nie zabraknie i kusiciele odstąpią zawstydzeni i wybawi nas Bóg ode złego. Stańmy pod sztandarem Chrystusa.

Nim flotę polską zaczniemy budować, trzymajmy się holowniczej Piotrowej łodzi. Jest ona dla przyszłości Ojczyzny pewniejszym zadatkem pomyślności moralnej, a nawet materialnego rozwoju, niż dostęp do morza. Wolni jesteśmy, więc odpowiedzialni. Wszystko, co robimy bez Boga, nie jest czynem obojętnym, jest — bezbożnością.

Złymi obywatelami Polski są nietylko ci, którzy Boga wyrugować pragną z prawodawstwa, z obyczajów, z duszy naszego ludu, ale także ci letni, ci obojętni, ci dyskretni i ostrożni, którzy nie stają śmiało w Jego obronie. Grzechy opuszczenia są ciężkimi grzechami, one to bogaczom tak zacieśniają wrota do Królestwa Niebieskiego. My, posiadający skarb wiary i zdumiewające bogactwo łask doznanych, strzeżmy się i wstydzmy obojętności. Rozbudźmy w sobie gorliwość, pielęgnujmy bojaźń Bożą, ten początek mądrości w młodem Państwie naszym.

Jeśli chcemy okazać się godnymi doznanego cudu, nie dajmy, aby cień chociażby najlżejszy padł na lojalność naszą względem Królowej Korony Polskiej. Partje niech mają swoje odrębne organa, ale Monitorem narodu i państwa polskiego, jedynym oficjalnym organem wiary, nadziei, miłości naszej może być tylko dziennik katolicki. Jego naczelną tytułową kartę zdobić winien Najświętszej Marji Panny wizerunek, a pod nim hasło i ślub narodowy: »Przy Tobie, Najjaśniejsza Pani staliśmy zawsze, stoimy i stać chcemy. Tak nam Boże dopomóż!«

Taki dziennik powstanie, bo kiedy Polska z grobu powstała i on powstać musi. Niech świadczy on Bogu o wdzięczności naszej. Chcemy budować świątynie jako votum narodowe i dobrze jest, że się do tego obowiązku poczuwamy, ale dziennik katolicki będzie tego kościoła sygnaturką codzienną i wielkim świątecznym dzwonem. Zwoływać będzie do Boga, aby w kościele naszym nie było pusto.

Przemówienie przy otwarciu pierwszego Zjazdu katolickiego w Warszawie 6 września 1921 r.

»Ojcze nasz! — Święć się Imię Twoje, przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie, tak i na naszej polskiej ziemi!«

Niech będzie uwielbiona Najświętsza Matka Boża, Marja — Królowa Korony Polskiej!

Święci Patronowie Polski, Święci Męczennicy i Wyznawcy Wiary, Wy, którzyście modlitwami, cierpieniami, zasługami wyjednali u Boga dla Ojczyzny Waszej cud zmartwychwstania, przyjmijcie hołd czci ziomeków Waszych i pomóżcie nam, dzisiaj, tu zgromadzonym, godnie wypowiedzieć Bogu wdzięczność narodu, bo to jest pierwszym celem tego zjazdu.

Komitet Organizacyjny ukończył swoje prace i dożył tej niewysłowionej pociechy, że Polska, idąc, nie za jego głosem, ale słysząc, w odezwie Komitetu, głosny zew duszy własnej, zebrała się w stolicy, aby, z Naczelnikiem Państwa na czele, z jego Eminencją Kardynałem, Arcybiskupem warszawskim, w licznym otoczeniu Pasterzy, z przedstawicielami Rządu, Sejmu, Generalicji i całego Narodu, jednym chórem radosnej wdzięczności zaśpiewać: »Ciebie Boże chwalimy!« »Wierny jesteś w obietnicach Twoich Panie!«

Powiedziałeś: »Błogosławieni, którzy płaczą, albowiem oni będą pocieszeni«. Błogosławiłeś tym, którzy cierpią prześladowanie dla sprawiedliwości. Myśmy płakali, Tyś nam łzy otarł, a smutek w radość obrócił. Myśmy cierpieli, Tyś upokorzył gnębiących.

Tak! Wiernym jesteś Panie w obietnicach Twoich, ale i my Polacy, wiernymi Tobie pozostaniemy na wieki... tak nam Boże dopomóż!

Polska nie jest dziś królestwem, tylko rzeczpospolitą, ale Tyś, Najświętsza Pani, została, jak dawniej, Królową — Panią wszechwładną i biada temu, kto by świętokradzką dłońią sięgnął po koronę Twoją. Królowie polscy cicho śpią w grobach na Wawelu, a Ty, Boża Rodzicielko, któraś, przez wiek niewoli, była Pocieszycielką utrapionych. Wspomożeniem wiernych, Królową męczenników i wyznawców polskich, Ty żyjesz i panujesz zawsze w sercach i duszach naszych. Mówią, żeśmy niepoprawnymi rewolucjonistami, a jednak dziś tu zebraliśmy się, ze wszystkich dzielnic Polski, by przyjąć słodkie jarzmo Syna Twojego, by przysiąc, że zawsze zostaniemy wiernymi poddanymi Twymi, Królowo nasza... Tak nam Boże dopomóż.

A teraz jeśli ten dzień ma mówić światu, że naród polski nie zapomina o swoich dobroczyńcach, zwróćmy oczy i serca ku Rzymowi, stolicy katolickiego świata. Stamtąd otrzymaliśmy łaskę wiary, która daje żywot wieczny, i jeśli przetrwalibyśmy próbę grobu, to tylko dlatego, że Kościół katolicki nasycił duszę polską pierwiastkami nieśmiertelności. Wybudowaliśmy kulturę naszą na opoce Piotrowej, i bramy piekielne nie przemogły jej.

Wybraliśmy na otwarcie Zjazdu Katolickiego rocznicę wstąpienia na tron Ojca świętego, Benedykta XV, żeby stwierdzić i zacieśnić jeszcze nierozzerwalność węzłów czci i miłości naszej dla Kościoła i Namiestnika Chrystusowego. Ślubowaliśmy dopiero wierność Bogu na niebie, ślubujmy teraz wierność Jego Namiestnikowi na ziemi, witając dzień jubileuszowy okrzykiem: Niech żyje Ojciec święty Benedykt XV!

Komitet dziękuje z całego serca wszystkim, którzy tak licznie zjechali się na tę wielką manifestację wdzięczności i wiary. Dobra to wróżba dla przyszłości naszej.

Obowiązkiem Komitetu i miłą powinnością jest podziękować wszystkim tym, którzy wiedzą i nauką i gorliwością, talentem, pracą nieraz bardzo uciążliwą i hojnymi ofiarami przyczynili się do tego, że zjazd mógł odbyć się, mimo wyjątkowo trudnych okoliczności. Komitet czuje się w obowiązku wyrazić wdzięczność Panu Naczelnikowi Państwa za przybycie, bo Jego tu obecność jest aktem wysokiej doniosłości. Bóg nie wymaga oficjalnego naszego przed Nim przedstawicielstwa, On czyta w sercach naszych, ale obecność Twoja jest stwierdzeniem przed światem całym tego, że Polska jako państwo jest katolicką. Za to uroczyste świadec-

ctwo dziękujemy Ci, z całego serca, Panie Naczelniku Państwa, Wodzu naczelny i Marszałku wojsk polskich.

Dziękujemy Jego Eminencji za pomoc i błogosławieństwo. Nasz Komitet znalazł przytułek w Jego pałacu, a radę i otuchę we wszystkich trudnych chwilach. Dziękujemy Biskupom polskim, którzy przybyli podzielić z nami radość dnia dzisiejszego i swym przybyciem tę radość powiększyć.

Komitet pozwala sobie prosić dostojne Zgromadzenie o dokonanie wyboru Prezydjum Zjazdu, przyjmując, przez aklamację następującą listę.

Katolicyzm a moralna odbudowa Polski.

Referat, wygłoszony na Zjeździe katolickim w Warszawie 7 września 1921 r.¹

»O Panie, Panie, więc nie o nadzieję,
Jak kwiat się sypie — więc nie o zgon wrogów,
Zgon ich — na chmurach jutrzejszych już dnieje,
Więc nie o przestęp smętarzowych progów,
Przebytec Panie, ani o broń władną,
Z wichrów nam spada — ni o pomoc żadną,
Zdarzeń otwarłeś już przed nami pole;
Lecz, wśród tych zdarzeń straszego wybuchu,
O czystą tylko błagamy Cię wolę
Wewnątrz nas samych, Ojcze, Synu, Duchu«.

Tak modlił się Krasiński, a jednak, kiedy napisał ten wspaniały Psalm, Polska leżała w grobie i sto lat jeszcze leżeć miała. On proroczym duchem widział zmartwychwstanie ojczyzny. Ale ten cud miłosierdzia Bożego nie wystarczał mu, ani go nie uspakajał. On chciał widzieć Ojczyznę nie tylko zmartwychwstałą, ale odrodzoną.

»Bo na ziemi być Polakiem,
To żyć bosko i szlachetnie«.

Więc tę modlitwę pisał Zygmunt na dzień dzisiejszy, dla nas ją pisał. Prosił Boga o dobrą wolę wewnątrz nas samych, to jest o wolę zgodną z wolą Bożą, bo tylko taka woła odrodzić nas może.

Mamy budować Ojczyznę na nowo, od fundamentów. Praca wre... Budujemy armję, administrację, szkolnictwo, rolnictwo, przemysł, handel. Wszystko to jest budowaniem Ojczyzny. A jednak jest praca ważniejsza i pilniejsza. Żeby gmach miał kształty harmonijne, trwałe i piękne, żeby w nim było wygodnie i ciepło i swojsko, zacząć trzeba od budowy fundamentów i im po-

święcić największą uwagę. Fundamentem gmachu państwowości — jest cnota obywateli. Żaden naród bez dobrych obyczajów nie ostoi się.

»Król czy gmin jaki dopuści się zdrady
Słowu Twojemu — przepada z kolei;
Aniołów nawet przepadły mirjady«.

Mamy na szczęście do tej pracy Budowniczego o pierwszorzędnej kwalifikacji, bo przez dwadzieścia wieków kieruje budową świata. Ten budowniczy, to Kościół katolicki. Łatwo nam uzyskać jego pomoc, bo od dziesięciu wieków nam jej udzielał i zawsze udzielać gotów, a wszystko, co w naszej historii czyste, wielkie, piękne, co nam przyniosło szczęście, dobrą sławę, chlubę i zasługę w historii świata, wszystko to jemu zawdzięczamy. Póki z Kościołem, póty pokój, potęga i chwała. Każde odstępstwo, każde lekceważenie nauk jego, natychmiast powodowało nieład i rozstrój, a kiedy, z końcem XVIII wieku Polska stanowczo pogardziła tradycyjną wiernością Kościołowi, obniżył się poziom moralności publicznej — budowniczego odprawiono i gmach runął. Dziś, kiedy budowę rozpoczynamy, nie zapomnijmy o wielkim budowniczym państwowości i kultury polskiej.

Do roboty jest wiele i wiele do omówienia. Papier jest ciepły, ale ze słuchaczami... bywa rozmaicie. Pragnę być możliwie treściwym, chociaż, ta historyczna a radosna chwila, ten pierwszy zjazd w stolicy, pod hasłem wiary i miłości Bożej, jest pokusą zbyt silną. Takby się chciało bóle wypłakać, zagrznieć przestroga, radością się podzielić, wyśpiewać hymn wdzięczności, wspólną odmówić modlitwę, za przyszłą dolę Ojczyzny. Ale nie ja jeden przemawiać będę, ufam, że wszyscy mówcy, tem samem pragnieniem ożywieni, więc całość sama się złoży. Dotknę dziś kilku zaledwie myśli, aby swoją przynieść cegiełkę do wspólnej budowy.

Wiara i nadzieja pozwoliły nam przetrwać straszne dni próby, wiemy więc jaką siłę daje wiara, jak słodką pociechą jest nadzieja. Dziś wiara nagrodzona, nadzieja ziszczona, dziś kolej na miłość. Brak w nas miłości Bożej i miłości bliźniego. Świadczą o tem liczne przekroczenia V, VI i VII przykazania.

Pewna dowcipna autorka pamiętników z końca XVIII wieku twierdziła, że panie bywają bardzo surowe i mają wielkie

obrzydzenie tylko dla tych grzechów, o których sądzą, że ich nie popełniają i nigdy nie popełnią. Potępiają zatem pijaków, złodziei, rozbójników, natomiast bardzo bywają wyrozumiałe, łaskawe nawet, dla innych, bardziej im sympatycznych, wykroczeń przeciwko przykazaniom Bożym... Tak bywa i wśród mężczyzn, a może szczególnie wśród mężczyzn; tylko nie zdajemy sobie sprawy z tego, że taki sąd może się stać obosiecznym. Nie zabi ja j... Straszna jest rzeczą pozbawić życia, bo tej krzywdy już człowiek naprawić nie może. A jednak o tym bandytyzmie, który dzisiaj snu w nocy pozbawia mieszkańców ziemi lubelskiej, nie będę mówił, bo codziennie o tem piszą gazety. Tę bolączkę znamy, więc będzie ona usunięta. Ale jest bandytyzm gorszy, przeciwko któremu żadnej nie mamy defensywy, a jednak — Bóg surowiej karać będzie tych, co zabijają duszę bliźniego, niszczą wiarę, kuszą do złego, gorszą młodzież. Takie grzechy, w kodeksie Bożym, karane są śmiercią. Pamiętajmy o młyńskim kamieniu.

Literatura nasza cieszy się dobrze zasłużonym szacunkiem; przyczyną tego uznania jest zdolność naszych pisarzy i czyste źródło ich natchnienia. Niestety, w ostatnich czasach, coś się popsuło w tej dziedzinie. Mamy pisarzy, nieraz obdarzonych talentem, którzy gorszą. »Przebac im Panie, bo nie wiedzą co czynią«. Ich wychowała szkoła rosyjska i zaraził nihilizm wschodni. Czem skorupka za młodu nasiąknie, tem na starość trąci. Sądzą, że wzbogacają polską literaturę, a oni ją plamią. Myślą, że tworzą oryginalne dzieła, a im się tylko niestrawna literatura rosyjska odbija. Piszą po polsku, a myślą i czują po rosyjsku. Przepraszam naród Puszkina i Lermontowa za tę niezasłużoną obelgę. Nie po rosyjsku myślą ci gorszyciele, ale po bolszewicku, bo przecież Gorkij, Dostojewski, Arcybaszew — to piastuni bolszewizmu. Na szczęście owoc ich siewu jest pouczający i dostatecznie odstraszaający. Ci nasi literaci umysł mają zabrudzony, wyobraźnię chorą, ale serca mają polskie i nie zechcą by ich Ojczyzna, przesycona świętą krwią męczenników, miała być zamienioną na kałużę błota, jak to się stało z ojczyzną Gorkiego. Nie zechcą nosić na sumieniu swoim przekleństwa wszystkich serc polskich. Zrozumieją, że sławy taka praca na ziemi polskiej im nie przyniesie, bo u nas Judaszowi pomników nie stawiają jeszcze i ufamy Bogu, że nigdy nie postawią.

Komu Bóg dał talent, a on używa go na gorszenie mło-

dzieży, na znieprawienie myśli polskiej i niszczenie w sumieniach polskich zdrowego sądu o tem, co dobre, a co złe, co piękne, a co brud, ten grzeszy przeciwko V i VII przykazaniu: Nie zabijaj — Nie kradnij.

Kraj biedny, brak w nim wszystkiego: oświaty, warsztatów pracy, szkół, nauczycieli, dróg. Miljony rodaków bez chleba, dachu, ubrania, butów, bez możności wychowania dzieci. Amerykanie przepływają Ocean, żeby ulżyć biedzie dzieci polskich. Widziałem mężczyzn tego szlachetnego narodu, opowiadających o tem co widzieli na naszych granicach wschodnich. Mieli oczy pełne łez. Amerykanie płaczą! A u nas? Apatja, znieczulenie, zastój wszędzie! Tylko w klubach, tylko w resursach stolicy pracują całą noc, a gra hazardowa pochłania miljony.

To zło ma swoje dobre strony. Tracą fortuny ci, którzy nie zasługują na posiadanie takowych, bo nie znają obowiązków, z majątkiem połączonych. Ale kto te obowiązki zna i czuje co każdy Polak winien dziś zmartwychwstałej, ale tak wyniszczonej Ojczyźnie, ten rozumie, że to co odziedzyczył, winien, wraz z dobrem imieniem, przekazać dzieciom swoim; w kim sumienie chrześcijanina i Polaka nie zamarło, ten ma pokusę zaglądnąć kiedyś, późną nocą, do tych eleganckich salonów, które się w jaskinie przemieniają, podejść do zielonego stołu i zawołać: **N i e k r a d n i j.**

Silna jednością, a czysta obyczajem rodzina — to podstawa zdrowia społecznego i ładu państwowego. Jaka rodzina — takie społeczeństwo. Zawsze rozprzeżenie życia rodzinnego rokuje niechybnie upadek państwa. Tak było w starożytnym Rzymie, w nowożytnej Francji i Polsce XVIII wieku.

My się odrodzić mamy. Musimy w świętości i czystości życia rodzinnego czerpać cnotę. Bo cnota — to siła. A tymczasem w całej Polsce tylko o rozwodach słychać. Czem jest rozwód? Może on być strasznym, wyjątkowym nieszczęściem i osoby, które przez to nieszczęście przeszły, zasługują tylko na współczucie. Ale ja o tych rozwodach nie mówię, mówię o tych powszednich zdarzeniach, które choć się rozwodami nazywają, właściwie nie rozwodami są, ale poprostu nierządem. Rozwody te, 99 razy na 100, są zbrodnią. Zbrodniarzami są: mąż czy żona, czy oboje; zbrodniarzami ci, którzy są przyczynami rozwodów,

zbrodniarzami świadkowie procesu. Krzywoprzysięstwo bowiem jest źródłem i koroną, prologiem i epilogiem rozwodu.

Złamanie zaprzysiężonej wierności, kalanie czci własnego gniazda, osierocanie niewinnych dzieci, zatrutowanie w nich źródła, z którego dziecko powinno pić same słodkie wspomnienia i zaspakajać wszystkie pragnienia niewinnej duszy, zabijać we własnych dzieciach szacunek dla rodziców, znieprawiać ich serca, kraść cudzą cześć i szczęście, wprowadzać w towarzyskie stosunki miazmaty zgnilizny i rozkładu — oto czem są dzisiejsze rozwody. One są pozornie grzechem przeciwko IX przykazaniu, ale, w rzeczywistości, winowajca rozwodu zadławił w sumieniu własnym głos Prawodawcy świata, który mu mówił: Nie zabijaj, nie cudzołóż, nie kradnij, nie mów fałszywego świadectwa, nie pożądaj, miłuj Boga nadewszystko, a bliźniego jak siebie samego. Pięć przykazań zgwałconych — to treść małego słowa »rozwód«. Bo jak Krasieński mówi: niema małej podłości — każda podłość jest morzem podłości. Na miłość Boga i Polski, na miłość dzieci własnych i litość nad nimi, na miłość przyszłości naszej, wypleńmy z obyczaju polskiego ten rozkładowy pierwiastek. Niechaj rodzina będzie pojęciem czystym, niech nie będzie rozwodów u nas.

Nie rozumiemy, czy nie chcemy rozumieć prawa ewangelicznego o szafarstwie, to jest o obowiązkach zdania rachunków z powierzonych nam darów Bożych. Zapoznawanie tych obowiązków jest jedną z głównych przyczyn powszechnego niepokoju. Duży majątek, który nie bucha ofiarnością, nie świeci przykładem, nie uczy, nie karmi, nie przoduje, jest tym zastygłym wulkanem, który, chociaż na razie winnicami osłoniony, gromadzi groźne lawy i wywołuje straszne trzęsienia ziemi. Widzieliśmy własnymi oczyma groźne »Mane, Tekel, Fares«, łunami pożarów oświecone, a krwią wypisane na naszej wschodniej granicy. Powinniśmy się bić w piersi i nawrócić póki czas po temu.

Kraść cudze jest złe, ale szafować nieuczciwie, zachować dla siebie lub trwonić bezmyślnie, co Bóg nam powierzył, byśmy rozpronie, miłosiernie rozdawali, jest taką samą nieuczciwością. Nie kradnij. Zapominam chyba, gdzie przemawiam. Tu kongres katolicki, a nie komisarjat policji. Ja to wiem i nie przychodzę nikogo obwiniać, ale się spowiadam, bo prawdę, którą dziś wygłaszam, sam nie zawsze uznawałem.

»Co moje, to moje«, tak głosi świat. Trzyma rękę na pełnym pugilaresie i mówi: »beati possidentes«. Ale wiara mówi co innego: »Dostałeś, więc winienesz«, »Komu wiele dano, od tego wiele wymaganem będzie«.

Czytamy w Ewangelji o niewiernym szafarzu, a ta parabola ma w sobie tyle życia, prawdy i plastyczności, że ten szafarz wydaje się nam nie przenosić, ale rzeczywistym podwładnym swojego pana, jakiego każdy z nas miał sposobność spotykać; stoi przed nami, jak żywy i mówimy o nim krótko: złodziej. A jednak Ewangelja nie potępia go. On nigdy nie istniał. Mowa tu o nas. Szafarzami Bożymi jesteśmy, ale przywłaszczamy, co nam powierzonym zostało. Czy nikt z nas nie przypomina sobie, że jadł nad miarę, że miał dziesięć ubrań, że dzieciom swoim nie odmawiał niczego, ani nauki, ani kosztownych zabawek; że wymyślał choroby, by jeździć na kurację, że udawał przed sobą samego zmęczonego, by jeździć na wypoczynek, ale kiedy najbliżsi z jego otoczenia, tacy względem których on miał bezpośrednio obowiązki, nie zawarowane wprawdzie kontraktem, ale z tytułu właśnie tego szafarstwa swojego, kiedy ci ubodzy lub chorzy potrzebowali pomocy i ratunku, puszczano ich z kwitkiem, a czasem bez kwitka, bo... żal było oddać jeszcze zbyt dla nich dobrego ubrania, a zbywającą gotówkę przyjemniej było użyć na dogodzenie jakiej własnej fantazji. Jak Bóg takich nazwie? Sądy pokoju nie karzą tych zbrodni, ale jest sąd nazwany »straszny« zapewne dlatego, żeby go odróżnić od sądu pokoju. Oby on nie stał się dla nas sądem niepokoju.

Gorszyłbym, a nie budował, gdybym na wstępie nie był oświadczył solennie, że siebie samego obwiniam. Czynię to dla przestrogi innych. Jeśli Bóg pozbawił mnie trzech czwartych mego majątku, nie wątpię, że jest to karą za niewierne szafarstwo. Musiałem nie spełnić trzech czwartych moich, z tym majątkiem związanych, obowiązków. Ale ta kara jest jednocześnie miłosiernym ostrzeżeniem, więc za nią Bogu dziękuję.

Jeszcze jedna miłość niedoskonała, jeszcze jeden grzech przeciwko miłości. Chodzi o miłość Ojczyzny. Zmartwychwstała Polska zrobiła nam zawód: kochaliśmy ją, tęskną myślą, wyobraźnią, przeczuciem, pragnieniem i widzieliśmy ją: przeczystą, przepiękną, przedobrą. Tymczasem wstała z grobu zupełnie inną. Tyle rzeczy nas w niej razi, gniewa, zniechęca. Otrząśnijmy

się z tego złego uczucia! Ojczyznę trzeba kochać, nie wymarzoną, ale rzeczywistą, taką jaką jest, bo inaczej nie będziemy jej kochać zupełnie. Nie trzeba kochać jej wad, ale mimo jej wad. Owszem, im więcej jest tych niedoskonałości, tem gorliwiej ją kochać należy, by te wady wyplenić, by jej rany zagoić. Ojczyzna — to my. Niedoskonała jest, bośmy grzeszni. Bądźmy zacni, uczciwi, rozumni, silni, pracowici, oszczędni, a Ojczyzna stanie się chlubą naszą, będzie bowiem siedliskiem: cnoty, dobrobytu i ładu.

Oddaj cesarzowi, co jest cesarskie, a Bogu co jest Boskiego — tak każe Ewangelja. Ponieważ jednak cesarzem był zaborca, był krzywdziciel, dawaliśmy sobie dyspensę z tego przykazania. Oby to lekceważenie obowiązków względem państwa nie stało się zakorzenionym zwyczajem i nie pokutowało u nas dzisiaj, kiedy władczynią naszą jest Najjaśniejsza Rzeczpospolita Polska. Nie okradajmy jej, nie rozbierajmy się, nie panujmy, ale służmy jej uczciwie. Nie marnujmy jej mienia, ale pracą przysparzajmy jej dobrobytu.

Postanówmy, dla miłości Polski naszej, kochać wszystkich rodaków. Żle z tem uczuciem u nas! Prócz tarć i nieporozumień politycznych, wojna i zdziczenie, które ona powoduje, trudności życiowe, pogoń za zyskiem, lub nagłe zubożenie i niemożność uczciwą pracą zdobycia środków do najskromniejszego bytowania, wszystko to dało w rezultacie tak przestraszający zanik uczynności, życzliwości, a nawet tej zdawkowej uprzejmości, że dzisiaj każdy stosunek z ludźmi, a to niezależnie od stopnia ich kultury i sfery społecznej, staje się umartwieniem, a na długą metę ciężką troską. Jeśli chcemy być narodem cywilizowanym, musimy być uprzejmymi. Jeśli Boga mamy w duszy, musi On promienieć na zewnątrz dobrocią, pogodą, słodyczą. Pamiętajmy też o tych bezwiednych grzechach przeciwko miłości, które codzień popełniamy, a które opóźniają odrodzenie Ojczyzny.

Wystrzegajmy się zarzutów przeciwko dzielnicom Polski lub przeciw tych dzielnic stolicom. Łatwo popełniamy obławę, bo to nie są sądy sprawiedliwe, to są przesady.

Lwów Krakowowi, Kraków Warszawie, Warszawa Poznaniowi, Poznań Kresom Wschodnim, albo naodwrot, przypinają łątki. I te dzielnice, te miasta, które marzyły przez sto pięćdziesiąt lat o połączeniu Ojczyzny, zezują na siebie, boczą się wzaje-

mnie. Zrozumiałe to, chociaż bardzo smutne. Wiwisekcja sejmu grodzieńskiego pocięła ciało Polski tępym, a brudnym nożem. Chory wyżył, ale te carskie cięcia nie goją się tak prędko. Widzimy tylko wady, bo tak oczy ludzkie są zbudowane, że wady dostrzegamy natychmiast, a zalety i cnoty bardzo powoli. Odludek nie dlatego stroni od świata, że nim pogardza, ale dlatego pogardza, że ludzi nie zna. Gdyby chciał poznać, pewnie by ich pokochał i miał z nich korzyść i pociechę. Tak będzie i z nami. Nie znaliśmy się prawie, więc mówiliśmy: że Lwów miał pokost austriacki, a pleśń żydowską, mówiono że Kraków to polskie Campo Santo, patrzące jedynie w przeszłość, że Warszawa była i jest wietrzną, sclavus saltans, że jej hasłem: »jakoś to będzie«. Że Poznań to głucha prowincja, w której się gnieździ materjalizm i sobkostwo. Że na Białorusi, Wołyniu, Podolu Polaków nie ma, same żubry tam się pasą. I wszystko to wydawało się prawdą, a nawet było nią, do czasu ogniowej próby.

Ojczyzna w niebezpieczeństwie! I ten osławiony Lemberg zamienia się w miasto Lwów. Gogo z monoklem znikł bez śladu. Sami bohaterzy napełniają miasto. Nie było, w te dni grozy, ani dzieci, ani chłopiąt, ani dziewczynek, ani panienek, same lwiątko. Miasto nie było obronne. Z żywych ciał własnych Lwowianie wnieśli okopy i wróg nie zdołał ich przekroczyć. Warszawa nie doceniała Lwowa, co było z jej strony niepamięcią, bo Lwów dowiódł, już nie poraz pierwszy, że jest wierną, a czujną strażnicą Polski od wschodu i nieraz Warszawa mogła żyć wesoło, bo Lwów czuwał. Niech żyje miasto Lwów!

A Warszawa. Inne miasta Polski znają dokładnie jej wady. Ale bujny temperament to tętno żywotności. Szybko krew krąży w jej żyłach i po tem poznajemy, że jest prawowitą i urodzoną stolicą wielkiej Rzeczypospolitej, ośrodkiem życia materialnego i duchowego, o wyjątkowej sile rozwoju i ekspansji. Warszawa jest lekkomyślną. Warszawa hula. Nie! Warszawa żyje. Żyje, mimo Suworowów i Paszkiewiczów, Bergów i Hurków, Apuchtinów i Eulogjuszków, mimo bliskości Cytadeli, a odległości Nerczyńska i Kamczatki, tych uprzywilejowanych letnisk kochanej naszej stolicy. I znikło z placu Saskiego groźne widmo ucisku, ta dzwonnica, którą nazywano wieżą ciśnienia prawosławia, nie zdoławszy wszczepić w nas bizantynizmu, ani tego prawosławia. Owszem, obecność jej wzmocniła, bezczelną swoją prowokacją,

przywiązanie Warszawy do wiary katolickiej i do zachodniej kultury. Karmiono dzieci nasze nihilizmem — Tołstoj, Gorkij, Dostojewski, to była literacka ewangelja naszych gimnazjów. Młodzież polska obojga płci wchłaniała te bezceństwa, bo nie można było dostać świadectwa dojrzałości, póki się tej zgnilizny nie przetrawiło. Straszne skutki tej ohydnej literatury widzimy u sąsiadów naszych. A u nas, na tym, ze wschodu przywiezionym pognoju, wyrosła Trylogja, Quo Vadis, Latarnik, Bartek Zwycięzca. Wiatr przeleciał i wyszumiał — my wstajemy. Moskwa i Petersburg leżą w agonji, a Warszawa żyje. Niech żyje Warszawa!

Kraków oszczędzony został przez wojnę i nie miał okazji cierpieć za Ojczyznę, w przededniu jej zmartwychwstania; ale czyż potrzebował potwierdzenia swej wartości, swoich zasług dla Polski? Kraków, który w ostatnich czasach dał Polsce: Tarnowski, Klaczkę, Szujskiego, ks. Marjana Morawskiego, Matejkę... Kraków, wielki kustosz pamiątek, relikwji i skarbów polskich, wartownik grobów królewskich, burgrabia Wawelu, kolator katedry, Panny Marji, Skalki i tylu pamiątkowych świątyń, Kraków — schronisko wygnanej zewsząd nauki polskiej, kurator i opiekun uniwersytetu Jagiellońskiego, Akademji Umiejętności, Biblioteki Jagiellońskiej, mecenas sztuki polskiej, Kraków, który ma ten rynek, radość oczu, chlubę serc polskich, te miłe i śliczne Sukiennice, kopiec Kościuszki i Wandy; Kraków, który co godzina modlił się za Polskę marjackim hejnałem, a sercem Zygmuntowego dzwonu przypominał, że »jeszcze nie zginęła«, Kraków, nietylko przechował pamiątki dawnej świetności polskiej, ale snuł nieprzerwaną złotą nić rodzimej kultury w naszym pozagrobowym życiu i tę kulturę, we wszystkich jej dziedzinach tak wiedzy, jak sztuki, świeżą i żywą nam dziś przekazuje. Któż o tem mieście ośmielił się mówić inaczej, jak ze czcią, wzruszeniem i miłością? Jeżeli duch polski, pomimo straszego ucisku, do dziś dnia w nas żyje, zawdzięczamy to Krakowowi. Niech żyje poczciwy stary Kraków!

A Poznań?... Tam Polska pójdzie uczyć się nowych obowiązków względem państwa. Tej nauki bardzo potrzebujemy. Wybujały indywidualizm zgubił Ojczyznę naszą. Każdy w niej był »sobie panem«. Ta wada w nas tkwi po dziś dzień. Umierać za Polskę zawsze umieliśmy i umiemy, ale żyć dla niej... nie

bardzo. Żyjemy w niej dla siebie i to na wszystkich szczeblach społeczeństwa. U góry brak karności, solidarności, szacunku dla praworządności państwowej; wśród włościan ciasny egoizm stanowy, robotnik ulega demagogicznym pokusom i asygnuje sobie wypłaty, zabijające i niszczące przemysł. Handel, kupiectwo, świat finansowy wyzyskują ciężkie położenie państwa, pogarszając sytuację, byle sobie zysków przysporzyć. Chodzimy luzem, brak nam cnót obywatelskich. Idźmy do Poznania uczyć się pracy, oszczędności, ładu, posłuszeństwa prawu i tej solidarności społecznej, bez której niemożliwą jest praca zbiorowa. My czujemy się powołani tylko do rządzenia, do przewodniczenia. Bohaterów, generałów, prezesów — nirowie. Szeregowców, pracowników — wielki brak. Służyć Ojczyźnie niema komu. Wszyscy chcą bohaterować, a przynajmniej prezesować. Służby krajowi idźmy się uczyć w Poznaniu. Tam uniwersytet przyszłej państwowości polskiej. Polska dalej nierządem będzie stała, jeżeli nie posiadzie tych cnót, które ze wszystkich dzielnic Polski posiada, jeśli nie wyłącznie, to w najwyższym stopniu — Wielkopolska. Niech żyje Poznań!

A Wilno, a Śląsk, czyżbym o nich zapomniał? Nie — ale kiedy chodzi o grzechy przeciwko miłości, przed Wilnem i Śląskiem czujemy się bez winy? Wilno i Śląsk są ukochaniem naszym i daj Boże, żebyśmy się między sobą tak miłowali, jak kochamy te północne, te zachodnie, kresy polskiej ziemi naszej! Niech żyje Wilno, niech żyją Ślązacy!

A na wschodnich kresach — żubry! Tak o nich tutaj mówią i słyszę, że ich to dziwi; gdyż za czasów przedwojennych Rosjanie uważali ich za ludzi; mieli dla nich nawet osobną nazwę: mówili o nich »lica polskawo proischożdjenja«. I to określenie, choć ściągało na nich ciężkie prześladowania, choć wyjmowało ich z pod praw, chociaż gnano ich za to na Sybir, zamknięto w Pietropawłowskiej fortecy, zupełnie, jak gdyby byli rzeczywistymi Polakami, to określenie, w przekonaniu Rosjan, obelżywe, było dla nich chlubą i zaszczytem. Za nic nie chcieliby się wyzbyć tego tytułu, chociaż przynosił im tylko ucisk. Dziś dowiedzieli się, że należą do przedhistorycznej fauny.

Tak mówią ci, którzy nie znali nigdy geografji Ojczyzny, własnej historji, ani literatury — Sienkiewicz nie dla nich pisał Trylogję. Ale te przedpotopowe zwierzęta mają pamięć lepszą.

Oni jedni wiedzą, że przed potopem, ta ukochana przez nich ziemia do Polski należała, że tam była Polska; a tak dobrze o tem pamiętają, że choć zupełnie odcięci, nigdy tej ziemi, która od wielu pokoleń była ich spuścizną, nie śmieli uważać za swoją własność. Mogli przecież byli jej się pozbyć i żyć w Królestwie lub w Galicji, w miłszych, swobodniejszych, weselszych warunkach; mogli wyjść z matecznika, ostrzyć grzywy i na zachodzie pędzić życie bez troski, ale sądzili, że obowiązkiem ich było strzec wspaniałego dziedzictwa przodków. Strzegli go nie dla siebie, dla Polski. Ta myśl jedynie dała im hart i wytrwałość w prześladowaniu, o którym nie mają pojęcia tutejsi mieszkańcy. Ustaścić, choć jedną morgę tej ziemi, uważali za zbrodnię względem Ojczyzny. I dziś ze zdumieniem i boleścią wielką dowiadują się, że żyli w złudzeniu, że Polska żadnego im tam nie dała mandatu, że Kresy to nie Polska. »Nic to!« powiedziałby Wołodyjowski. Żubry byli, są i będą Polakami. Biedne, zapoznane żubry...

Rozmaitość natur, temperamentów, zwyczajów, spojonych w jedną całość wiarą i językiem, ta rozmaitość w jedności, to właśnie bogactwo, wdzięk i urok Ojczyzny. Powinniśmy kochać wszystkich rodaków. A wady ich — to źródło zasług dla nas.

Ale jeszcze jeden dowód miłości naszej dajmy dziś Polsce, a wiem, że to nam łatwo nie przyjdzie. W imię miłości Ojczyzny, kochajmy wszystkich jej sąsiadów. Jakto! nawet? Tak jest: bo tak Bóg każe, bo tak nakazuje rozum. Póki wrogowie gnębili Polskę, nienawiść gnębieli tak się poplątała w sercach naszych z miłością Ojczyzny, że nie umieliśmy, nie umiemy po dziś dzień, tych dwóch uczuć ani rozłączyć, ani rozróżnić. Ale nienawiść jest parazytem miłości, żyje jej kosztem. Im bardziej w sercach się rozrasta, tembardziej miłość zanika.

Wspomnienia własnego życia niechaj każdemu potwierdzają tę prawdę. Kto przeżył wyjątkowo szczęśliwy dzień, lub chwilę w życiu, jeżeli mu to szczęście miłość przyniosła, czy to w chwili pierwszej Komunji świętej, czy w dzień zaręczyn, czy też urodzin pierwszego dziecka, niechaj sobie przypomni, czy w taki dzień kogo nienawidził, czy był w stanie nienawidzić? Jeśli tak — to mi go żal. On nigdy nie kochał. I my, jeśli tak gorliwie nienawidzimy, to dlatego, że nie kochamy dobrze, ale co gorsza, nie kochamy rozumnie. Nam się zdaje, że, ze względów politycznych, nienawiść jest warunkiem odporności, obowiązkiem

samoobrony, a że sąsiedzi chcą nas pozbawić Gdańska i Śląska, Wilna i Wschodniej Galicji, więc trzeba utrzymać i podniecać, na wszelki przypadek, uczucie gniewu względem wszystkich sąsiadów. Brak nienawiści uważamy za brak patriotyzmu. Kto nie nienawidzi wrogów Polski — ten oczywiście nie może być dobrym Polakiem. Jakto! powiedzą mi — więc nie sprzeciwiać się złu, więc poddawać się każdej przemocy? Tęgo nie mówię. Bronić siebie mamy prawo, a bronić Ojczyznę od wrogów zewnętrznych i wewnętrznych mamy obowiązek. Nie rozbroić Polaków, ale ich uzbroić pragnę. Panujmy nad namiętnościami, a zapanujemy nad wrogiem. Niech broń nasza będzie szlachetną, a sprawa świętą i czystą. Szanujmy we wrogu jego naturę ludzką, jego duszę nieśmiertelną. Bądźmy przekonani, że, choć przed nami zawinił, ma on zalety i wady, jak my. Jego wady są w nim słabością, niechaj zalety staną się naszym sprzymierzeńcem; przemówią one za nami, jeśli ich zapoznawać nie będziemy. Walczmy mężnie, ale pogodnie, z ufnością w słuszność sprawy. Umiarkowanie, spokój, prawda to broń, która nie zawodzi. Złość, gniew to broń słabych, obmowa, oszczerstwo to broń nieszlachetna. Kochajmy szablę, pogardzajmy trującymi gazami. Mężnie walczyc, bo kochamy Ojczyznę, przebaczać urazy, bo kochamy Boga — to hasło rycerskiego narodu!

Żeby Polskę odrodzić, potrzebna jest praca. Bez pracy niema zdrowia, niema hartu, niema zamożności prywatnej i publicznej. Niema błogosławieństwa Bożego,

»Bo najmiłszą ci się zdała
Pracującej ręki chwala«.

Bóg powiedział Adamowi i jego potomkom: »W pocie czoła będziesz pożywał chleb twój«. Kto chce jeść, musi pracować. Kto je, a nie pracuje, nie jest obywatelem kraju, jest darmozjadem. Chwalimy się zachodnią naszą kulturą, ale, gdy chodzi o pracę, czuć w nas Południe i Wschód. Pracować nie umiemy. Kiedy widzimy Amerykanów, Francuzów, Belgów, Niemców i porównujemy intensywność ich pracy z naszą, smutno robi się i wstyd czujemy. Zakładajmy warsztaty pracy, ale przede wszystkim uczmy się pracować. Uczmy się tych cnót, bez których niema ani zasługi, ani pożytku z pracy. Bądźmy ściśli, obowiązkowi, rzetelni, słowni. Szanujmy czas swój i bliźnich naszych. Niechaj

kalendarz terminowy i zegarek pouczają nas bezustannie o obowiązkach każdego dnia i każdej godziny.

Sprowadźmy i mnożmy zakony, które pracować uczą, bo one dostarczą krajowi uczciwych rękodzielników, tak niezbędnych dla odbudowy i rozbudowy Ojczyzny. Mówię szczególnie o zakonach dlatego, bo dają one społeczeństwu największą gwarancję, że wychowują i uczą zarazem, że »módl się i pracuj« jest hasłem tych uczelni, że chłopiec w takiej szkole odbywa nowicjat, nie walki klasowej, ale pracy dla Ojczyzny i społeczeństwa. Obowiązkiem jest znać te instytucje, które już na tem polu pracują, o ich byt się troszczyć, materialnie wspierać, a dzieci, którym chcemy zapewnić wychowanie i kawałek chleba, tam posyłać. Zainteresowaniem naszym zachęcać, dodawać otuchy zakonnikom w ich ciężkiej, a ofiarnej pracy.

Albertyni, którzy szkodliwych i nieraz niebezpiecznych włóczęgów odradzają przez pracę; biorą z ulicy wyrzutka społeczeństwa, a wracają mu nieraz uczciwego i zdolnego pracownika. Salezianie, których gorliwość, umiejętność, doświadczenie mogłoby dawać Polsce tysiące wykwalifikowanych technicznie, a moralnie zdrowych rękodzielników, gdyby społeczeństwo otoczyło tę ich pracę życzliwym poparciem. Cześć tu należy się temu, który ten warszawski zakład stworzył, całe życie jemu poświęcił, a przed śmiercią przekazał Ojcom Salezjanom. Niech Warszawa zapamięta imię ks. Siemca, dobrodzieja swego, zacnego Polaka i wielkiego chrześcijanina. Czy znamy w Warszawie zakłady ks. Toporskiego? Czy znamy Nazaret? Izby Rzemieślnicze św. Antoniego na ulicy Śniadeckich? Mówię o tych, o których wiem. Tam są ukryte skarby dla przyszłego odrodzenia i dla odbudowy Ojczyzny. Ale wszystkie znać trzeba i wszystkie otoczyć opieką.

Sporty są u nas popularne, nie chcę przeczyć ich użyteczności. Zdrowie fizyczne jest także elementem siły społecznej, ale nie potrzebuję chyba wskazywać, co jest ważniejsze, czy zdrowie ciała, czy zdrowie duszy; czy miłość pracy, czy miłość rozrywek.

Odrodzenie Ojczyzny przez miłość Boga i bliźniego. Jak te uczucia rozpalic i utrzymać? Fundament miłości to wiara, ale wiara gruntowna, rozumna, na nauce oparta. Szerzyć oświatę katolicką i pogłębiać ją. Mnożyć seminarja nauczycielskie, katolickie i tak zwane małe seminarja dla pobudzenia powołań. Po-

głębić musimy kulturę duchowieństwa naszego, zakładając Akademję duchowną, bursy na studia w Rzymie i w innych uniwersytetach katolickich. Aby poziom wykształcenia religijnego podnieść wśród ludu, oświecić jego sumienie, nauczyć obcych mu jeszcze obowiązków obywatelskich — niezbędne są częste misje po wszystkich wsiach i miastach Polski.

Oświecona wiara zrodzi miłość. Żeby ją bardziej rozszerzyć, rozplłomić, utrwalić — jeden jest tylko środek: Chleb Anielski, bo to Sakrament Miłości.

I znowu muszę mówić o smutkach moich powrotów z zachodnich Niemiec, Belgji, Francji. Tam w dnie powszednie przy każdej mszy świętej, przy każdym ołtarzu po Komunii św. kapłana rozdają Komunię św. i ta grupa 30—40 osób, która słuchała tej mszy św., cała, bez wyjątku, przystępuje do Komunii św. Przytem, i to najbardziej Polaka uderza, ilość mężczyzn przystępujących do Komunii św., jest prawie równa a czasem przeważa nad ilością kobiet. U nas na 100 kobiet, jeden mężczyzna przystępuje do Stołu Pańskiego. Póki jest ten stosunek, ta dysproporcja, kraj polski nie może uważać się za katolicki. Słyszę, że na Węgrzech i w innych krajach tworzą się ligi mężczyzn, raz na tydzień wspólnie przystępujących do Komunii Świętej i że takie ligi coraz więcej zjednywują członków. Jeżeli tak jest, wierzę w odrodzenie Węgier, ale jakim to szczęściem byłoby odrodzenie Polski przez cudowne działanie Eucharystji! Wtedy o przyszłości Narodu spokojny, radośnie wołałbym z Symeonem: »Teraz puszczaj Panie sługę Twego w pokoju«, albowiem dałeś mi doczekać zbawienia ukochanej Ojczyzny mojej. Nie wątpię, że tak będzie!

Mówiliśmy surowo o wadach naszych, bo kochamy Ojczyznę. A cóżby to było, gdybyśmy tych wad nie odczuwali, gdyby one nas nie bolały? Właśnie ta czujność jest dowodem uleczalności. Mówiłem, że nastąpiła dla nas pora miłości, ale nie zapominał, że cnoty teologiczne są siostrami i zawsze sobie podają ręce. Dziś u nas święto wiary i miłości. Jakżeby zabrakło nadziei? Nie tylko nadzieję mamy, ale pewność. Bóg jest szafarzem łask swych i cudów, ale nie marnotrawcą.

Cudem powrócił nas do życia, zatem nastąpił dla nas czas łaski i opieki, a chociaż przyszłość już od nas zależy, ileż w przeszłości, ileż w dniu obecnym mamy powodów do ufności!

W przeszłości mamy zapisane na dobro Ojczyzny: statut Wiślicki i Unję Lubelską, Chrobrych i Czarnieckich, Cecorę, Chocim, Wiedeń!

A dzisiaj? Ledwo powstałi z grobu, stawiliśmy się zaraz do apelu, a pod Lwowem i Warszawą dowiedliśmy Europie, że może żyć bezpiecznie, bo Polska już objęła straż od plagi pogańskiej i czuwa nad wszechświatowym dorobkiem katolickiej kultury!

Te braki, te wady, o których z taką boleścią mówiliśmy, to jad niewoli, przez wrogów szczepiony. Dziś pierwsza chwila wolności; jak się ona objawia? Oto kongresami katolickimi, we wszystkich diecezjach Polski. Aktami wiary i miłości.

Ręce, z których opadły kajdany, podnoszą się ku Tobie Panie, podnoszą się serca wdzięcznością brzemiennie, a dusza Narodu śpiewa Ci hymn dziękczynienia, radości i chwały.

»Więc, gdy dzisiaj z ziemi woła,
Ty odpowiesz Mu na Niebie!«

Gazy trujące, a trucie sumień własnych. ¹⁾

Ośmielam się wystąpić przeciwko pisarzowi i obywatelowi, z którym polemizować nie łatwo i przykro. On ma siłę i wdzięk stylu, wiedzę i temperament, po jego stronie odwaga cywilna, posłuch i zasłużony szacunek u czytelników. Ja żadnego z tych przywilejów i darów nie posiadam, a jednak... staję wpoprzek Jego propagandzie i chciałbym zwyciężyć.

On mi przebaczy. Natchnieni jesteśmy tem samym uczuciem, cel mamy wspólny, dzieli nas nieporozumienie. Kochamy Ojczyznę, On i ja, chcemy obydwaj jej dobra. A kiedy wspólna i szczerza miłość łączy, nic trwale rozłączyć nie może.

Pan Rabski — bo przeciw jego artykułowi mam odwagę wystąpić — wzywa,² ze zwyczajną sobie siłą przekonania, by wszyscy Polacy, drogą ofiarności prywatnej, obdarzyli państwo polskie fundacją Instytutu Chemji Wojennej dla wyrobu gazów trujących. W parę dni później, w drugim artykule, pan Rabski gorszy się, że znalazł oponentów. Artykułu, krytykującego projekt składek, nie czytałem, ale z odpowiedzi p. Rabskiego na tę krytykę wnioskuję, że argumenta opozycji były drugorzędnej siły, bo nie poruszyły myśli zasadniczej, któraby może projektodawcę przekonała. Opozycja skuteczna oparta być winna na tej samej trosce o dobro Ojczyzny, która przyświecała autorowi artykułu o potrzebie chemicznego instytutu.

Przecież p. Rabski niemal codziennie daje dowody miłości Ojczyzny: odważnej, gorącej, rozumnej. Czujnym się okazał na niebezpieczeństwo trujących gazów, które, płynąc do Polski ze Wschodu, szeroką falą demagogicznego szału uderzały nieraz do głowy niektórym przedstawicielom Rządu i Sejmu naszego.

1. Artykuł drukowany w *Przeglądzie Powszechnym* sierpień-wrzesień 1922 r.

2. Artykuł »Dla armji« w *Kurjerze Warszawskim* z 15 maja 1922 r. Niniejsze wystąpienie było również przygotowane dla tegoż Kurjera, który wszakże go nie przyjął na swoje łamy.

Za tę odwagę zyskał sobie wdzięczność i szacunek wszystkich, którzy go czytali. Dziś troska jego zwraca się ku Zachodowi i jakże słusznie! Tam drugi wróg czyha na nas, a gazy, które wytwarza (»Gift für Polen«), widać są stokroć niebezpieczniejsze, bo już nas zatruli, choć nie zdajemy sobie jeszcze sprawy z tego.

Gazy te nie grożą płucom naszym, ani wzrokowi, ani porządkowi społecznemu, jak gazy rosyjskie; ale... one niszczą sumienie narodowe, naszą dobrą sławę, nasze tradycje historyczne.

Gdyby, z rozkazu generalnego sztabu armji polskiej i na koszt rządu, powstał Instytut chemiczny, ja, nie będąc ani strатегоm, ani prawodawcą, milczałbym, jako niepowołany do wydawania sądu. Nie śmiałbym, nie mając na to prawa, utrudniać rządowi jego prac, kiedy nie dzielę jego przed narodem odpowiedzialności. Ale, kiedy podniósł się głos znakomitego publicysty, w *Kurjerze Warszawskim*, w czasopiśmie tak poczytnem, zatem, nie w imię rządu, ale w imię myśli polskiej, głos nawołujący naród cały do składek na Instytut Chemji Wojennej, wtedy już czuję się w prawie podnieść głos i nic mnie od wypełnienia tego obowiązku powstrzymać nie może.

Z całej siły miłości Ojczyzny mojej i troski o czystość sumienia narodowego — protestuję!

Protestuję dla tych wszystkich powodów, dla których protestowali inni, bo argumenty ich, choć drugorzędne, są słuszne. Protestuję dlatego, że walka trującymi gazami jest wykroczeniem przeciw konwencji hagskiej, co już jest bardzo poważnym argumentem, ale przede wszystkim dlatego, że jest ona wykroczeniem przeciw przykazaniom Bożym.

Bronić tę tolerować może tylko takie zdziczenie obyczajów, jakie powoduje wojna. Jestto biała gorączka krwią upitego żołdactwa. Niech Pan Bóg broni świat od tego, żeby zbrodnia ta stała się chroniczną; niech broni dusze nasze od tej strasznej pokusy, by słowo »truć« zamieniło się u Polaków w hasło patriotyczne. Byłby to koniec cywilizacji... powrót do barbarzyństwa. Projektodawca, broniąc zasady, że społeczeństwo powinno z własnej inicjatywy i ofiarności dopełniać dla obrony kraju tego, na co rządowi brak środków, przytacza przykład Niemiec,

Odrodzenie narodu przez wiarę i miłość.

gdzie flota wojenna stworzoną była, w znacznej części, z ofiarności prywatnej. Potakiwałbym radośnie, gdyby społeczeństwo, widząc ciężki stan skarbu naszego i pragnąc ulżyć budżetowi ministerjum wojny, wzięło na siebie koszta: szpitalnictwa, aprowizacji, umundurowania, byle na gazy trujące społeczeństwo dobrowolnie nie dało ani grosza. Inni współpracownicy Kurjera (może to dla mnie opatrnościowy wypadek), kilka dni przed pojawieniem się odezwy p. Rabskiego, obszernie opisali, czem jest już dzisiaj siła niszcząca gazów wyrabianych dla celów wojennych. Kilka bomb, rzuconych na największe miasto, może je zamienić w wielkie cmentarzysko, w którym po kwadransie będzie tyle trupów, ile w niem było żyjących mieszkańców. Gazy te nie mają ani koloru, ani zapachu. Nic więc przed niebezpieczeństwem nie ostrzega.

Natura dała najniebezpieczniejszemu wężowi, prócz jadowitych zębów, jeszcze dzwonki, które ostrzegają człowieka przed jego zbliżeniem. Ale Kain współczesny, od grzechotnika gorszy chce truć bez narażania się na niebezpieczeństwo. Szlachetniejszym jest Kain I, ten, który był dotąd patronem bratobójstwa.

Krótkowzroczny i niczem nie dający się opamiętać oportunizm ludzki odpowie im na to: ależ tu chodzi o obronę Ojczyzny. *Salus rei publicae suprema lex.*

Nie, to nie prawda! Jest prawo wyższe, od którego zależy zbawienie narodów, prawo Boże, a każdy czyn ludzki, nie liczący się z prawem Bożem, jest bezprawiem, anarchją i nie wzmacnia narodu, ale osłabia.

Wyrabiać gazy przeciw Niemcom, czy przeciw Rosji, co za złudzenie! One nas zatrują!

Nie innych śmiercią, lecz własną, bezpłodnie,
Kończą na ziemi wszystkie świata zbrodnie.
Żadna z nich, żadnych niema przywileji,
Król, czy gmin jaki dopuści się zdrady
Słowu Twojemu, przepada z kolei.

Jaką krótką pamięć mamy! W czasie ostatniej wojny, zatem wczoraj jeszcze, oburzała nas walka podwodnemi łodziami, trującami gazami, oburzała brutalna bezwzględność pruskiego najjeźdźcy, ale co sprawiło, że cały naród niemiecki stoi dziś pod pręgierzem opinji publicznej, to popieranie barbarzyństwa onego przez uczonych, profesorów, myślicieli, przez ten kwiat społeczeństwa,

który powinien być światłem i sumieniem narodu. Oburzenie było słusznem, bo »w narodzie duch zatruty — to dopiero sromów srom«.

Czyżby Polska nauczyła się już, w czasie wojny, tej moralności murzyńskiej, która twierdzi, że to, co mój sąsiad popełni przeciwko mnie, jest zbrodnią, ale to, co ja mu nabroję, jest bohaterstwem?

Salus rei publicae suprema lex? Nie daj Boże, by ten aforyzm łaciński poczuł się w sercach naszych dogmatem silniejszym od dekalogu. »Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną« — mówi Ten, który nas wywiódł z domu niewoli. Więć nie zasłaniajmy się tym bałamutnym i bezmyślnym frazesem, nie dajmy się upajać szowinistycznym haszyszem.

Losami świata rządzą nie ludzie, ale Bóg i tylko ulegając Jego prawom, możemy liczyć na Jego opiekę.

Przyjmuję z wdzięcznością od p. Rabskiego przykład ofiarności Niemiec na cele wojenne; ilustruje on najlepiej to, co francuskie przysłowie tak trafnie określa, *l'homme s'agite et Dieu le mène*. Niemcy wyrażali aforyzm przezemnie zwalczany tekstem, który w ich języku brzmiał: *Deutschland, Deutschland über alles*, ale ponieważ to »über alles« znaczyło w ich duszach: »ponad prawo Boże, ponad prawo sąsiada, ponad prawo słabszego«, więc ofiarności tej, na ołtarzu Ojczyzny składanej, Bóg nie pobłogosławił i dym tej ofiary, zamiast wznieść się ku niebu i przynieść im zwycięstwo, rozesał się oparami trujących gazów po całej niemieckiej ojczyźnie.

Oni wprowadzili walkę łodziami podwodnemi, a za tych kilka tysięcy bezbronnych ludzi, zatopionych w morzu, miljony zbrojnych, rzecz niebywała dotąd w dziejach świata, przepłynęło ocean, by pomnożyć liczbę ich wrogów.

Oni zatruili gazami dziesiątki tysięcy ludzi. Zwycięstwa to im nie przyniosło, ale powiększyło ciężar odpowiedzialności ich przed zwycięzcami.

Oni to posłali w zapieczętowanych wagonach ten *Gift für Russland*. I teraz, widzieliśmy w Genui, jak tą trucizną sami karmić się musieli, bo trup rosyjski stał się ich jedynym sojusznikiem, tak z nimi złączonym nierozdzielnie, jak skutek z przyczyną. Są to związki krwi w strasznem, a ścisłem tego słowa znaczeniu.

Ludożerca Rosja, pohańbione Niemcy, to pogładowa nauka, to odpowiedź na pytanie, kto i co zwycięża w świecie: siła czy prawo? oportunizm czy cnota? Oby ta nauka nie poszła nam w las, bo wyraźniejszej sam Pan Bóg dać nam nie mógł. Zginęliśmy już, jeśli z niej nie skorzystamy.

Niemcy byli patryjotyczni, z dobrowolnych składek tworzyli flotę wojenną, wymyślili gazy trujące i palące, używali z wielkim skutkiem podwodnych łodzi, ale śpiewali: *Deutschland über alles* i Bóg ich upokorzył. Gdzie są dla nich korzyści ataków gazowych?! Nie zapominajmy ani o tej strasznej nauce, ani o ufności, którą winniśmy Bogu za cudowną Jego opiekę nad Ojczyzną naszą, ani o tej wierności prawu Bożemu, którą serce i rozum nam nakazują. *Vincit vim virtus*, mówili już w pogańskiej Romie. A my chrześcijanami jesteśmy, powinniśmy więc wierzyć, że zwycięża nie karabin i armata, nie siła fizyczna, nie pieniądze, nie spryt, albo zdrada... zwycięża Galilejczyk. Kto się o tem nie przekonał po przebytych latach wojny, ten ślepy i głuchy jest nieuleczalnie. Galilejczyk zwyciężył świat. Nie przechodźmy, w chwili Jego zwycięstwa, do innego obozu. Byłoby to szaleństwem!

Nieprawdą jest, że kto nie będzie truł innych, ten zatrutym zostanie. Prawda jest wręcz przeciwna. Kto truć pragnie, ten od trucizny zginie.

Posiadamy przyznane nam przez świat cały tytuły szlachectwa, ze wspaniałym przydomkiem »przedmurza chrześcijańskiej kultury«. Szanujmy tradycję cnoty rycerskiej naszego narodu. W godzinie »Cudu nad Wisłą« ochotnicza młodzież polska nie miała dla obrony stolicy trujących gazów, ale szła w ogień pod sztandarami Serca Jezusowego i Królowej Korony Polskiej. Tej ofiarnej krwi młodzieńczej, tej wierze i tej ufności w Bogu zawdzięczamy zwycięstwo.

Nie była to obrona chemiczna, a okazała się skuteczną. Po co wzorować się mamy na narodzie zwyciężonym? Zgubę nam to tylko przynieść może.

Niechaj historia nasza nie zapisze na czystych swych kartach, że za pieniądze, dobrowolnie ofiarowane przez całą ludność polską, zatrute zostały gdziekolwiek miasta i wsie, pola i wody, meże, kobiety i dzieci sąsiadów naszych. Wolimy zginąć wszyscy, niż nosić na sobie ten wyrzut, to piętno, tę plamę.

Nie boję się o bezbronność Ojczyzny mojej, bo jeśli Bóg będzie z nami — *quis contra nos?* a będzie On z nami, jeśli my będziemy zawsze z Nim.

Rosjanie zaufali rewolwerowi, Niemcy gazom trującym. Cóż się stało z potęgą i dobrobytem Rosji, z potęgą i dumą Niemiec?

In te, Domine, speravi, non confundar in aeternum.

O potrzebie stronnictwa zachowawczego.

Przemówienie na zebraniu inauguracyjnym koła krakowskiego Stronnictwa Zachowawczego 29 października 1922 r.¹

Opatrzność dała każdemu z nas dwie ręce i tylko ten, który obiema się posługuje, jest normalnym człowiekiem. Tak samo w życiu państwowym, nieodzownym czynnikiem równowagi jest stały wpływ stronnictw: prawicy i lewicy. Lewica uchroni rząd od despotyzmu, prawica od demagogji.

Wskrzyszona Polska nie powinna być mańkutom. Istnienie dzielnego stronnictwa zachowawczego jest koniecznością. Ale stronnictwo zachowawcze na to, by było pierwiastkiem państwowego stroju, a nie nowym czynnikiem rozstroju, powinno mądrze, sumiennie i uczciwie wybrać z przeszłości to tylko, co jest świętą, życiodajną spuścizną narodu. Lekceważenie uczuć zachowawczych, to byłby zanik instynktu samozachowawczego, to wyrzeczenie się zasług i chwały przodków, to zdrada i odstępstwo, które spaczyło charakter narodowy i wykoleiło Polskę z drogi jej dziejowych, opatrnościowych przeznaczeń. Stronnictwo powstające, chociaż samozachowawcze, nie powinno zachowywać s w y c h wad, tak tradycyjnych, jak nabytych. Powinno wyzbyć się bierności, inercji, obojętności, egoizmu stanowego, wspólnego wszystkim stronnictwom, ale najmniej przebaczalnego u tych, którzy postanawiają Ojczyznę kochać ponad swoje stronnictwo. Miłość własna to antyteza miłości.

Wiara i wierność Kościołowi powinna być nie tylko hasłem stronnictwa, ale kamieniem węgielnym jego pracy, jego racją bytu.

Powiedzą nam, że wiara to skarb duchowy każdego człowieka, ale, kiedy chodzi o stronnictwo polityczne, nie można postulatu tego stawiać na pierwszym miejscu.

¹ Ukazało się w druku w Krakowie 1923 r. p. t. »Z zebrania inauguracyjnego Koła krakowskiego Stronnictwa Zachowawczego«.

Niech to błędne pojęcie przestanie nam zaciemniać oczy i głużyć sumienia! Właśnie dlatego, że żadne ze stronnictw narodowych nie dało należytego, naczelnego miejsca wierze katolickiej, nie mogło być w Sejmie ani stałej większości, ani zgody. Nikt nie mógł rzucić hasła, które jednocy, koi, porywa. Nie było partji szczerze i przede wszystkim katolickiej i dlatego w Sejmie prawdą było nie to, co stronnictwa pisały na swoich sztandarach, ale tylko to, co jedne drugim zarzucały. Taki stan rzeczy nie mógł dać silnego rządu, nie mógł Sejmu otoczyć życzliwym szacunkiem, a narodowi nie dał uczucia ładu i bezpieczeństwa. Dlatego też stronnictwo zachowawcze, szczerze i przede wszystkim katolickie powstać musi!

Kłamstw jest tysiące, więc one dzielą, różnią i kłócą ludzi między sobą. Prawda jest jedna, a Kościół katolicki jest jej posiadaczem i tylko ona nas zjednoczy. Wiara katolicka nie jest tylko cechą narodowości polskiej. Ona jest nieodzownym czynnikiem jej politycznego, społecznego, etycznego istnienia i rozwoju. Polska musi być katolicką, albo zabraknie jej wśród żywych narodów Europy. Tylko taka Polska jest czynnikiem wszechświatowej harmonji, równowagi i ładu. Położenie geograficzne, misja jej historyczna wymagają tego, by zachowała i umocniła w sobie chrześcijańską tradycję. Chodzi przecie o to, gdzie zaczynać się będzie Azja: nad brzegami Odry, czy Dniepru? Gdzie będą przednie straże kultury chrześcijańskiej — w Berlinie i w Wiedniu, czy w Wilnie i Lwowie?

Polska na to, by być jednolitą, by mieć u siebie rząd szanowany, a nie nierząd, powinna mieć prawodawstwo zgodne z prawem Bożem. Na to, by się odrodzić, powinna dbać o moralne odrodzenie każdego Polaka, bo Rzeczpospolita z chwałą panować potrafi wtedy tylko, kiedy każdy Polak będzie umiał sam panować nad sobą — tego bez pomocy Kościoła nie nauczą się Polacy. Ale religja katolicka, ta mistrzyni narodu i podpora państwa, powinna przez to państwo być uznana, jako religja p a n u j ą c a w Polsce ma być otoczoną czcią i opieką; powinna być zaopatrzoną w środki niezbędne dla spełnienia swego dobroczynnego posłannictwa.

Bronić Kościoła w każdym sumieniu, wprowadzać zasady jego nauki w świadomość, w krew, w szpik kości naszego społeczeństwa jest pierwszorzędnym obowiązkiem naszym. Chcemy

nie tylko zapewnić Kościołowi swobodę jego działania, ale gorliwie dopomagać mu w jego pracy. Zabezpieczyć Ojcu Świętemu możliwość wykonywania Jego pasterskiej opieki nad owczarnią Chrystusową w Polsce i prawem zawarować egzekutywę Jego zarządzeń kościelnych i hierarchicznych.

Pamiętać winniśmy, że mamy brak powołań, za mało księży, potrzeby wiernych nie są należycie zaspakajane, katechizacja prawidłowa nie istnieje. Seminarja nauczycielskie nie dają żadnej gwarancji chrześcijańskiego wychowania przyszłych pokoleń, poziom wykształcenia ogólnego i teologicznego naszego duchowieństwa powinien być koniecznie podniesionym, bo z nim podniesie się gorliwość i celowość pracy kapłanów, a także kultura katolicka społeczeństwa, która niestety jest bardzo prymitywną.

Geograficznie jesteśmy narodem wschodnim, ale duchem, sercem, kulturą połączeni jesteśmy z Zachodem i o tę spójnię dbamy. Z Rzymu otrzymaliśmy wiarę... płaciliśmy za nią wiernością i ta wiara stała się narodowym klejnotem. Szczycimy się słusznie tytułem: »Przedmurza Chrześcijaństwa«. Narody Zachodu to bliscy krewni nasi, bo za dobrodziejstwo wspólnej kultury płaciliśmy hojnie krwią rycerzy i męczenników polskich. Ale pamiętajmy, że te związki rozluźnionemi zostały, że ten dopływ nauki i kierownictwa Kościoła katolickiego zatamowany był stopięćdziesięcioletnią niewolą, że przez półtora wieku pozbawieni byliśmy prawa samodzielnej pracy i pielęgnowania ideałów narodowych. Ten czas stracony odzyskać musimy, by wrócić nam zostało nasze dawne zaszczytne stanowisko w wielkiej rodzinie ludów cywilizowanych.

Po wojnie praca katolicka na całym świecie pulsuje przyspieszonym tętnem: kobiety, mężczyźni ze sfer inteligentnych, rzemieślniczych, robotniczych, młodzież akademicka skupiają się pod sztandarami wiary i etyki chrześcijańskiej, starają się stworzyć międzynarodowe związki katolickie, by skuteczniej zwalczać obłąd i zbrodnie bezbożnej Międzynarodówki. Niech nas w tym krzyżowym pochodzie nie zabraknie, a kiedy z nimi pracować będziemy, na chwałę Bożą, na pożytek Ojczyzny naszej, starajmy się dotrzymać im kroku, jeśli już nie przodować gorliwością, szczerością i głębią kultury katolickiej.

Na podstawie nauki Kościoła, bronić będziemy rodziny, jej

spójni, jej świętości i tej zasady, że ojciec i matka mają w domu swoim większe prawo nad dziećmi niż państwo. Niema brutalniejszego gwałtu, jak naruszenie postanowienia Bożego, które rodzicom oddało pieczę nad dzieckiem, a z którego despotyzm socjalistów chce rodziców wywłaszczyć.

Stronnictwo powinno popierać oświatę i dożyć tej pociechy, »by dobra książka zajrzała pod strzechy«, ale... tylko dobra książka. Jeżeli ma być złą i gorsząca — o lepiej, żeby jej czytać nie potrafili, a raczej nie zechcieli. Oświata wtedy tylko idzie na pożytek uczniowi i państwu, kiedy jednocześnie wychowanie wdraża dziecko w sumienne spełnianie obowiązków. Szerzenie oświaty, a zaniedbywanie wychowania to karygodna lekkomyślność, lub zbrodnicza zła wola. Lepszy i mniej niebezpieczny jest dzikus afrykański lub europejski analfabeta, niż chemik-truciciel, mechanik-fizyk, który nauczył się pruć opancerzone kasy, doktor praw, który umie i uczy swoich klientów, jak żyć wygodnie cudzą krzywdą, przemyślnie obchodząc prawo. Zbrodnią jest zaniedbywać oświatę narodu, ale podwójną zbrodnią jest powierzać ją i oddawać w niegodne ręce, bo wtedy nauczyciel staje się nie wychowawcą, ale gorszycielem — nie oświeca, ale wykoleja i znieprawia duszę ludu. Nauka powinna być wiary sojuszniką, bo wtedy tylko na prawdzie się opiera i dlatego Stronnictwo Zachowawcze nie przestanie domagać się szkoły wyznaniowej.

Będziemy bronić świętości sakramentu małżeństwa i nierozzerwalności związków przez Kościół zatwierdzonych. Rodzina to zarodek ładu społecznego. Prawo o rozwodach to rozkład, to anarchja, to zezwierzczenie społeczeństwa.

Uważamy encyklikę *Rerum Novarum* za obowiązującą podstawę ewolucji prawodawczej w dziedzinie pracy i płacy. Potępiamy pseudo-liberalne teorie szkoły manchesterskiej dlatego, że jej bezduszne sofizmaty sprzeciwiają się sprawiedliwości i miłości chrześcijańskiej. One zamieniły robotnika w towar, którego cena zależy od podaży i popytu, a koniunktury rynku wydawały się ekonomistom tej szkoły pomyślnymi wtedy, kiedy kapitalista osiągał największe zyski, a robotnik brał najmniejszą płacę. Ten liberał drugiej połowy dziewiętnastego wieku liberalnym był dla bogatych, ale wyzyskiwaczem i lichwiarzem ubogiego robotnika.

Podajemy wolę naszą wskazówkom Leona XIII. Bronić będziemy prawa własności zawsze dla siebie i przeciw sobie.

W sprawie agrarnej uważamy, że prawo o przymusowym wywłaszczeniu i parcelacji, dokonywanej przez władze rządowe, krzywdzi jednych, drugim nie przynosi żadnej korzyści, więc jest szkodliwym. Zuboży Polskę, zmniejszając ilość i jakość produktów rolnych, obniżając poziom rolniczej wiedzy, ale przede wszystkim poziom moralności ludu. Ta nowa uprzywilejowana klasa, otrzymawszy ziemię bez zasługi, nauczy się oczekiwać wzbogacenia, nie drogą pracy i oszczędności, ale demagogicznego teroru i siły przed prawem. Co innego, kiedy chodzi o naddział dla inwalidów wojennych. Ci nie należą do kategorii ludzi, którymby się ziemia dostała bez zasługi — darmo. Oni krwią swoją za nią płacili; wszystkie narody poczuwają się do obowiązku opieki nad tymi, którzy broniąc ojczyzny, ponieśli utratę zdrowia, lub kalectwo. I Polska ma święty obowiązek nagrodzić i byt zapewnić inwalidom wojennym. Nie ma tylko prawa nagradzać jednych, krzywdząc drugich, nie ma prawa brać u Piotra, żeby odszkodować Pawła, bo to sprzeciwia się sprawiedliwości i porządkowi społecznemu. Jesteśmy przeciwni prawu o wywłaszczeniu, bo to prawo jest rewolucyjnym, zatem paczącym prawo naturalne.

W państwie o kulturze chrześcijańskiej kodeks opierać się powinien na prawie naturalnym, to jest na sprawiedliwości i miłości, a nie na utopji, nie na »widzi mi się« indywidualnym. Nie rewolucyjne despotyczne ukazy, ale naturalna ewolucja normuje stosunki ekonomiczne w sposób najbardziej odpowiadający korzyści ogólnej. Gdyby, dla zbilansowania budżetu bezrolnych, poświęcono zasadę nietykalności prawa własności, wątpliwą jest rzeczą, czyby bezrolni wzbogacili się na tem, ale niewątpliwą, że kraj by zbankrutował. Kto nie wierzy, niech pojedzie do wschodnich naszych sąsiadów. Ja na to zbliżka patrzyłem. Zaczęli od hasła »ziemia i wola«, skończyli na ludożerstwie, bo, od kiedy cudzą ziemię posiadli, umierają z głodu!

Prawo, które nie tylko odbiera właścicielowi ziemię, ale nie płaci za nią słusznie należnej ceny, choćby w Sejmie przeszło większością więcej niż jednego głosu, gwałci zasadę sprawiedliwości, a zatem prawem nie jest tylko bezprawiem, nikogo w sumieniu nie obowiązującym.

Własność jest fundamentem ustroju społeczeństw cywilizowanych!

Bronić będziemy własności cudzej przed naszą własną

chciwością, drapieżnością i egoizmem, bacząc, by robotnik rolny, czy fabryczny, w mieście, czy na wsi, nie był wyzyskiwanym, by miał wynagrodzenie, pozwalające mu zaspokoić potrzeby życia, by miał ponadto udział w zyskach, które jego praca przynosi, by ta praca wzbogacała także i jego. Bo słuszny owoc pracy nie może być mu odjętym, bo praca jest jego własnością, a własność jest świętą.

To są cele stronnictwa... a środki?

Środki mogą być tylko takie, które nie uwłaczają celowi — szlachetne, jak nasz ideał polityczny. Więc ofiarność serca, umysłu i kieszeni dla dobra Ojczyzny i dla celów stronnictwa, uczciwość w postępowaniu, wstrzeźliwość w obietnicach, wierność w wypełnianiu przyrzeczeń, gorliwa, roztropna, ofiarna praca, odwaga cywilna i nieustraszona walka ze złem, tem bezwzględniejsza, że nigdy nie powinna być zatrutą nienawiścią do złych. Miłować musimy — nawet złych, jeśli chcemy pozostać wiernymi zasadom naszym. Walkę im wypowiedamy w imię tej samej miłości — miłości Boga, którego prawa oni gwałcą, miłości Ojczyzny, której szkodę przynoszą, miłości ziomek, których zwodzą i bałamucą.

Zwalczać będziemy egoizm, gdziekolwiek zakiełkuje, czy na prawicy, czy na lewicy, ale tępić go będziemy z podwójną czunością w naszym stronnictwie, bo zawsze od siebie każdy zacząć powinien pracę nad odrodzeniem Ojczyzny.

Wobec lewicowego rozmachu młodej państwowości naszej, jakże zaważyć może, jakże zwyciężyć stronnictwo zachowawcze?

Głosy stronnictwa mają mieć wartość nie przez liczbę swoją, ale przez wagę... nie rachować nas powinni, ale liczyć się z nami!

Jak zwyciężyć?... nie liczba zwycięża, ale prawda! Liczba i jej potęga — to przestarzały przesąd.

Sztaby generalne wierzyły tylko w liczbę karabinów — zwyciężyła jednak bezbronna, w kajdany okuta, dobra sprawa nasza i zawsze tak będzie! Trzeba tylko, by sprawa zawsze dobrą była.

Partja polityczna, która mieniła się mandatarjuską Polski katolickiej sądziła, że zwycięży tylko wtedy, kiedy zdobędzie poparcie w większości sejmowej i na to, by nie stracić kierowniczych wpływów w rządzie, przedstawiciele jej nie zawahali się

połączyć z najzawziętymi wrogami tych politycznych ideałów, dla obrony których stronnictwo powstało. Chodziło im o to, by w nowej ministerjalnej kombinacji partja nie była wyrzuconą za nawias i nie spostrzegli, że tylko osoby ich weszły do składu rządu, a ideały... pozostały za nawiasem.

Nie podejrzewam ich dobrej woli i dobrej wiary, ale wyrobienie polityczne, ale ich roztropność jest mi wysoce podejrzana.

I cóż się stało? Ci nowi sprzymierzeńcy socjalistów weszli do składu rządu, więc... zwyciężyli. Koszt tego Pyrrhusowego zwycięstwa — zapłaciła Polska... kredytu ani laurów ten sukces nie przysporzył stronnictwu, ale wykoleił je najzupełniej. Oby dziś powstające młode stronnictwo tych błędów nie powtórzyło i nie uległo pokusie tego rodzaju kompromisu.

Dlaczego jednak stronnictwo zachowawcze ma wątpić w zwycięstwo... liczebne nawet? Nie jesteśmy partją pruskich junkrów, angielskich landlordów, ani niemieckich agrarjuszy. Bronić chcemy wiary... zajrzyjmy do przepelnionych naszych kościołów, popatrzmy jak tam się modlą, przeliczmy pielgrzymów w Częstochowie; ten lud polski wiary łaknie bardziej, niż chleba. On w Bogu widzi Ojca, a Królowę Polski kocha, jak Matkę, on pójdzie za nami, bośmy mu braćmi — w Bogu.

Powiedzą mi, że ta pobożność ludu jest zjawiskiem atawistycznym, że wiara jego jest raczej fizjologicznym, niż duchowym objawem, że na niej budować niewiele można. Budować rzeczywiście trudno. Taka wiara, to nie opoka, ale raczej dziewiczy łąn, bogaty, odłogiem leżący czarnoziem. Wierzajcie mi, Panowie, ta rodzima ziemia nasza wymaga tylko uprawy starannej, a wydać może plon stokrotny. Budować na niej nie można, ale obsiewać dobrem ziarnem i... wierzyć w żniwo obfite! Więcej ufam tej dziewiczej roli, niż zwietrzałej opoce indyferentyzmu naszych sfer inteligentnych, szlacheckich, magnackich.

I kiedy zatknijemy sztandar stronnictwa zachowawczego z godłem: *pro aris et focis*, ze wstydem wyznaję, że będzie ludowi naszemu bliższą do niego droga, niż sferom inteligentnym.

Obrońców gniazda rodzinnego, świętości małżeństwa, szkoły katolickiej, lud polski nie wyprze się!

Bronić będziemy własności i każdy włościanin, pan na swojej roli pójdzie za nami. Bronić będziemy robotnika wiej-

skiego i miejskiego od wyzysku i otoczmy opieką każdego chcącego uczciwie pracować. Zaufają nam oni, kiedy się przekonają, że myślimy o nich nie na to, by z nich zyski ciągnąć dla siebie, ale pracujemy, by się im w Polsce lepiej żyło, bo tego wymaga sprawiedliwość.

Pragniemy, by się wszystkim obywatelom Polski dobrze działo. Litwin, Rusin, Białorusin i Żyd, jeśli Polskę za Ojczyznę szczerze uznają i służą jej wiernie, powinni cieszyć się życzliwą opieką rządu. Mają prawo wymagać swobody dla wiary swojej, wychowywać dzieci w szkołach, przez rząd dla nich założonych i subwencjonowanych, pielęgnować swój język, obyczaj, kulturę. Konstytucja nasza jest opiekuńczą dla wszystkich synów Ojczyzny.

Ale właśnie dlatego walczyć musimy i dobijać się bezwzględnie, żeby i Polakom rodowitym także dobrze się działo w Polsce. Nie pozwolimy przybyszom gospodarować u nas w domu, pażyć naszą politykę, podkopywać chrześcijańską zasadę naszego prawodawstwa, deprawować nam szkoły, dlatego, że tym »mniej-szościom narodowym« przeszłość nasza jest obca, a tradycja i wiara — wstrętne.

Kiedy będziemy bronili duszy polskiej, panującego stanowiska religji katolickiej w naszym katolickim kraju i praw Polski do stanowienia o sobie, nie możemy być w mniejszości. I to nam jeszcze stronników i kredytu przysporzy: kochać postanowiliśmy Polskę ponad stronnictwo nasze, a to stronnictwo zawiązujemy, by tej Polsce skutecznie służyć, by jej rany leczyć, by w sobie samych wady narodowe wyplenić, a cnotę narodową podnieść i wydoskonalić. Członków stronnictwa lub jego sojuszników... miliony w Polsce, ale jeśli o nich nie wiemy, to tylko dlatego, że oni o nas nie wiedzą. Wielu śpi, inni błędzą, cierpią, tęsknią, pragną, czekają pobudki, a myśmy spali dotąd!

Wojsko jest... Wodzów niema!

Sztandar wspaniały, pociągający oczy i serca! Chorążego brak było dotąd.

Niech tym chorążym będzie Stronnictwo Zachowawcze i niechaj wierzy, że Bóg pobłogosławił jego dobrej woli.

Bo kto z Bogiem, z tym i Bóg!

Wychowanie i oświata.

Referat, wygłoszony 29 czerwca 1923 r.

Nie będę dziś rozwodził się nad potrzebą oświaty, bo nie chcę, jak mówią Francuzi, wlamywać się do drzwi, naoścież otwartych.

O potrzebie nauki przekonana jest ogromna większość społeczeństwa naszego. Głód wiedzy — to hasło nieledwie najpopularniejsze w Polsce. Macierz, kóra pod tem hasłem powstała, otoczona była prawdziwie synowską czcią przez wszystkich Polaków. Pozbawieni byliśmy przez półtora wieku prawa swobodnego pielęgnowania kultury narodowej. Zrozumiała jest rzeczą, że dzisiaj, z nastaniem wolności, pilno nam jest odzyskać stracony czas. Tylko, że ten głód wiedzy, wskutek postu, który trwał sto pięćdziesiąt lat, ma charakter nieco patologiczny, gorączkowy. A jednak, im większe wycieńczenie, tem roztropniej, tem oględniej postępować należy, aby prędko, a skutecznie, powetować straty, które niewola przyniosła. »Oświaty nam potrzeba!« — wołamy wszyscy. Ktoby śmiał temu zaprzeczyć, kiedy statystyka nasza przeraża procentem analfabetów, a powszechne głosowanie i wyniki wyborów w sposób tak upokarzający świadczą o niskim poziomie narodowej kultury?

Jest jednak potrzeba pilniejsza, i jeśli nie zaczniemy od niej, wszelka praca nad oświatą pójdzie na marne, owszem na szkodę się obróci. Tą potrzebą najpilniejszą jest **w y c h o w a n i e**.

Nie nauka stanowi o wielkości narodów i dobroczynnym ich udziale w historii, ale wychowanie.

Mówiłem o upokarzającym wyniku wyborów do Sejmu, ilustrującym niski poziom intelektualny narodu, a jednak przypomnijmy sobie, co nas właściwie najwięcej drażniło, bolało, upokarzało? Oto ci, których powołano na przedstawicieli narodu, nie

zrozumieli ani zaszczytu, który spadł na nich, ani obowiązku z nim połączonego i nietylko słowem, czynem, ale zewnętrznym wyglądem, demonstracyjnym prostactwem, które było tylko demagogiczną kokieteryją, obniżali i krzywdzili w sobie nieraz wielką i realną wartość parlamentarnego wyrobienia. Inni znowu, korzystając, a raczej nadużywając nietykalności poselskiej, brudne prowadzili spekulacje, lub partyjne szacherki, a nawet znalazł się taki, który ułatwiał emigrację łyżek i widelców z bufetu sejmowego w Warszawie aż het... na daleką prowincję. I tyle, tyle innych śmiesznośtek i smutków, bolączek i wstydu. Czy to wszystko było wynikiem braku oświaty? Nie, to brak wychowania. Nauka przysparza dobrobytu, nawet sławy, ale tylko wychowanie otacza narody czcią, daje im ład wewnętrzny, pomyślność, daje im cnotę, a zatem siłę.

Wrogowie Polski o tem wiedzieli i, złożywszy ciało Ojczyzny naszej do grobu, zabić postanowili jej ducha. Nie bali się jednak oświaty. W szkołach nie przerwano wykładów algebry, fizyki, łaciny; na uniwersytetach wykładano dalej prawo i medycynę. Czego się bano — to wychowania. Dlatego ograniczono naukę religji, wygnano wszystkie zakony, uniemożliwiono inicjatywę społeczeństwa w sprawach opieki nad duchem szkoły, nad wychowaniem religijnem i moralnem. I wrogowie dzisiejsi, tak zewnętrzni, jak wewnętrzni, utworzyli rodzaj *entente cordiale*, aby pielęgnować u nas pierwiastki rozkładowe. Oświatę tolerować gotowi, byle ona nie rozwijała się na podłożu wychowawczem etyki chrześcijańskiej.

My jednak zrozumieć powinniśmy, że tego nam właśnie pragnąć potrzeba, czego pozbawiły nas państwa rozbiornicze, tego dobijać się, czego domorośli wrogowie ducha polskiego nam odmawiają. Przedewszystkiem o wychowaniu myśleć powinniśmy.

Już Wielopolski powiedział: »Trzeba Polaków wychować«, a O. Jacek Woroniecki, terażniejszy rektor uniwersytetu lubelskiego, cytując te słowa, dodaje: »Coraz jaśniejszem się staje, że jesteśmy narodem, jako całość, niedostatecznie wychowanym: że na tym punkcie znacznie pozostaliśmy w tyle poza innymi narodami zachodnio-europejskimi«.

Leibnitz mówi: »Dobre wychowanie młodzieży jest podwaliną szczęścia ludzkości«. Arcybiskup Orleanu, Dupanloup, który całe życie poświęcił wychowaniu młodzieży, i z którego dzieła:

»O wychowaniu« wciąż dzisiaj czerpać będą podstawowe myśli, ten wielki pedagog, bo wielki chrześcijanin, tak pisze: »Człowiek jest jednocześnie ciałem i duszą, ze wszystkimi jej władzami, więc inteligencją, wolą, sercem i sumieniem. Pan Bóg go takim stworzył. Te pierwiastki natury człowieczej już w dziecku istnieją; trzeba je więc rozwijać, bo dziecko to przyszły człowiek. Gdyby zaniedbać jakąkolwiek dziedzinę jego jestestwa przez lekkomyślność, czy przez złą wolę, harmonja będzie naruszona, wychowanie chybione«.

Z tego widzimy, że praca wychowawcza zawiera w sobie cztery główne działy, odpowiadające władzom ciała, umysłu i duszy człowieka, a mianowicie: rozwój fizyczny, umysłowy, dyscyplina, religja.

Rozmyślnie zaczynam od rozwoju fizycznego i umysłowego, to jest od dwóch działów wychowania, o których potrzebie wszyscy głęboko przekonani jesteśmy, które w Polsce otoczone są największą życzliwością rządu, społeczeństwa i prasy, a o których sędzę, że nie przyniosą krajowi spodziewanych korzyści, o ile dwa ostatnie działy, o których mówić będę na końcu, nie zyskają sobie nie tylko platonicznego uznania, ale równie gorliwej, a bardziej jeszcze ofiarnej opieki i pomocy.

Rozwój fizyczny i higieny zaniedbanymi być nie powinny, szczególnie przy wzmożonej, a więc wyczerpującej pracy umysłowej, bo człowieka siły fizyczne są dla niego i dla społeczeństwa tem cenniejszemi, im szlachetniejszy z nich potrafi zrobić użytek. Nie należy jednak przeceniać tego wychowawczego pierwiastka, aby, przeceniając, nie naruszyć pięknej równowagi między siłami fizycznymi a duchowymi dziecka, na korzyść tego, co Anglicy nazywają *animal spirits*, bo wtedy społeczeństwo spostrzec się może zapóźno, że w tym kolarzu, łyżwiarzu, wioślarzu, sokole, skaucie, footballście i lekkoatletyku może rozwinąć się w zdrowem ciele, nie — zdrowa dusza, ale — zdrowe ciele tylko.

Nie mówię tego lekkomyślnie. Wiem, jak szlachetne cele przyświecają naszej sportowej młodzieży i jaki dzielny duch w tych prężnych ciałach zamieszkał. Dali tego niejedyn dowód, ale wiem także, jakie niebezpieczeństwa im grożą. Bo wilcy nie przestają nigdy krążyć około owczarni Chrystusowej, a kiedy krążą, przywdziewają owcze skóry i ronią łyzy krokodyle, by

zyskać wiarę i popularność. Bóg — to ich wróg, a wiara i obyczaj chrześcijański bronią im przystępu do serc młodzieży. Rodzina i atmosfera zależności i posłuszeństwa dzieci dla rodziców, to jakby wrota zamknięte od owczarni. Trzeba się do niej dostać, lub owce z niej wywabić. Powtarza się bajka o wilku i kozie: »Nie słuchaj mamy, wyjdź na świat«. Rada rozumna, z ich punktu widzenia: posłuszeństwo, szacunek... Cóż im z tego przyjdzie? Im chodzi nie o duszę, ale o ciało.

Więc płaczą nad młodzieżą wyrobniczą, rzemieślniczą i tworzą kolonje wakacyjne. Należy się tym dzieciom w lecie trochę świeżego powietrza, słońca, kwiatów, lasu. I jakże tego nie uznać, jakże im w tych pocziwych zamiarach nie pomóc? Społeczeństwo jednak powinno mieć otwarte oczy, bo w tych lasach są wilcy i często dla dziecka zdrowszą jest atmosfera warsztatu, nawet suterenu, ale ta, którą oddychają matka jego i ojciec, niż świeże powietrze letniej kolonji, które wzmocni płuca, ale duszę zatruje.

Płaczą ci opiekunowie nad zwyrodnieniem fizycznym młodzieży i, według recepty Likurga, biorą od rodziców dzieci na wychowanie. Wyprawiają chłopców i dziewczęta na musztry i ćwiczenia, wyrabiają hart fizyczny i samodzielność, ale jednocześnie i nas, rodziców, wyprowadzają w pole, bo... cieszymy się, że mięśnie naszych dzieci wzmacniają się, a nie widzimy, że osłabiają się węzły rodzinne i spacza się ta harmonja, która istnieć powinna między wychowaniem fizycznym a duchowym. Wiem dobrze, że wśród inicjatorów tych sportowo-wychowawczych związków są często ludzie zacni i szczerzy miłośnicy młodzieży, ale są też i wilcy drapieżni. Trzeba umieć ich odróżniać. Dobrze jest być owieczką, ale nie trzeba być baranem. Chrześcijanin powinien mieć nie tylko prostotę gołębia, ale także ostrożność węża.

Dziewczątka uczą się nieraz tańców rytmicznych i solowych, bo takie lekcje dają ciału gibkość, siłę, więc i zdrowie fizyczne, a ponieważ rozwijają jednocześnie słuch, zgrabność, estetyczne i harmonijne ruchy, inteligentną mimikę, zatem i w dziedzinie kulturalnej są czynnikami wychowawczymi. Tak mówią dzisiejsi pedagogowie i myślą, że wynaleźli coś nowego. Nic jednak nowego pod słońcem. Już Salome znała ten taniec, ale ona stanęła właśnie na przełomie dwóch kultur i ten wielki Jan, który przyszedł prostować ścieżki Pańskie, dał świętą i męczeńską głowę

swoją, by przyspieszyć rozkwit innego, nowego wychowawczego systemu, gdyż poprzedzał on Zbawiciela świata, który miał stwierdzić nieśmiertelność duszy w kobiecie i odtąd ta dusza prym dzierży i pilnuje harmonji w naturze ludzkiej, a warunkiem tej harmonji, a kwiatem tej nowej kultury stała się obyczajność, godność, wstyd niewieści. Pogańskie tańce dla chrześcijanki są zawsze a r y t m i c z n e m i, a chociaż dziś znowu zwyciędła laury herodjadowej córki spać nie dają nowożytnym poganom, my jednak, starsi, którzy nie szukamy w rodzinnem kółku Heroda wzoru kultury i dobrych obyczajów, powinniśmy takie tańce, choćby je rytmicznymi nazywano, z programu wychowawczego naszych córek wyrzucić.

Rozwój intelektualny jest drugim czynnikiem wychowania o tyle wyższym i ważniejszym, o ile w człowieku właściwości umysłu górować powinny nad tężyzną fizyczną, nie czyniąc jednak ujmy tej ostatniej. Potrzeba nauki ogólnie jest uznana i dlatego zatrzymam się przy niej tylko na to, by podkreślić i powtórzyć, że jest ona składową tylko częścią wychowania, że bez wychowania, jest niemożliwą i szkodliwą. Nie można dziecka uczyć, nie wychowując go zarazem, bo na to, by nauka korzyść przyniosła, trzeba pilności, sumiennosci, posłuszeństwa, uwagi, skupienia, zatem zwycięstwa nad sobą, trzeba mu zamiłowania prawdy, dobra, piękna. Tych pomyślnych warunków pracy dziecko niewychowane, a tembardziej źle wychowane mieć nie będzie.

Nauka bez czynników etycznych stwarza w głowach dzieci nie skarbnicę wiedzy, ale raczej strychy, w których składane są bezładnie różne towary, a ten bezład sprawia, że, co dzisiaj tam weszło jako cenny towar, zamienia się wkrótce w rupiecie. Szkoła uczy dzieci łaciny, algebry, botaniki i innych przedmiotów, ale najczęściej młodzieniec zapomni, czego się w gimnazjum nauczył, zanim w życiu zdarzy się mu sposobność praktycznego zastosowania tej wiedzy. Główne zadanie szkoły jest inne: ona uczy — uczyć się; rozwija pamięć, wdraża do pracy samodzielnej, do myślenia, pojmowania, kombinowania i w tem największa wartość tej nauki. Ale to właśnie dowodzi, jak błędną jest myśl, że w szkole nauka jest celem, kiedy ona jest tylko jednym ze środków wychowawczych. Smutnem i fatalnem omamieniem jest przekonanie, że kto skończył gimnazjum, a tembardziej uni-

wersytet, ten skończył wychowanie. Wychowanie nigdy się nie kończy, ale biada temu, u kogo ono nie poprzedziło nauki, lub nie splotło się z nią w jedną całość, bo wychowanie ułatwia naukę, a spóźnione wychowanie, które dopiero świat i życie dają, jest daleko surowszem i boleśniejszym od tego, które urabia w nas łagodna ręka matki, lub powaga ojcowska. Biada społeczeństwu, które uczy, a zaniedbuje wychowanie, które uświadamia ludzi o ich prawach, a zamilcza o obowiązkach, które daje możność panowania nad siłami zewnętrznej przyrody, a nie daje siły panowania nad sobą.

Nie obskurant, nie zacofaniec, ale nasz kochany wielki wieszcz narodowy, Mickiewicz, powiedział:

»Kiedy nad naukami bezbożnik pracuje,
Strzeż się go; jest to zbójca, który broń kupuje.«

Prawda ta jest tak oczywistą, a jednocześnie tak bierną w naszym kraju i nikt jednak z niej odpowiedniej nie wyciąga konsekwencji. Dlaczego? Jedni dlatego, że ich programem politycznym i społecznym jest rozkład i anarchja, więc świadomie dążą do osłabienia naszych sił żywotnych. Na szczęście jednak jest to polityka jedynie mniejszości narodowych. Drugim, daleko boleśniejszym powodem jest wielkie zmaterjalizowanie dzisiejszego społeczeństwa, a czemże jest zmaterjalizowanie, jeśli nie odchrześcijaniem? *Panem et circenses* stało się hasłem naszym. Sporty i nauka? Sporty... to kult ciała i zabawa. Nauka... to chleb, to karjera. Takie same hasło brzmiało na *Forum* i w cyrkach starej Romy, tylko nie w epoce jej potęgi, ale w przededniu upadku.

Sienkiewicz, który zyskał wszechświatową sławę i szacunek właśnie za to, że zrozumiał i tak uwydatnić potrafił wyższość kultury Winicjusza nad kulturą Petronjusza, Sienkiewicz napisał »Wirry«, i w tej powieści wkłada w usta ateusza Świdwickiego następujące zdanie: »Oświata bez religji wyhoduje tylko złodziei i bandytów«, a ten sąd, tak surowy wygłasza dlatego człowiek niewierzący, by lepiej uwydatnić, że nie trzeba nawet wiary, wystarcza rozsądek i obserwacja, żeby do takiego dojść przekonania.

Chcemy dla dzieci nie wiedzy, ale najszybszych i najobfitszych zarobków, zapominając, że mają one przed sobą nie tylko życie doczesne, ale żywot wieczny, że ich wiekiusta dola będzie

taką, na jaką sobie przez życie zasłużą, że trzeba uczyć ich żyć a nie używać. Nie można ich z domu wypuszczać na pełne morze burz socjalnych, politycznych, na morze pokus i namiętności, nie dając im steru i busoli. Zapominamy, że my, rodzice, błogosławieni i czczeni będziemy przez nich za życia i przez całą wieczność, jeśli wychowamy je zgodnie z wysokim ich przeznaczeniem, a przeklinani przez wieczność i potępieni może, jeśli nie spełnimy względem nich naszego rodzicielskiego obowiązku, lekceważąc ich wychowanie.

Wszystkiego naraz uczą się dzieci, bo program tego wymaga. Program, ale nie dobro dziecka. Uczą się na gwałt, powierchowonie, nie na to, aby umieć, ale żeby zdać egzamin. Ten egzamin zdadzą jedni, zawdzięczając tylko pamięci swojej, drudzy byłiby w stanie nawet zrozumieć to, czego się uczą, gdyby czas pozwolił im zastanawiać się i przetrwać zbyt pośpiesznie wchłanianą wiedzę. Kiedy zdadzą egzamin i dostaną dobry stopień, zostanie im tylko świetna cenzura, zmęczenie i pustka w głowie. Stąd taka masa u nas »cudownych dzieci« w piętnastym roku, a głupców przez resztę życia. Do nich to można zastosować dowcipne określenie, przezemnie kiedyś usłyszane. Zwiedzaliśmy w Krakowie wystawę obrazów, wypełnioną utworami sztuki symbolistyczno-impresjonistycznej i futurystyczno-kubistycznej, a wychodząc, towarzysz mój powiedział: »Młodzi to jeszcze, jak widać, malarze, ale zdradzają już talent«. Dotykam tu właśnie symptomatu bardzo przekonywującego. Ci wszyscy futuryści pędzla i dłuta, ci kubiści pióra i kontorsjoniści myśli, ci skandaliści literaccy ze »Skamandra« i członkowie klubu »Pod muszkatułową gałką«, ci wszyscy czasem utalentowani, ale zawsze »zdradzający talent«, czy oni grzeszą brakiem oświaty? Nie! Oni nauki odbyli wszyscy, tylko wychowanie ich jeszcze nie rozpoczęte. Wykształcenie otrzymali, a jednak, o ileżby pomyślniej było dla Polski, dla literatury ojczystej, gdyby ten, który się odważył wydrukować »Nóż w brzuchu«, nigdy nie był się pisać nauczył.

Przechodzę do trzeciego czynnika, bez którego niema ani nauki pożytecznej, ani wychowania, jest nią d y s c y p l i n a.

Używam obcego wyrazu, bo nie znam odpowiedniego polskiego rzeczownika. Polska nierządem stała, i ten czynnik wychowawczy, »dyscyplina«, był jej nieznany. A jednak bez tego bezimiennego u nas elementu niema wychowania.

Dyscyplina jest środkiem utrwalającym, chroniącym, karzącym. Pierwsza jej czynność, utrzymanie ładu, jest najważniejsza i jeśli pomyślnie przeprowadzona, zmniejsza trudniejsze obowiązki pracy ochronnej i zapobiegawczej i jeszcze cięższe i boleśniejsze pracy karnej i naprawczej.

Dyscyplina tak w rodzinie, jak w szkole jest opiekunką pobożności dzieci, stróżem dobrych obyczajów, poręczycielką pilnej nauki. Uległość, posłuszeństwo, szacunek, nawet przywiązanie do nauczających — to są jej owoce. Dyscyplina to władczyni i szarfarka czasu, a ten skarb nigdy nie wymaga tak rozumnego i zapobiegliwego wyzyskania, jak w latach szkolnych. Każdy program, regulamin, przepis, czy prawo, bez dyscypliny stają się świstkiem papieru. Dyscyplina w klasie to mur obronny; jeśli runie, wkraczają natychmiast przez jego szczyrby nadużycia. Tracą się godziny, nauki marnieją, umysły się rozpraszają i zamraczają, obyczaje się psują, serca się znieprawiają, próżniactwo podsyca namiętności, mnoży pokusy, które dotąd praca i szacunek władzy trzymały w karchach. Szkoła przestaje być świątynią nauki i wydaje się dla dzieci więzieniem, którego mury rozsądza ich niesforność.

Czy ten niezbędny czynnik wychowania istnieje u nas i działa? Niestety, bardzo rzadko i bardzo słabo. I jakże mamy wymagać karności, kto będzie uczył dyscypliny, kiedy niema jej w Polsce? Czy mam przytaczać przykłady? Co się dzieje w kościołach naszych, żeby zacząć od szczytu hierarchji społecznej? Czy wiadomem jest, którymi drzwiami wchodzić, którymi wychodzić, żeby uniknąć tłoku? A jeśli wiadomo, kto się do tego stosuje? Czy ustalono w każdym kościele u nas, jak to się widzi na całym świecie, porządek przystępowania i odchodzenia od ołtarza w czasie rozdawania komunji świętej, aby nie naruszać skupienia i ładu w świątyni Pańskiej? Nigdzie prawie na drzwiach kościoła niema rozkładu nabożeństw. Mało mamy księży, a jednak trzy i cztery msze wychodzą naraz, a potem godziny całe czekać można i nie doczekać się nieraz nabożeństwa. Za granicą zawsze w każdym kościele jedna tylko msza naraz odprawiana bywa, ale za to, w miarę ilości księży, od 6-ej z rana do 11-ej, co kwadrans, co pół godziny, co godzina, ale zawsze z regularnością co do minuty, stosownie do ogłoszonego rozkładu wychodzi msza św., w czasie której rozdają komunję świętą.

Pobożni, a pracujący ludzie, którzy pragną często przystępować do Stołu Pańskiego, zawsze mogą to czynić, bez uszczerbku dla swoich zawodowych obowiązków. U nas ten pobożny obyczaj jest niemożliwy, bo trzeba nieraz przeczekać godzinę i więcej, żeby doczekać się mszy i rozdawania komunji. Nikt się u nas tym brakiem nie dziwi, nikt się nie skarży, bo dyscyplina nie ma nawet nazwy w polskiej mowie, bo nie wiemy nawet, jaki w zachodnich państwach panuje porządek, jaka celowość parafjalnej obsługi, jaki szacunek pracującej ludności, jaka gorliwość, uprzejmość, pilność w zadoścuczynieniu potrzebom parafjan. Nie można przecie wejść popołudniu do kościoła, żeby zakrystjan nie przyszedł zaraz zapytać: »Czy może pan życzy sobie wypowiedzieć się«. Jeśli rzeczywiście po to przyszedłem, w parę minut przychodzi ksiądz. Zresztą na każdym konfesjonale i w każdej zakrystji czytać można jaki ksiądz, w które dni, o jakich godzinach spowiada. Gdyby w Polsce panował duch kultury zachodniej, to jest ta dyscyplina, która stwarza porządek, ład, terminowość, organizację pracy, wtedy brak księży nie byłby tak dotkliwym, tak szkodliwym dla wiernych, bo nieporządek jest wielkim marnotrawcą czasu i sił.

W sferach obywatelstwa naszego, najwyższej jak i średniej inteligencji, czy znana jest dyscyplina? Ależ gdzie tam! Raty Towarzystwa Kredytowego płacimy dopiero po ogłoszeniu licytacji, podatki wtedy, kiedy grożą opisem. Przyjętych czynności i funkcji tak zwanych honorowych nikt honorowo nie spełnia. Na sesje zbieramy się z opóźnieniem nieraz godzinnem. Przyjmujemy obowiązki, o których wiemy, że nie będziemy mogli, ani chcieli ich spełniać.

A w handlu, w rzemiosłach... Czy witamy klientów grzecznie i życzliwie, czy umiemy wypełnić terminowo zobowiązania, czy, jeśli obstalunek w terminie nie wykonamy, wstydzi nas to, czy uważamy za swój obowiązek przeprosić za niesłowność? A w sferze urzędniczej, od najniższych aż do najwyższych w hierarchji, czy mamy przekonanie, że naszym obowiązkiem jest służyć a nie korzystać ze sposobności, żeby szykanować publiczność i kompromitować rząd naszą niegrzecznością, próżniactwem, niedbalstwem?

O wsi polskiej już nie mówię, bo prawdziwie niesprawiedliwością byłoby wymagać od naszego kmiotka szacunku prawa,

dotrzymania zobowiązań, względności dla publicznej lub prywatnej własności, kiedy niema go komu tych rzeczy uczyć, kiedy mu przykładu dać nie chcemy.

Otwieram tu nawias, żeby zaznaczyć, że od czasu, kiedy petardy zostały przez władze surowo zakazane, te ulicznikowskie wybryki pomnożyły się do tego stopnia, że radość dni wielkanocnych zamienia się w torturę, a najwięcej wybuchów jest tam, gdzie policja stara się tę niesforność ukroić.

O dyscyplinie, która dała narodom Zachodu tę krzepką, dzielną kulturę, tę spoistość, tę sprężystą strukturę państwową i społeczną, my słyszeć nie chcemy. Każdy jest »sobie panem« i chce nim pozostać. Dlatego też tak długo panem był u nas Moskal i Niemiec, dlatego dotąd byt nasz samoistny jest wciąż zagrożony, bo w Polsce wzdłuż i wszerz, od dołu do góry, »jak kto chce«.

Mając w sprawie wychowania przemawiać, a wiedząc raczej z intuicji i pojedynczych spostrzeżeń, że się źle dzieje u nas, zacząłem się informować i oto, czegom się dowiedział: dzieci uciekają z lekcji, uczniowie odpowiadają jeden za drugiego, na co nauczyciel nie zwraca uwagi i nie reaguje. Mapy, sprzęty, meble są w barbarzyński sposób niszczone przez uczniów. Tworzą się organizacje, żeby nie pisać wypracowań. Wyrwane są karty z dziennika, w którym zapisuje się stopnie. Uczennica, która dostała dwójkę, prosi, żeby ją odprowadzono do domu; sama nie pójdzie, gdyż ojciec obiecał, że za zły stopień ją zabije. Nie wybije, ale zabije. Wiem, że pewnoby jej nie zabił, nawet nie wybił, ale nie chodzi mi tu o kryminalistykę, tylko o pedagogję. Ten ojciec pedagogiem nie jest. Ale iluż jest pedagogów u nas?

Uważamy za konieczne dotrzymać kroku narodom Zachodu, kiedy chodzi o operę stołeczną, o udział w sportach, lub uczestniczenie w międzynarodowych olimpijskich igrzyskach. Mimo nędzy naszego skarbu, szturmujemy do biednych kas państwowych o zapomogi. Zaczniemy pracę od podniesienia wychowania. Mówią, że biedakowi dziura w ubraniu ujmę nie przynosi, i tylko plamy wstydzić się powiniem. Brak opery, nieobecność polskiej młodzieży na olimpiadach — to dziury w kulturalnej szacie naszej, ale brak wychowania, brak dyscypliny społecznej — to plama.

Przechodzę do ostatniego czynnika wychowawczego, osta-

tniego w praktyce naszej państwowej i w umysłowości naszego społeczeństwa, ale który w rzeczywistości jest najważniejszym dla kultury narodowej, a jest nim religja.

Fundamentem i uwieńczeniem, alfą i omegą, źródłem i celem wszystkiego jest Bóg, a wychowanie to dążenie do Niego. Więc jakżeby religja, która uczy o pochodzeniu naszym, o celu człowieka, o jego prawach do wieczności i doczesnych obowiązkach, przez których spełnienie te prawa on zdobyć może, jakżeby ona mogła być wykluczoną z programu nauk, ze środków wychowawczych, owszem jakżeby nie zajmowała pierwszego miejsca, jakżeby stworzenie rozumne mogło i chciało nie wiedzieć o swoim Stwórcy? Jakżeby nauka Tego, który o Sobie powiedział: »Ja jestem droga, prawda i żywot«, nie miała się stać treścią i ramą i kanwą tak oświaty, jak i systemu wychowawczego w kraju katolickim? Religja kształci sumienie, ucząc odróżniać nieomylnie dobro od złego; wpaja miłość dobra, a wstręt do występku. Religja daje miłość, daje łaskę, daje pomoc Bożą. Uszlachetnia serce, oświeca umysł, wzmacniając promyk przyrodzonej inteligencji dziecięcej całym blaskiem nadprzyrodzonego objawienia. Religja kieruje i oczyszcza sumienie, wzmacnia wolę, hartuje i utrwala charakter, podnosi poziom życia ku wiecznemu naszemu przeznaczeniu.

Nauka jest dla życia, wychowanie dla wieczności; więc jeśli porównamy pożytki nauki i wychowania, możemy określić ich wzajemny wartościowy stosunek za pomocą matematycznego równania: tak się ma potrzeba nauki do potrzeby wychowania, jak się ma liczba lat życia naszego na ziemi do bezkresu przeznaczeń naszych w wieczności. A my troszczymy się tylko o naukę, bez względu na to, kto uczy, jak uczy i czego uczy szkoła. Prasa nasza, Macierz, rząd nasz, wszyscy ulegają jakiejś epidemicznej hipnozie, chcemy mieć od jutra szkołę w każdej wsi, w każdym osiedleniu. Henryk IV, król francuski, marzył, żeby każdy włościanin w jego państwie mógł codzień mieć w garnku swoim kurę do rosółu, a choć niektórzy krytycy historyczni mówią, że ta kura była pospolitą kaczką dziennikarską, znacznie później wylęgłą, król zyskał wielką popularność. Na taką kaczkę popularności polują nasi oświatowi demagodzy. Nie można dość silnie ostrzegać narodu przed tym darem Danaów. Nie naukę, ale

wychowanie postawić trzeba na pierwszym miejscu, jeśli chcemy lud uszlachetnić i uszczęśliwić.

Przechodzę od składowych części do całości.

Na czym polega wychowanie?

»Uczyńmy człowieka na obraz i podobieństwo nasze«, powiedział Bóg w dniu stworzenia. I tem słowem określił obowiązki rodziców względem dzieci, bo wychowanie jest pracą twórczą. Z dziecka, powierzonego sobie przez Opatrzność, mają stworzyć człowieka na obraz i podobieństwo Boże.

Tęskne marzenia licznych pokoleń Polaków, cudem miłosierdzia Bożego w rzeczywistość się zamieniły. Polska zmartwychpowstała. Jakie szczęście, jaka radość powinna w oczach naszych świecić i duszę nam przepełniać. Gdzie ta radość? Czy ją odczuwamy? Nie, mamy pełne serce bólu, schylone głowy pod brzemieniem troski. Mówię o tych, którzy Ojczyznę kochają. Dlaczego te niedomagania, ten niepokój ogólny? Bo ludzie nie mamy, bo we wszystkich dziedzinach życia, na wszystkich stanowiskach politycznych, społecznych, nie dorastamy wartością duchową do obowiązków stanu. Wszędzie widzimy na naczelnych stanowiskach siły drugorzędne, które mogłyby się stać użytecznymi, gdyby zły los i wielkie nasze ubóstwo kulturalne nie powołało ich na wyżyny, nie odpowiadające duchowemu ich polotowi i wychowaniu. Dziś ci wielcy ludzie do małych interesów obniżają powagę państwową do poziomu swojej miernoty.

Brak człowieka wielkiej miary, człowieka według ducha Bożego, człowieka opatrnościowego, o którymby, jak niegdyś o Sobieskim, mogła powiedzieć nietylko Polska, ale z nią świat cały: »Był człowiek, posłany od Boga, któremu na imię było Jan«.

»Uczyńmy człowieka na obraz i podobieństwo Boże« — oto cel wychowania, oto obowiązek rodziców. Po francusku wychować określa się słowem *élever* — podnosić, i może dlatego, że Francja tak rozumiała cel wychowania, stanęła ona na czele cywilizowanych narodów. Po rosyjsku wychować określa się słowem *wospitywać* — wykarmić, i może dlatego w tym karmniku tak się dzisiaj źle dzieje.

Pisarz rosyjski wstrząsnął całą Europą, kiedy dramat jego »Na dnie« obiegł sceny świata całego, a jednak Gorkij, tworząc

»Na dnie« był optymistą, bo spodlenie, bo upadek, bo ruina jego Ojczyzny dna nie mają — są bezdenne.

A teraz, gdyby nie uczucie ciężkiego obowiązku, już nie śmiałbym rzucić pytania: czy większość naszego społeczeństwa, kiedy chodzi o dzieci, rozumie słowo »wychowanie« podług etymologii francuskiej, czy też rosyjskiej, czy dba dla synów i córek o naukę, która uszlachetnia i podnosi, czy tylko o tę, która chleb daje, wykarmia?

Nie chcę czekać na odpowiedź, nie mówmy jak było, jak jest u nas, ale postanówmy dziś jak nadal być powinno. Mamy kulturę zachodnią, chrześcijańską, tę która uświetnia narody i uświęca dusze ludzkie; jej dochowajmy wierności, a ona mówi, że »nie samym chlebem żyje człowiek, ale słowem Bożem«.

Święty Chryzostom pisze: »Z Boskich rzeczy najbardziej Boską jest kształtować obyczaj dzieci«. Urok i wdzięk małego dziecka jest tak wielki, że odczuwają go najsuchsze serca i najbrudniejsze sumienia. W jasnych oczach dziecka, w jego niewinnym i radosnym uśmiechu, w świeżości i gibkości jego ciała, promienieje tchnienie Boże, ta metryka nieziemskiego pochodzenia, ten mandat Boskiego jego przeznaczenia.

Matka, tak bywa najczęściej, wprowadza do serca małego swego dziecka miłość Bożego Dzieciątka, które jest jego równolatkiem. I ta śliczna opowieść złoci mu pierwsze marzenia, rozpromienia wyobraźnię. Ale dziecko rośnie, rozwija się, czas betleemski mija. Nastaje czas pracy w domu, szkole, potem ciężka nauka życia. Przychodzą pokusy, upadki, zawody, smutki, wątplenia, wreszcie starość, choroby, niedołęstwo, osamotnienie i śmierć. Dramat ponury, ciężka dola, niezrozumiała a straszna zagadka życia. Biedny człowiek unieść nie może tego krzyża, bo o krzyżu nic nie wie. Stara się przypomnieć czasy, kiedy wraz z matką klęczał przed Żłóbkiem betleemskim, bo przeczuwa w tym towarzyszcu pierwszych lat życia źródło litości i rady i siły dla siebie, ale wspomnienia się zatarły, ta jasna prawda lat dzieciennych zbladła, przesłoniła się welonem legendy i Boża Dziecina, która zajmuje gdzieś kącik w jego wspomnieniach, kiedy powinna była rosnąć z nim razem i wypełnić po brzegi duszę, serce i umysł świętą obecnością swoją, ta kruszyna wiary, to ździebełko pobożnej tradycji, dziś w ciężkiej życiowej rozterce, już mu nie wystarcza. Gdyby dziecko, rozwijając się, czuło cią-

gle w duszy równomiernie z niem rosnącego Chrystusa, ten nowicjat życia Bożego nauczyły go, że cierpliwość jest panią niedoli, że rozkazywać ten tylko ma prawo, kto umiał być posłusznym, że skupienie i modlitwa, ta rozmowa z Bogiem, który mieszka w sumieniu naszym, więcej nauczyć mogą, niż kursy filozofji, że trzydzieści lat Bóg-Człowiek chciał, dla przykładu, żyć wśród rodziny, wysługiwać się matce, zanim poszedł spełnić na ziemi swoje posłannictwo. Czy są silniejsze, czy są gdzieś świętsze pierwiastki wychowawcze, jak w religiji?

Gdyby wreszcie, doszedłszy do pełnego rozwoju fizycznego, poznał człowiek Boga-Stwórcę, zrozumiałby lepiej cały przebieg, całą mądrość, całą potęgę i dobroć Stworzyciela, a to zniewoliłoby go kochać Prawodawcę i szanować Jego zakon, krępujący nieraz namiętności ludzkie, ale tylko dla naszego dobra. Wtedy ten Bóg, który kochał, leczył, uczył, przebaczał, cierpiał i umarł za nas, odpowiedziałby z pewnością wszystkim potrzebom życia, byłby człowiekowi nadzieją, siłą, światłem, przewodnikiem i pocieszycielem. O! nie pozbawiajmy znajomości Boga dzieci naszych! Niech wychowanie pilnie przestrzega, by Bóg rósł im w duszach na miarę ich tęsknot, ich pragnień, ich potrzeb.

Förster, ten wielki myśliciel i pedagog, a jako protestant, nie mogący ściągnąć na siebie podejrzania klerykalizmu, mówi: »Im bardziej szkoła świecka zrywa swój związek z religijną troską o duszę, tem wyraźniej przekonywują się nauczyciele, że praca i porządek szkolny, bez wszelkich natchnień etycznych, zmieniają się w ślepy mechanizm, który ostatecznie zawieść musi, z powodu braku poruszających sił duchownych. Kościół i państwo, naukę i religję tak trudno rozdzielić, jak ciało i duszę. Całe wychowanie wymaga kultury sumienia, niema trwałej kultury sumienia bez religijnych tajemnic, mówiących o ludzkim nieziemskim przeznaczeniu. Pewna epoka może daleko pójść naprzód w kierunku poznania prawdy, a jednak w kierunku pragnienia dobra znacznie pozostać w tyle. Strona materialna osiąga straszliwą przewagę nad życiem i duszą; panuje gruba nieświadomość pod względem dobra i zła«.

Wychowanie i nauka powinny wspierać się wzajemnie i dopełniać, ale są pojęciami różnorodnymi. Wychowanie rozwija zdolności, nauka dostarcza wiadomości. Wychowanie uszlache-

tnia duszę — nauka zaopatruje umysł. Wychowanie tworzy ludzi — nauka tworzy uczonych. Wychowanie to całość — nauka jedna ze składowych części. Wychowanie zajmuje się człowiekiem ze wszystkimi jego władzami — nauka umysłem tylko.

Wychowanie nie tylko rozwija i wzmacnia wszystkie szlachetne pierwiastki natury ludzkiej, ale harmonizuje i równoważy je, wygładza, uświetnia. Ciału daje ruch zgrabniejszy, dostojność, spokój, mowie — ścisłość i jasność, charakterowi stałość i prawość; obyczaj nabiera prostoty, wdzięku, łagodności, siły. Wychowanie ogląda nawet cnotę, żeby ją jedna i pociągała, a nie dziwiła ani odstręczała swym rygoryzmem. Umiejętność obcowania z ludźmi, grzeczność, takt, wyrozumiałość, szanowanie zdania innych i ta piękna powaga, przed którą chętnie schylamy czoła, bez poniżenia serca — oto dary wychowania.

Obowiązkiem rodziców jest dać, lub zapewnić dzieciom naukę, ale przede wszystkim wychowanie. Nikt ich z tego obowiązku uwolnić nie może, nikt w razie zaniedbania ich nie rozgrzeszy, a w żadnym razie nie uczynią tego dzieci, które dane nam są na to, by stały się nam najśłodszą nagrodą, lub najsurowszymi sędziami.

Polska jest państwem demokratycznym, w którym rządząmy my sami. Wielki to przywilej, ale i wielka odpowiedzialność. Pamiętajmy, że jeśli seminarja nauczycielskie, jeśli szkoła nie będzie taką, jaką chcą rodzice, to tylko znaczy, że ci rodzice nie chcą dość szczerze, dość silnie szczęścia swoich dzieci.

Ależ szkoła jest katolicką w Polsce. Dość przeczytać programy szkolne, by się o tem przekonać. Pocóż więc tyle hałasu? I tu wypada przypomnieć ewangeliczną przypowieść o gospodarzu, obsiewającym swe pola dobrem ziarnem, między które nieprzyjaciół, podczas snu sług, dorzucił kąkol. Gospodarz — to naród, słudzy — to wykonawcy jego woli, a nieprzyjaciół? Iluż ich chyłkiem, a nawet przemocą, wchodzi na niwę naszej oświaty, by siać na niej chwasty niewiary, herezji, demoralizacji? A my... śpimy... Po co hałasować? Ależ na to, by się obudzić. Wszystkie kulturalne narody walczą o szkołę wyznaniową, wszyscy wielcy papieże, Pius IX, Leon XIII, Benedykt XV, Pius X, wszyscy domagali się szkoły wyznaniowej, walczyli z zasadą szkoły mieszanej, ostrzegali rodziców przed niebezpieczeństwem szkół takich, a zakazywali posyłać dzieci do szkół bezwyznaniowych

i innowierczych. Streszczenie tych przestróg, zebranie licznych encyklik i listów pasterskich, w sprawie nauki i wychowania, zawarte jest w broszurce: »O duszę dzieci«, która powinna być znaleziona w każdym domu, by dopełnić wychowania, nie dzieci tylko, ale i ich rodziców.

Francja, Belgja, Niemcy, dlatego, że w ich rządach górowały, lub dotąd górują wpływy antychrześcijańskie, wydawały z dobrowolnych ofiar setki milionów rocznie na zakładanie i prowadzenie szkół i seminarjów wyznaniowych. Ale my walczyć nie mamy odwagi, bo gotowi napiętnować nas mianem zachowawców i reakcjonistów. Mówią nam, że trzeba iść z postępem, że odzyskaliśmy wolność i tej wolności musimy hołdować. Ale to są wykręty bezmyślne, frazesy bez treści i sensu.

Zachowawcami nas nazwą? Zaszczytą to nazwa. Tak, zachowawcami jesteśmy i zostać powinniśmy. Zachowawcami wiary ojców naszych, obyczaju chrześcijańskiego, wierności katolickiemu Kościołowi i ideałom naszym narodowym. Tego nam z piersi nie potrafił wydrzeć Moskal, ani wykraść Niemiec, tej spuścizny po przodkach nie zmarnowaliśmy, ale przekazać ją pragniemy dzieciom i wnukom naszym! Zachowawcami jesteśmy, nie mamy się czego wstydić. Czyż szanowalibyśmy ojca, któryby roztrwonil spuściznę po przodkach, skalał nazwisko swoje i nie miał już co dzieciom przekazać?

Powiedzą, żeśmy reakcjonistami. Tego się nie wstydzimy. Na truciznę potrzeba odtrutki, na chorobę lekarstwa, przeciwko rozkładowej akcji niezbędna jest reakcja. Mamy w kraju dość wyraźną skonfederowaną działalność jawnych i zamaskowanych wrogów kultury polskiej i tego Kościoła, który Polskę wychował. Mamy Żydów, metodystów, masonów, wyzwolenców, socjalistów. Oni wszyscy trzymają się metody feldmarszałka Moltkego: maszerować oddzielnie, bić wspólnie, a dążą do jednej wielkiej destrukcyjnej akcji. Zginiemy, jeśli nie znajdziemy w sercach naszych dość silnej reakcji. Jeśli kochamy Ojczyznę i Kościół, nie wstydzimy się być reakcjonistami.

Mówią nam, że wypada iść z postępem. Patrzmy im w oczy śmiało, a litośnie. Może zrozumieją, jaką bezmyślnością, czy głupstwem jest twierdzenie, że niewiara jest postępem. Czem byłby świat, żeby nie był ukląkł przed Krzyżem, żeby nie był uwierzył, że Chrystus zwyciężył? Rzym miał kulturę bardzo wy-

soką, a jednak upadł, ale nie dlatego, że chrześcijaństwo nie było w stanie od zagłady go wybawić, tylko dlatego, że nie poddał się nauce Kościoła. Nad gruzami cywilizowanej Romy zapanowali barbarzyńcy z Północy i stworzyli świat dzisiejszy, a to zwycięstwo zawdzięczają tylko temu, że poddali się wychowawczym wpływom nauki Chrystusowej.

Trzeba, by nauka szła z postępem, to jest z religją, która zawsze była dobroczynną, a hojną nauki szafarką. Nauka bez religji — to nie jest postęp, to powrót do barbarzyństwa.

A co do ostatniego argumentu: szacunek wolności sumienia. Tego właśnie my się domagamy. Najświętszym prawem rodziców-katolików, w katolickim kraju, jest wychowanie dzieci po katolicku. Prawo to jest jednocześnie najściślejszym naszym obowiązkiem, ale państwo, ale większość sejmowa, ale demagogja i perfidja bezwyznaniowców pozbawiają nas tego prawa, uniemożliwiają spełnienie obowiązku, bo szkoła wyznaniowa obrażałaby podobno uczucia mniejszości narodowych. Ten powód jest wykrętem przewrotnym i nieuczciwym.

Mniejszości narodowe w Polsce, ku upokorzeniu i ograniczeniu samodzielności państwowej naszej, wytargowały w Wersalu i zapewniły dla siebie szkoły odrębne, szkoły wyznaniowe. Nie chodzi im zatem o obronę własnych praw, bo pełnię takowych zapewniają im traktaty. Chodzi tylko o ograniczenie naszej wolności i to w państwie demokratycznym, w którym prawo większości jest argumentem wszechpotężnym i ostatecznym. Nam, narodowi katolickiemu, odmawiają prawa szkoły katolickiej.

Na dowód ścisłości mego twierdzenia o krzywdzie, jaką konstytucja wyrządziła katolicyzmowi, dzięki zabiegom mniejszości narodowych, a także dzięki niezdarności naszej, cytuję ustęp broszury posła do Sejmu Ustawodawczego, ks. Adamskiego, który po wyliczeniu postulatów co do szkoły wyznaniowej, jakie postawiło jego stronnictwo, tak kończy: »Żądamy w tym duchu zatwierdzonej ustawy szkolnej. Żądamy, gdyby do tego nie doszło, równouprawnienia z Żydami i mniejszościami narodowymi«. Co to znaczy? Oto, daliśmy się oszukać; w imię tolerancji pozwoliliśmy na to, żeby katolicyzm w Polsce nie miał charakteru i przywileju religji państwowej i okazało się, że dziś przywileje w naszym kraju mają tylko religje innowiercze i żydowska.

Tolerancja to wielkoduszność, ale tu nie o nią chodzi, tu

chodzi o swobodę nauki katolickiej dla katolików. Tego świętego prawa wyzbyliśmy się, nie przez wielkoduszność, ale przez obojętność, to jest przez małoduszność. Jest to nietylko wstyd na dzisiaj, ale wielkie niebezpieczeństwo dla przyszłości naszej kultury.

Nie można powierzać dzieci szkole, która się może stać dla nich gorsząca. Przecież już dzisiaj za kubek kakao, za parę butów, lub ciepłą pelerynę sprzedajemy metodystom dusze dzieci. Ci, którzy czyhają na te dusze nietylko w Polsce, ale po całym świecie, szczególnie dbają o demoralizację seminarjów nauczycielskich, bo takie seminarjum staje się prawdziwą kulturą bakterji niewiary i anarchji duchowej.

Słyszę, że w jednym z takich seminarjów rządowych nauczyciel przyrody tłumaczy tym, którzy mają kiedyś wychowywać polskie dzieci, że Boga niema. Inny nauczyciel, w tem samym seminarjum, twierdzi, że religja nie jest koniecznie w życiu potrzebna, bo »nauka wystarczy«. O drugim seminarjum rządowym dowiaduję się, że, chociaż lekcje religji odbywają się tam według programu, cały duch szkoły jest antyreligijny. W seminarjach nauczycielskich rządowych roi się od bezwyznaniowych dyrektorów i nauczycieli. Wiem o takim dyrektorze, który, zegnając kończących seminarjum, namawiał ich, by wstąpili do loży masońskiej, co im zapewni świetną karierę. Społeczeństwo o takich wypadkach wiedzieć nie może, więc winy za to nie ponosi, ale o tem, że są związki wolnomyślących nauczycieli i nauczycielek, które na wiecach w rezolucjach swoich domagają się szkoły mięszanej, bezwyznaniowej, a jednak pozostają nadal na etacie rządowym i dzieci nasze gorszą, o tem wszyscy wiemy, ale znosimy to cierpliwie i płacimy dalej podatki szkolne.

Żądamy szkoły wyznaniowej. Piętrzyć się będą przed nami trudności olbrzymie, ale »wiara góry przenosi«. Miejmy wiarę silną i wielką czynną miłość dla dusz i dzieci naszych, niezłomną wolę wychowania ich na Bożą chwałę, na pożytek Ojczyzny, wychowania ich na ludzi, a nie tylko na adwokatów, lub doktorów, na chrześcijan, a nie na zjadaczy chleba. Niech wiara nasza będzie odważną, ufną w zwycięstwo dobrej sprawy, nieustraszoną. »Gwałtownicy posiadą Królestwo niebieskie«. Każda miłość musi być ofiarną; jeśli ofiarną nie jest, nie jest miłością. Bądźmy ofiarni. Uniwersytet lubelski, ta jedyna placówka wiedzy kato-

lickiej, nie został dotąd wniesiony do budżetu państwa katolickiego, wiedzie żebraczy żywot i zagrożony jest w swoim istnieniu. Mamy otworzyć tysiące szkół, a w Polsce jest zaledwie kilka seminarjów nauczycielskich, prowadzonych w duchu szczerze i ściśle katolickim. Środki tych uczelni niestałe i zależne od dobrej woli pojedynczych osób, lub zrzesseń.

Wobec projektowanego przymusu szkolnego i absolutnego braku kultury katolickiej, nietylko wśród mas uczących się, ale wśród tysięcy kandydatów na nauczycieli, takich seminarjów potrzebaby nie kilka, ale kilkaset. Skąd na to czerpać fundusze wobec obojętności społeczeństwa, co do ducha szkoły? Musimy ocknąć się, przejrzeć, uprzytomnić sobie grzeszną obojętność i gnuśność naszą; ale żal za grzechy nie wystarcza, trzeba mocnego postanowienia poprawy, trzeba zadośćuczynienia.

W Polsce powstać powinno nowe zrzeszenie, liczące miliony członków, któreby zbratało wszystkie stany w jednej myśli, w jednej trosce o dusze dzieci i młodzieży naszej, o wierność katolickiej tradycji narodu naszego. Takie stowarzyszenia istnieją w Niemczech, w Belgji i Francji, wspaniale się rozwijając. Uczmy się od nich, korzystajmy z ich doświadczenia, nie wstydzmy się prosić o wzory i o instruktorów, bo takie pragnienie naśladowania pięknych przykładów tylko zaszczyt nam przyniesie, a wobec propagandy różnych potężnych a wrogich nam między-narodówek, możemy śmiało zawołać: »Katolicy wszystkich krajów, łączcie się!«

Pan Jezus w Nazarecie »rósł w łaskę u Boga i u ludzi«. Mamy obowiązek dbać o to, żeby dzieci nasze, w nazaretańskiej epoce ich życia, rosły w tych samych warunkach. Nie ujmujmy im błogosławieństwa Bożego. Po zmartwychwstaniu naszym powinniśmy mieć serce pełne wdzięczności dla Tego, który sam zmartwychwstał i pozwolił Polsce mieć uczestnictwo w cudzie Zmartwychwstania. Szanujmy w sobie ten cud łaski Bożej, szanujmy nieśmiertelną duszę dzieci naszych i witajmy zaranie nowego naszego bytowania, tą śliczną, a tak swojską nam pieśnią: »My się jeszcze obudzili, byśmy Cię, Boże, chwalili.«

W 300 rocznicę męczeństwa św. Jozafata Kuncewicza.

Referat miany w Włodzimierzu Wołyńskim 13 listopada 1923.

»Za ludem, który z piękną Dziewicą Królową
Niósł Litwie Ewangelji wiekuiste słowo
I, jak najpierwszy w dziejach, tak ostatni razem,
Nie długą pracą wieków, nie władcy rozkazem,
Ale chwilą zapału, wielką chwilą, cudem,
Lud bratersko pojednał z najezdniczym ludem
I, jak w kościele wiary sakramentu wodą,
Tak w kościele historii praw ochrzcił swobodą;
Za ludem, który krzyże wśród pogaństwa stawiał,
Za ludem, który kochał, oświecał i zbawiał,
Módl się Twą pieśnią w niebie, o Cecyljo święta,
Apostołów swoich niechaj Bóg pamięta!«

Oto, jak Zygmunt Krasiński wyczuł ducha naszej historii, oto jak autor »Psalmu dobrej woli« zrozumiał powołanie naszego narodu w historii świata. Wiarę Chrystusową powołani jesteśmy nieść na Wschód, a tylko miłość może nas do tej apostołskiej pracy uzdolnić i powodzenie jej zapewnić.

Dzisiaj, w rocznicę trzechsetną męczeństwa Jozafata Kuncewicza, zjechaliśmy się do Włodzimierza Wołyńskiego, jako do miejsca jego urodzenia. Chcemy, hołd Patronowi Kresów oddając, świętą spuściznę obowiązków, które nam przekazał, głębiej w serca nasze wrazić, byśmy testament, krwią jego dla Polski wypisany, wiernie wypełnić chcieli i potrafili. Potrzebne nam jest jego wstawiennictwo jeszcze dlatego, że radość posiadania w historii naszej tego bohatera nie jest bez przymieszki upokorzenia i wstydu.

Żywot jego cały był tułaczką, walką, cierpieniem, a przeszkody, jakie spotykał w pracy apostołskiej, pochodziły nie wyłącznie, nawet nie przeważnie, z obozu wyznawców prawosławia. I nad tem dziś zastanowić się musimy, bo te dni są dniami łaski

i odpustu. Niemasz odpustu bez uznania winy, bez żalu za grzechy, bez mocnego postanowienia poprawy.

Grzechem jest niewierność obowiązkowi swemu. Narody, tak jak pojedynczy człowiek, żyć i działać powinny pod hasłem »Przyjdź Królestwo Twoje, bądź Wola Twoja, jako w niebie, tak i na ziemi«. Polska, która wiarę katolicką otrzymała z Rzymu, a kulturę chrześcijańską przejęła od Zachodu, Polska, nawróciwszy Pomorze i Litwę (i to jej wiekopomna zasługa), miała obowiązek, jako ostatnia placówka kultury katolickiej od Wschodu, zanieść na ten Wschód wiarę i miłość Chrystusową. Winna to była Bogu, winna Zachodowi, bo światła nie wolno trzymać pod korcem.

Królowie polscy mieli poczucie tego obowiązku. Od Łokietka zacząwszy, Kazimierz Wielki, Jadwiga, Władysław Jagiełło, Stefan Batory, Zygmunt III, Władysław IV, Jan Kazimierz, Jan Sobieski, wszyscy ci pomazańcy boży myśl Bożą w historii naszego narodu pielęgnują. Dlatego ich panowanie opromieniało dzieje nasze aureolą sławy i zasługi, dlatego w sercach naszych słowo »Ojczyzna« stało się takim ukochaniem, taką świętością!

Polacy jednak, nietylko ich w tych mądrych, a szlacheckich dążeniach nie popierali, ale najczęściej niweczyli dobre zamiary królów swoich. I ten grzech dziś, przed świętym Jozafatem wyznać musimy. Wiem, że taki zarzut polskiemu narodowi, którego rycerstwo tysiącami ginęło pod Lignicą, Warną, Cecorą i Wiedniem, z imieniem Marji na ustach, wydać się może oszczerstwem, a jednak jest tylko prawdą. Dzielnie się bić i pięknie umierać umieliśmy zawsze, ale pracować, służyć, żyć dla Boga i Ojczyzny... to nam trudniej przychodziło. Byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa, to prawda, ale to przedmurze, w latach pokoju, było zbyt odporne, zbyt bierne, było murem chińskim. Takim murem otoczyć się miał prawo Pekin, bo jest miastem pogańskim. Bóg nam w zanadrze wlał światło wiary i płomień miłości; to nie są siły bierne. Nie wolno ich w sobie więzić. Myśmy tę wiarę wobec Rosji zazdrośnie chowali i dumni byli z naszej wyższości. Wiele nam Bóg dał, nie umieliśmy zdać rachunku z włodarstwa naszego.

Święty Jozafat umęczony był w Witebsku przez dyzunitów, ale... namęczyli go też za życia Polacy i katolicy, bo żył wśród społeczeństwa, które zapoznawało obowiązki swoje względem

Boga. Pogardzaliśmy współwyznawcami jednej wiary, dziećmi jednego Kościoła i jednej Ojczyzny dlatego, że modlili się oni w swoim ludowym narzeczu, że kulturą byli od nas niżsi. To nie ich wina; wina była obustronna i o tem trzeba pamiętać. Język narodowy w liturgji, uwalniając duchowieństwo unickie od nauki łaciny, utrudniał mu korzystać z wiecznie bijących w Rzymie źródeł literatury kościelnej, dającej religji katolickiej te cechy żywotności i wiecznej młodości. To obniżało poziom ich wykształcenia, a brak celibatu poniżał, w znacznej mierze, etyczny i duchowy poziom unickiego kleru.

Uwzględniając nawet okoliczności łagodzące, zostaje dużo powodów do wyrzutów sumienia nam, łacinnikom, tak duchownym, jak świeckim, bo powyższe usterki przedstawicieli katolickiego wschodniego obrządku były tylko pretekstem. Rzeczywistym powodem tarć i kwasów, walk i intryg był szowinizm, egoizm, ambicja, duma i wzgarda, a to są uczucia niegodne chrześcijanina.

I cóż się stało? Oto, kiedy wolny, potężny, szczęśliwy naród nie rozumiał swego posłannictwa, Bóg odjął mu potęgę i wolność i szczęście, a wtedy okuci w kajdany, ubrani w aresztanckie szynele, poszliśmy spełniać n a s z e p r z e z n a c z e n i e. Wszystkie kościoły w europejskiej Rosji, z wyjątkiem może paru kościołów w obu jej stolicach, wszystkie kaplice od Uralu do Kamczatki i Sachalina, to są nietylko stacje Drogi krzyżowej naszego narodu, ale jednocześnie pomniki apostolskiej pracy Polaków wśród ich ciemnizy.

Dziwnem zrządzeniem Opatrzności Bożej jest sprawa rozpoczęcia i zakończenia procesu kanonizacji tego Świętego. Jozafat Kuncewicz ginie męczeńską śmiercią w 1623 roku. Śmierć ta, otoczona niezliczonymi, autentycznie stwierdzonymi cudami. Król i episkopat polski proszą o kanonizację; Urban VIII, wielki czciciel cnót Świętego i gorący protektor unji, usilnie to życzenie popiera i zaleca przyspieszyć proces. Nic to nie pomaga... Proces utyka i wszystkie zasługi tego Świętego wydają się jakby zapomniane, a męczeństwo narazie nie przynosi owocu. Zdawało się, że unja zanika i ginie, jak zwiędły kwiat. Ale kiedy cesarz Aleksander II, łudząc się pozorami, powiedział: »Niema unitów, kto jest wschodniego obrządku, nie jest katolikiem, tylko prawosławnym (a powiedział to, o czem niestety katolicy

łacińscy w Polsce często myśleli, o czym mówili nawet) wtedy ci unicy przypomnieli sobie, że ich biskup połocki w Witebsku za jedność Kościoła wschodniego z Rzymem został umęczony i tysiące mężów, niewiast, dzieci poszło za jego przykładem... wolało męczeństwo niż schizmę. Pius IX, widząc jak bujny plon wydała męczeńska śmierć św. Jozafata, polecił wznowić proces kanonizacyjny i w 1867 roku Polska i Ruś zyskały patrona wzajemnej narodowej łączności — w miłości Bożej i w wierze.

Zasługi tych męczenników podlaskich i fakt zmartwychwstania Polski każą nam wnioskować i ufać, że już Bóg przełamał nam winy... powiedział Polsce: »Idź i nie grzesz więcej!« Idź... i tu powracam do warunków odpustu: mocne postanowienie poprawy. Idź, mówi do nas Bóg, wskazując na Wschód. Idź, mówi św. Jozafat, idź Polsko, w moje ślady. Jam umarł, torując dla Ciebie drogę zasługi, wielkości i chwały.

Czy posłuchamy? Kiedyż, jak nie dziś, tu, w miejscu jego urodzin, narodzić się ma w sercach naszych zrozumienie tego obowiązku? Ten miły, a bratni nam naród broniliśmy przez wieki całe od najazdu dziczy mongolskiej i tatarskiej. Dziś stokroć gorsza dzicz wschodnia już nietylko poła im wyjaławia i domy w gruzy zamienia, ale torturuje ciała i dusze zatruwa. Czyż stać będziemy z założonemi rękami? Idźmy do nich z dobrą nowiną, idźmy leczyć tę nienawiść — miłością, to zwątpienie — wiarą, tę ciemnotę — oświatą, idźmy, jak mówi Krasiniński: »kochać, oświecać i zbawiać«.

Ale, byśmy nie »brukowali piekła zamiarami«, musimy ustalić kilka podstawowych prawd, których zapoznanie paczy nasze sądy, wykoleja nas z prostej drogi obowiązku. Być katolikiem w duchu, to znaczy Boga i Jego prawo stawiać ponad wszystko. »Bóg i Ojczyzna« — to hasło nasze i prawie wszyscy katolicy w Polsce, od niedawna wprawdzie, tem hasłem zostali złączeni. Ale nie wszyscy są szczerzy i lojalni w tej sprawie. Wielu wolałoby przemienić porządek, Ojczyznę wymieniając przed Bogiem. A to właśnie największym jest niebezpieczeństwem dla tej naszej Ojczyzny. Chcemy jej służyć przedewszystkiem, a Bogu, o ile, naszym zdaniem, ta służba nie szkodzi interesom Ojczyzny. Zapoznajemy prawdę, że losy narodów od Boga zależą, że tylko Jemu wiernie służąc, służyliśmy skutecznie Ojczyźnie, że podporządkowanie Boga jest obrazą Stwórcy i Kierownika świa-

ta; przynosi ujmę Jemu, grzech nam, a szkodę Ojczyźnie. Stawiać Ojczyznę ponad Bogiem, to nie patryotyzm — to obłęd szowinizmu. Dla niewierzących w Boga Ojczyzna może go zastępować, i nie bez korzyści, bo zawsze coś kochać, prócz siebie, jest pięknie; ale kto Boga wymienia, więc o Jego istnieniu wie, jeśli stawia go na drugim miejscu, jest bluźniercą, albo głupcem.

A oto druga prawda: Polska jest krajem katolickim, więc ma prawo wymagać, by o niej stanowił rząd katolicki. Nie neutralny, nie akonfesyjny, ale szczerze katolicki, w duchu i czynie. Powinniśmy mieć rząd dbały o prawodawstwo, zgodne z prawem Bożem, o szkołę katolicką, o wpływ wychowawczy Kościoła na oświatę ludu, o tego Kościoła swobodę i niezależność. Państwo powinno być stróżem stanu posiadania Kościoła katolickiego, tak materialnego, jak i moralnego. Nie spełnimy naszej misji dziejowej, jeśli rządzić będą nami ludzie, nierozumiejący narodowego posłannictwa.

Wiara jest produktem pierwszej potrzeby dla ducha narodu, więc o eksporcie tej wiary dziś marzyć nawet nie możemy, kiedy nam w kraju taki jej brak. Misyjną pracę, misyjny niejako nowicjat, zacznijmy u siebie, ale zacznijmy zaraz. Kraj ma taki sejm i taki rząd na jaki zasługuje. My przed potomnością, wobec historii odpowiedzialnymi będziemy za złe prawodawstwo, za szkodliwe czyny naszych władz. Sejm i rząd powinien być ekspozyturą i wcieleniem katolickiego ducha Polski. Innego sejmu, innego rządu nie mamy obowiązku, nie mamy prawa cierpieć. W dzisiejszej wskrzeszonej Ojczyźnie wiele, wiele do tego brakuje, żebyśmy mogli dziękować Bogu za opiekę, jakiej doznają w Polsce nasze ideały narodowe. Te niedomagania duchowo-etyczne naszych władz naczelnych, w zaraniu zmartwychwstania Polski, sprawiły, żeśmy zlekceważyli całość i granice posiadłości Królowej Korony Polskiej i tyle, tyle świątyń, czci Jej poświęconych, po zwyciężskim odparciu najezdźnika, dobrowolnie oddaliśmy na łup żydowskiemu dyktatorom Rosji: oddaliśmy ziemię, od wieków do Polski należącą, wbrew podstawowej zasadzie restytucji naszych granic przedrozbiorowych.

Dlaczego tak się stało? Bo ci, którzy nami rządzili, nie rozumieli historii polskiej; nic ona ich nie obchodziła. Historję sami tworzyli, początek jej od siebie zaczynając. Nie rozumieli

myśli historycznej Polski, bo patryjotyczne uczucia wypaczyła w nich doktryna dogmatyczna.

Idea polityczna każda: arystokratyczno-zachowawcza, demokratyczna, radykalno-socjalistyczna, nie jest dogmatem, ale koncepcją ludzką, omylną i tak ułomną, jak jej twórca-człowiek, więc jest zlepkiem prawdy i fałszu, jest wypadkową szlachetnych zamierzeń i głupiego wykonania, altruistycznych przesłanek i egoistycznych konkluzyj. Nie można w bałwochwalczej czci dla polityczno-społecznych koncepcyj ludzkich, jakeimi są arystokratyczne, czy demokratyczne teorie, poświęcać tych najcenniejszych darów Bożych, jakie posiadamy: rozsądku i sumienia. Bo zwycięży nie hrabia Henryk, ani Pankracy, tylko Galilejczyk! Trzeba być przede wszystkim katolikiem, potem Polakiem, a wtedy będziemy mieli w sobie ten idealny filtr, przez który przesączona każda polityczna teoria wypłynie czysta i wolna od bakterij doktrynerstwa, zachowując w sobie jedynie pierwiastki myśli Bożej, to jest sprawiedliwość i miłość, stanie się więc rozsądną, umiarkowaną, dobroczynną.

Ludzie, którzy mieli losy Ojczyzny w rękach w dniu restytucji jej granic, powiedzieli sobie: »sięgać po Ruś — to imperjalizm! Cóż będzie z Polską, kiedy przyłączymy do niej tyle obcoplemiennej ludności? Dla kogo mamy narażać się potężnemu sąsiadowi? Dla tych kilkudziesięciu obszarników?« Oto jak doktryna zaciemnia wzrok i bałamuci umysł!

Ukraina, od kiedy politycznie wyłoniła się z niebytu, nie była czyją inną, jak Polski. Czy to było może pragnienie uszanowania jej samodzielności? Takiej naiwności chyba w Rydze nie piastowano. Oddano ją Rosji i to Rosji bolszewickiej, Rosji, do której nigdy nie należała; mówię tu o prawobrzeżnej przydnieprowskiej Ukrainie.

Gdybyśmy znali już nie historję, bo tego trudno od każdego wymagać, ale przynajmniej naszą belletrystyczną literaturę: Malczewskiego, Wincentego Pola, Chodźkę, Rollego, Sienkiewicza, wstydzilibyśmy się mówić, że kresy to nie Polska.

»Jakże utrzymać polskość, w razie przyłączenia Ukrainy, przy pięcioprzymiotnikowym głosowaniu?« odpowiadają nasi doktrynerzy. Kochamy demokratyczne zasady więcej, niż Ojczyznę i w tem nieszczęście całe. Kochamy tę doktrynę namiętnie, więc ślepo.

W 1905 roku, kiedy wpływy, dziś już zdemaskowanej, pseudodemokracji rosyjskich kadetów zaczęły duszę polską znieprawiać, urządzono, w imię demokratycznych haseł, wiece dziecięce w Warszawie, na których ci ośmioletni kandydaci i kandydatki do równouprawnienia wygłaszali swoje postulaty, a głupsi, nawet od dzieci, rodzice, hołdowali tym nowym prądom. Wmyślmy się w ten fakt, niestety historyczny, bo jest on tylko konsekwentnym rozwojem i wynikiem fałszywie pojętej doktryny. Ja sądzę, że im więcej małych dzieci mają rodzice, tem słuszniejszą jest rzeczą, żeby poważny głos ojca, żeby serdeczny głos matki stanowił o doli rodziny, choćby głosy tych dzieci i liczne były i krzykliwe. To nie imperjalizm, to rozsądek, to sprawiedliwość, to miłość tego ludu tak myśleć nakazuje. Wiemy wszyscy, o ile doktryna nas nie zaślepia, że lud ruski nie ma przygotowania do życia politycznego, że nie ma żadnych politycznych aspiracyj, że historia, tradycja uczyniła go bliższym naszej kulturze, niż kulturze i obyczajowi rosyjskiemu; wiemy, że jeśli Ukraina nie będzie polską, stanie się nie ruską, nie rosyjską nawet, ale bolszewicką. Szkoda krwi przodków, szkoda zmarnowanej pracy stuleci!

Nazywają nas Francuzami Północy i rzeczywiście, prócz niektórych ich zalet, mamy wspólne z nimi wady. Francuz wszędzie, gdzie jest, szuka bulwarów paryskich, a jak ich nie znajduje, nieswojsko mu i obco. Nic i nikogo poza Paryżem nie rozumie. Jak wyjedzie z Paryża, jest na wygnaniu. Warszawianin, kiedy przyjeżdżał na kresy, czuł się w Rosji i bezwiednie kresy nasze rusyfikował. Dumny był ze swojej znajomości języka rosyjskiego i nim stale się posługiwał. Opuściwszy Warszawę, czuł się w kraju obcym, a mówienie po rosyjsku uważał za dowód kultury.

My, urodzeni na kresach i od wielu pokoleń zrośnięci z tym krajem, czuliśmy się zawsze tam, nie na obczyźnie, ale u siebie, w Polsce, bo polska ludność kresowa nie przystąpiła do Targowicy, ani podpisała w Grodnie rozbiór Polski. Nie uznała go wobec straszliwej przemocy Katarzyny, Aleksandrów i Mikołajów, a cóż dopiero wobec takich efemeryd, jak Lenin i Cziczeryn!

Toteż matki nasze, żony, córki, zwłaszcza te, które miały szczęście i możliwość kształcić się w domu, lub w tajnych szkołach polskich, życie całe spędzały, nie przemówiwszy słowa po rosyj-

sku. Urzędnicy rosyjscy, jeśli dbali o stosunki z polską inteligencją, na gwałt, przyjechawszy na Ukrainę, uczyli się po polsku, bo nie chciano z nimi po rosyjsku rozmawiać. Z włościanami mówiło się ich ślicznym, bardzo przez nas ukochanym narzeczem. Ze służbą domową nie potrzebowało się nigdy mówić po rusińsku, bo ten inteligentny lud namiętnie pragnął uczyć się naszego języka i po dwóch tygodniach pobytu w domu polskim, na zapytanie, zadane mu po rusińsku, odpowiadał po polsku. Włościanie śmieli się z tych, którzy wróciwszy z wojska, imponować chcieli znajomością państwowego języka; mówiono o nich: »Co Moskał«. A wrażenie moje czerpię z Podolskiego Pobereża, to jest z tej części Ukrainy, która najbardziej na wschód wysunięta, najdalej leży od granic etnograficznej Polski. Każda większa placówka polska — to było ognisko wiary katolickiej, obyczaju i kultury naszej narodowej, źródło bogactwa i zamożności Polski. Wiary, bo był kościół, plebanja, katechizacja dzieci, cmentarz, który wiązał przeszłość z przeszłością, niebo z ziemią spajał przez świętych obcowanie. Było pole pracy i ekspansji dla inteligencji polskiej, która na tych żyznych łąkach znajdowała chleb, nie wynaradawiając się, bo pracowała z Polakami, dla Polski, w promieniu ramion katolickiego krzyża. Pracowano tam wyłącznie dla Polski. Gdyby w Warszawie, Krakowie, Lwowie, Wilnie, nawet w Poznaniu, a cóż dopiero w Petersburgu, Moskwie, Kijowie, Odesie, gdyby kto chciał badać historję fundacji kościołów, klasztorów, instytucyj kulturalnych, naukowych, dobroczynnych, lwia część tych ofiar okazałaby się dobrowolną daniną kresów dla Polski, tych kresów, które dzisiaj tak pogardliwie wyrzucone zostały za nawias pojęcia o polskiej Ojczyźnie.

»Ukraina — nie polska, bo lud nie polski!« A kto bronił jej przed najazdami Mongołów, którym uległa Rosja, kto bronił przed Tatarami i Turcją, kto zaprowadzał ład, bezpieczeństwo, kto użyźniał dzikie pola, uprzemysłowił ten bogaty kraj? Ile krwi naszej, ile bohaterskich wysiłków kosztowało Polskę, nim kresy stały się tą błogosławioną krainą, nie już pożogą i krwią, ale mlekiem i miodem płynącą? Lud nie polski, i cóż z tego? Polska nie należy do ludu, ale do narodu.

Nieszczęście chciało, że nie miłość kieruje umysłem naszych demagogów z pierwszego okresu państwowości polskiej, ale nienawiść do obszarników i katolickiego Kościoła. Stąd tak

łatwe, a tak dla polskich kresów tragiczne porozumienie w Rydze z pokrewną ideologją Lenina. Kraina latyfundjów, kraina burżujów, choć odwiecznie polska, została amputowana. Polska traci, ale demagogja triumfuje. Gdybyśmy byli katolikami, nie z imienia tylko, ale z ducha, rozumielibyśmy inaczej nasze narodowe obowiązki.

Tego bratniego ludu nie trzeba ubóstwiać, ale trzeba go kochać i ratować! Nie można, ze szkodą wspólnej Ojczyzny, oddawać w jego niedoświadczone ręce rządów nad sobą, bo rządzić winna głowa, nie ręce, bo ta władza dziś oddana, nie została-by ani dnia jednego w jego rękach. Rozsądek i dobra wola nie pozwalają nam o tem wątpić. Wszak w tej chwili, o sto kilometrów od nas, władza przeszła rzekomo całkowicie do rąk ludu pracującego i, od tej chwili, lud ten, pozbawiony wszelkich praw, umiera z głodu, a wyrazicielem jego woli jest — Żyd. Oto owoce, które przynosi idea demokratyczna w kraju niekulturalnym, a myśmy tej doktrynie, a raczej tym doktrynerom (bo sama doktryna nic temu nie winna), myśmy tym fałszerzom, tym pachciarzom idei demokratycznej poświęcili ciała i dusze milionów ludu. Przykro to mówić i wiem, że sobie nie zjednam popularności, bo nie schlebiam hasłom dzisiejszej doby, ale mówię to, co mi nakazuje mówić sumienie i cześć dla m. czeńskiej śmierci św. Jozafata. Nie chcę wyzyskiwać rocznicy męczeństwa jego dla celów egoizmu osobistego, czy nawet narodowego. Pokój w Rydze podpisany i wszystkich obywateli Polski obowiązuje. Biedna moja Ojczyzna i skołatana Europa powinny dążyć do stałego pokoju i unikać wszystkiego, co by groziło zaostrzeniem stosunków między państwami. Zbrodnia by była dzisiaj nowa wojna, choćby nawet mienić się mogła wojną krzyżową.

Wstydzilibym się mówić o naszych obowiązkach apostołskich, myśląc jednocześnie o polskich straconych majątkach. Nie!... Powinniśmy pamiętać tylko, że tam kościoły są zamknięte, plebanje opustoszone, cmentarze katolickie bezczeszczone, ludzie żyją bez pociech religijnych, a umierają bez sakramentów. Ofiarujmy za grzechy nasze Bogu to stracone mienie, ale nie wyrzekajmy się przywilejów starszeństwa w tym przez nas tak ukochanym kraju. A czem jest prawo starszeństwa, jeśli nie obowiązkiem miłości, oświaty, przewodnictwa? Dzieje Kościoła dowiodły, że dla tych, którzy ukochali Boga i dusze ludzkie, niema

politycznych granic. Nie trzeba nam karabinów, ani paszportu... krzyż wystarczy. Jeśli z Rzymu idą misjonarze na cztery końce świata i do najdzikszych docierają ludów, dlaczegóżby świeżo wytknięta granica, tak uszczuplająca stan posiadania katolickiego Kościoła, miała być tamą naszej gorliwości? Jeśli Polska jest żywotną, Ruś i Rosja musi stać się katolicką i to przez Polskę.

Myśl ta nie jest mistyczną ekstazą, ale jest politycznym postulatem dziejowym, drogowskazem jedynym, który nas na manowce nie zaprowadzi.

Za nienawiść, za ciemnienie, za pogrążenie nas w ciemnościach, za usiłowanie oderwania nas od źródeł wiary, od Rzymu... ponieść temu odwiecznemu wrogowi miłość i światło wiary, zyskać jego ufność i przyprowadzić go do stóp Namiestnika Chrystusowego... co za odwet, co za chwała dla rycerskiego, chrześcijańskiego narodu, ale jednocześnie... co za korzyść! Lud rosyjski dawno czeka i łaknie prawdy. Prawosławie jest religią martwą, ono dało tylko głód i pożądanie wiary. Najszlachetniejsze dusze, najgłębsze umysły w Rosji szczycą się z tego, że są »bogoiskatieli«, że szukają Boga. A nam tego Boga święci Pańscy przynieśli przed dziesięcioma wiekami i odtąd nauka Jego zaspakaja bez przerwy wszystkie pragnienia serca, umysłu i duszy naszej. Podzielmy się z nimi tem szczęściem w ich dzisiejszem nieszczęściu. Niech ten czyn stanie się aureolą zmartwychwstałej Polski, świadectwem naszego odrodzenia, dowodem, że »my się jeszcze obudzili, byśmy Cię, Boże, chwalili«.

Władysław IV polecił wyryć na pomniku ojca te słowa: »Walczył mieczem, zwyciężał krzyżem«. Nie zdawał sobie może sprawy ten król pobożny, że pisze *motto* dla całej historii Polski. Walczyliśmy mieczem w ciągu dziejów naszych: o Pomorze, o Śląsk, o Czechy, o Saksonję, o państwo Rakuskie, Węgry, Siedmiogród, Inflanty, Danję, Szwecję i Moskwę. Wojny te były zaczepne i odporne, powodowane ambicją, to władców naszych, to sąsiadów. Przynosiły nam one czasem porażki i upokorzenia, częściej przysparzały sławy orężowi polskiemu... prawie nigdy nie przynosiły trwałej korzyści, a szkody bywały dotkliwe i długotrwałe. Łokietek dla zdobycia Pomorza wzywa pomocy Krzyżaków, co w następstwie przynosi Polsce cały szereg najkrwawszych i najcięższych bojów. August II dla celów dynastycznych przeciw Leszczyńskiemu i Szwedom wzywa pomocy cara Piotra,

a rozbiory Polski są epilogiem tego sojuszu. Dwie zwycięskie wyprawy do Moskwy i trzy także wyprawy do Kijowa nie przyniosły nam ani sławy, ani korzyści, więc... przyniosły szkodę.

Nie sądzono nam było być narodem zaborczym. Natomiast, kiedy broniliśmy czy to swoich granic, czy też cywilizacji Europy od najazdów pogańskich, niezależnie od wyników walki, zwycięstwa czy klęski przysparzały nam siłę, zasług i chwały. Henryk Pobożny ginie w 1241 roku pod Lignicą, broniąc już nie Polski, która zniszczona była doszczętnie, ale cywilizacji europejskiej od dziczy tatarskiej, a jego na pice obnoszona głowa, staje się wytyczną naszego dziejowego pochodzenia. Grunwald okrywa nas sławą i przynosi niezmierne korzyści, bośmy tam walczyli *pro aris et focis*, z zakonem rozbójników, z wilkami w owczej skórce. Zwycięstwa pod Chocimem i Wiedniem wysłużyły nam wdzięczność świata cywilizowanego, a po Warnie i Sokalu, mimo klęsk poniesionych, otoczyła poległych rycerzy polskich taka wdzięczność chrześcijańskiego świata, że dziś jeszcze, prawie po pięciu wiekach, całe chrześcijaństwo trzy razy na dzień, na głos sygnaturki kościelnej, odmawia pacierz za Polaków, poległych w służbie Chrystusowej.

Żółkiewski odnosi świetne zwycięstwo nad Moskwą w 1610 roku pod Kłuszynem i to jest zaledwo epizodem w naszej historii. Tyleśmy mieli dzielnych wodzów, tyle zwycięstw. Ale, kiedy ten sam Żółkiewski, zwyciężony, ginie pod Cecorą w walce z poganami, tę szanowną, męczeńską głowę rycerza polskiego, znowu na pogańskiej pice zatkniętą, wnosi historia nasza do skarbcza najdroższych pamiątek narodowej chwały, bo takie klęski są najczystszy triumfem ducha polskiego. Zygmunt Krasiński o nich powiedział, że są one »tą przegraną, której cel daleki, lecz która wkońcu zwycięża na wieki«.

Męczeństwo świętych: Wojciecha, Stanisława, Jozafata, Andrzeja Boboli, unje: Horodelska, Brzeska, Piotrkowska, Lubelska, męczeństwo unitów podlaskich, parafjan krożańskich, ofiarna śmierć księdza Skorupki, kapłana-rycerza i księdza Budkiewicza, kapłana-męczennika, Kordecki, Skarga, Kościuszko ranny i zwyciężony pod Maciejowicami, książe Józef, ginący pod Lipskiem, by honor Polaków oddać w ręce Boże i ułani, godni jego imienia, ginący na ulicach Krakowa, by krwią swoją okupić i zmyć hańbę zdrajców Ojczyzny, a jednocześnie uratować ją od

morowej zarazy bolszewizmu — oto etapy pochodu myśli polskiej przez stulecia, oto relikwiarz nasz narodowy, oto bohaterowie i przedstawiciele sumienia polskiego.

Świętych Pańskich znaczenie większe bywa po śmierci, jak za życia, mówi Kalinka, a dzisiejszy dzień jest tego dowodem.

Schizma sprowadziła dualizm i rozłam między szczepami słowiańskimi, a tylko katolicyzm, czy łaciński, czy wschodniego obrządku, może te narody pojednać. My mamy szczęście być katolikami i na to, by *gesta Dei per Polonos* zostały spełnione, musimy uprzytomnić sobie, że tylko my jesteśmy do tego powołani. Nikt nas nie zastąpi! My jedni znamy Rosję, my jedni przemawiać do niej potrafimy, w języku dla niej zrozumiałym. Do apostołstwa w Chinach, czy Kamerunie — uzdolnione są wszystkie katolickie narody, do pracy w Rosji i dla Rosji przede wszystkim Polacy! Książd Guepin w swoim dziele o św. Jozafacie twierdzi, że Polska, jeśli przytuli do siebie i pojedna dwa szczepy słowiańskie, rozdarte przez schizmę, będzie mogła rozporządzać ogromnymi siłami na korzyść Kościoła i cywilizacji. Ale my tego dotąd nie rozumiemy! W Warszawie stała garnizonem znaczna liczba unitów, galicyjskich żołnierzy i oto władzom wojskowym polskim nie przyszło na myśl, że unicy to są katolicy, więc polecono im chodzić na nabożeństwa do cerkwi prawosławnej i dopiero protest księdza unickiego Ilkowa, posła na Sejm, zmienił to gorszące rozporządzenie. Czy to nie wstyd?

Możemy mieć większe przywiązanie do obrządku łacińskiego, możemy nawet mieć wątpliwości co do korzyści propagandy unji wśród Rusinów i Rosjan, możemy sądzić, że właśnie obrządek łaciński ułatwi i pociągnie te dusze, które razila martwość prawosławia, bo one szukają raczej odmiennej, niż podobnej formy kultu; jeśli te wątpliwości rodzą się w nas ze szczerzej troski o triumf Kościoła i dobro wschodnich naszych sąsiadów, mamy prawo przedstawić je miarodajnym władzom duchownym i popierać nasze mniemanie argumentami, czerpanymi ze znajomości stosunków i własnych obserwacji. Ale pamiętajmy, że *Roma locuta, causa finita*. Katolików obowiązuje posłuszeństwo i uległość synowska, więc ci unicy, których Rzym za katolików uznaje, mają być otoczeni przez nas miłością braterską, a ich duchowieństwo ma być tak szanowane, jak szanujemy łacińskich

księży i biskupów. Niema katolików, niema księży, ani biskupów pierwszej i drugiej klasy! My o tem często zapominamy, bo polityczne namiętności zagłuszają w nas uczucia religijne.

Kiedy św. Jozafat, poniósłszy straszne męczarnie, oddał już Bogu czystą duszę swoją, jego mordercy, naigrywając się nad pokaleczonem i bezwładnem jego ciałem, podnosili to rękę, to nogę biskupa, wołając: »Pasterzu! to dziś niedziela, czemuż nie prawisz kazania?... oto naród cię słucha!« Dziś, po trzech wiekach, powtórzmy ze skruczą i wiarą, że zostaniemy wysłuchani, to samo wołanie: Pasterzu! to dziś niedziela, bo Polska znowu żyje... to dzień jej zmartwychwstania. Pokuta odbyta, grzechy darowane, bo wina uznana i opłakana. Teraz wstań, czemu nie prawisz kazania? Naród, który cię nie słuchał, który nie poszedł za Twoim przykładem, nie uczcił Twojej pracy, ten naród stracony został do czyściska, ale dziś, przez zmiłowanie Boże, znowu do życia powrócił i zebrał się tu, gdzieś się urodził, by lepiej słuchać ciebie. Ta ziemia, którąś przepoił krwią Twoją, jeszcze nam droższą się stała, a dusza ludu tego, dla którego zbawienia oddałeś życie, tem cenniejszą jest dla nas po Tobie pamiątką. Nie z mieczem, ale z krzyżem w rękę pójdziemy za Twoim przewodem na Ruś i do Rosji, niosąc tym nieszczęśliwym braciom naszą wiarę i miłość. Zaniesiemy im przebaczenie uraz i przywiązanie do Kościoła katolickiego. Ty, któryś nie doznał za życia, w ciężkim a szlachetnym trudzie Twoim, ani od rządu, ani od sejmu Rzeczypospolitej, ani od ówczesnego duchowieństwa, ani od Twoich rodaków żadnej pomocy, uprosz dla tej Ojczyzny Twojej, aby jej rząd i sejm uczciwie i w poszanowaniu prawa Bożego obowiązki swoje spełniał, a przez to miał prawo wymagać od nas dla siebie szacunku i karności. Wyjednaj dla Polski kapłanów gorliwością Tobie równych. Módl się, by w polskiej rodzinie panowała dawna przodków naszych pobożność i obyczajność, aby za przyczyną Królowej Polski i Twojem wstawiennictwem znikła na ziemiach naszych dziś tak szerząca się zaraza rozwodów. Aby młodzież nasza w pobożności chowana, dostarczała Kościołowi licznych kapłańskich powołań, byśmy zaczętego przez Ciebie dzieła dokonać mogli. Patrz, oto rozpostarły się niezmierne pola pod winnicę Pańską, ale pracowników brak wielki. Tyś umarł męczeńską śmiercią tak dawno, a jednak żyjesz i błogosławisz

nam dzisiaj, a kiedy Cię prosimy, byś do nas przemówił, słyszymy wyraźnie w sumieniach naszych: »Szukajcie Królestwa Bożego i sprawiedliwości Jego, a reszta będzie wam przydana«. Przyjmujemy do serca naukę Twoją, a Ty nam u Boga wyprosisz, by Polska i Ruś miały jedno serce, jedną duszę, jedną wiarę!

Przeciw filmom tak zwanym „naukowym“.

Przemówienie, wygłoszone w sali Tow. Rolniczego 22 lutego 1924 r.

Ojcowie i matki! Jeśli dbacie o przyszłe pokolenie, spieszcie zobaczyć film »Jak uświadamiać swoje dzieci«... Tak woła reklama dziennikarska, tak wołają anonimowe »stowarzystwa akcyjne« wytwarzające i wyświetlające filmy.

Ale głos rozsądku, głos sumienia rodzicielskiego oburza się na to wezwanie, bo wiemy, że jeśli uświadamiać dziecko można i trzeba, to tylko rodzice mają do tego prawo. Czuwać nad duszą dziecka jest ich najświętszym obowiązkiem. Prawa zrzec się możemy, obowiązku — nigdy! Rodzice jedni sądzić mogą, czy i kiedy uświadomić trzeba dziecko, by mu korzyść a nie szkodę ta wiedza przyniosła. Od ich uznania zależeć musi chwila, forma, rozmiary tego uświadomienia, bo taka decyzja nie znosi szablonu, zależną musi być od okoliczności, otoczenia, w których żyje dorastające dziecko i ściśle musi być dostosowana do jego psychologicznego i fizjologicznego rozwoju. Z każdym dzieckiem postępować trzeba inaczej.

Ojcowie i matki! wam powierzył Bóg straż nad duszą dziecka. nie ustępujcie praw waszych kinematografom.

Na to, by nie sądzić i nie potępiać na niewidziane, poszedłem w dwa miejsca, w których wyświetlane są filmy, t. zw. »naukowe«. Wyznać muszę, w imię bezstronności, że w jednym z nich niebezpieczeństwa płciowe są traktowane poważnie, oględnie, unikając wywoływania erotycznych wzruszeń i tylko logika i morał tej nabyto nauki, a w rzeczywistości bajki, jest isticie kinematograficzny. Doktor konstatuje u młodej dziewczyny, że będzie matką, młodemu chłopcu oznajmia, że popadł w ciężką chorobę i te dwa wypadki pochodzą jakoby z braku uświadomienia, z wiary w legendę o hocianie. Przedsiębiorstwa filmowe przece-

nią naszą naiwność, bo każdy widz warszawski zrozumie, że nieszczęście, łamiące życie tych dwojga dzieci ma inne źródło. Nieszczęścia takie spadają tylko na tych, którzy już dawno i z doświadczenia sceptycznie się zapatrywali na bocianią legendę.

Drugi film naukowy to lekcja anatomji akuszerskiej, tak straszna w swej realności, tyle tam krwi i cierpienia, że nietylko mówić o tem nie mogę, ale pamiętanie tego com widział, jest ciężkiem dla mnie cierpieniem. Jaką korzyść takie widowisko przynieść może? Jeśli kinematograficzne lokale służyć mają za kursa doksztalcające dla ginekologów i akuszerok, biedne te matki, któreby w takie ręce powierzały swoje i dzieci swoich życie. Dla widza mężczyzny te filmy są tak wstrętne, że pewno nie obudzą w nim niemoralnych, erotycznych wzruszeń. Dla dziewczynek, a widziałem ich na sali sporo, skutki tego widowiska mogą, a raczej muszą wywrzeć wpływ fatalny i zrodzić wstręt do macierzyństwa. Jeśli dbamy o wyludnienie Polski, ojcowie i matki, posyłajcie córki wasze oglądać filmy naukowe!

Idąc oglądać te filmy, sądziłem, że są one treści erotycznej. Przekonałem się jednak, że każdy dramat filmowy pod tym względem jest bardziej gorszącym od tych jedynie wstręt budzących filmów uświadamiających. Dlaczego zatem podnosimy przeciw nim kampanję? Bo tu walczymy o dzieci nasze. Walczymy z kłamstwem, z perfidją, ze zdradą. Filmy niemoralne, tak jak teatry, operetki, bary, jak »cabinets particuliers« w restauracjach, jak maskarady — to są trucizny, ale dla dorosłych, mających już możliwość i obowiązek samoistnego kierownictwa sobą. Nikt im nie mówi: »Panowie i Panie! idźcie na maskaradę, bo tam naucycie się cenić świętość domowego ogniska«.

Świat idzie pod chorogwią zgorzenia: nic na to nie poradzimy. Zbawiciel sam powiedział: zgorzenie przyjąć musi, ale dodał: »biada gorszącym maluczkich«. Ten cichy, ten słodki Zbawiciel, raz tylko w życiu, okazał się surowym i gwałtownym, kiedy wyganiał kupczących ze świątyni. Idźmy za Jego przykładem, bo oto wdzierają się kupcy do świątyni duszy naszych dzieci. Uczyć ich chcą, uświadamiać, ostrzegać, ratować. Kto z nas taki głupi, żeby w to uwierzył? Chcą kupczyć, chcą handlować bezwstydem, bo to towar pokupny. Oni przecież dzieci naszych nie znają, nie kochają, to dla nich dzieci obce, cudze. Gdyby kochali, pewno by ich na te widowiska nie narażali: oni

pragną nie dobra naszego, ale naszych pieniędzy. Kiedy niedawno broniono przywilejów kinematografów w Warszawie, inspirowane artykuły dziennikarskie, pewno nie bezpłatne, wychwalały korzyści i wartości artystyczne, estetyczne, etyczne tych widowisk, a kiedy te względy nie dość trafiały do przekonania i nasze miarodajne władze wahały się co do utrzymania tych przywilejów, uderzono w nutę realniejszą. Kinematografy przynoszą biljony marek dochodów i dają miastu odsetki czyli dziesiątki i setki miliardów. Dla Warszawy, walczącej z deficytem, takie argumenta są przekonywujące.

W państwie rosyjskiem monopol spirytusowy rozpajał ludność, ale przywrócił równowagę budżetu państwowego. Budżet się rzeczywiście urównoważył, ale państwo runęło. Tam jednak chodziło o ludzi dorosłych — tu chodzi o dzieci, a my dlatego, że kinematografy podpierają budżet miasta i naszych gazet, my cierpimy, znosimy ich trucicielską rozkładową pracę, my udajemy, że wierzymy w szczerść ich dydaktycznych zamiarów. Jesteśmy nareszcie w wolnej Polsce. Czyż ludzie uczciwi, czy chrześcijanie zmuszeni będą tęsknić za dawną niewolą. Takich gorszących widowisk, takich odczytów, jakie wygłaszane bywały teraz w Towarzystwie Hygienicznym, nie było nigdy w Warszawie za czasów caratu. Niewola krępowała wszystkich i wszystko, złe i dobre poczynania były utrudnione, lepsza niewola, niż swawola i gdyby to swawola! Przepraszam za to gastryczne określenie, które przedstawiam ideałowi pięknej wolności... to jest rozwolnienie obyczajowe!

Czy mamy to znosić? Czy miłość Ojczyzny, czy miłość młodzieży polskiej nie uzbroi nas przeciw tym zakusom wrogów sumienia polskiego, polskiego chrześcijańskiego obyczaju. Deszcz siarczasty spalił Sodomę, nie dlatego, że się tam działy rzeczy sprośne, ale za to, że nie znalazło się w tem mieście dziesięciu sprawiedliwych, którzyby dali świadectwo tej bojaźni złego, z miłości Bożej zrodzonej.

Na co szukać w tak odległej przeszłości? mamy Sodomę pod bokiem. Oby ona nam bokiem nie wylazła. Tam także dzieci odbierają rodzicom, by je lepiej uświadamiać, a ta niesłychana w dziejach chrześcijaństwa grabież, ta zbrodnia nad zbrodniami, kradzież u rodziców duszy dziecka, mogła być dokonana dlatego tylko, że Lenina poprzedził Tołstoj i zaszczerpił w serce i umysł

Rosjanina ten obezwładniający sumienie narodowe narkotyk, który się nazywa: »niesprzeciwianie się złu«. Ale w Polsce, jeśli w ostatnich czasach odzywali się niestety bezwiedni duchowi potomkowie Tołstoja, to głosy ich przebrzmiały bez szkody dla duszy narodu. My, którzyśmy mieli Skargę, Mickiewicza, Krasieńskiego, Sienkiewicza, my wykarmieni słodkim mlekiem chrześcijańskiego ideału, my nie damy się otumanić tym importerom uświadomienia. My, ojcowie i matki, sami chcemy wychować dzieci nasze. My, katolicy, musimy bronić obyczajności i wstydu w młodem pokoleniu. My, którzyśmy uznali niepokalaną Panią Królową Korony Polskiej, pragniemy, by tradycja Nazaretu przyświecała idealnym swym przykładem pracy wychowawczej nad polską dźwiatwą.

»Zdziczenie powojenne« — stało się utartem określeniem bieżącej chwili. Cała generacja wykołejoną została nietylko materjalnie, ale i duchowo. W kraju analfabetów, w kraju finansowej ruiny, w kraju, w którym wszystko stworzyć i odbudować musimy, nie zaczynamy tej pracy od sprowadzania operetek, jazzbandów, filmów drastycznych i danzingu, bo to nam nie przysporzy ani finansowego ani moralnego kredytu. Im cięższą jest chwila obecna, tem droższą nam być winna troska o duszę młodego pokolenia, bo w niej przyszłość Polski. Nie pozwalajmy gorzyć młodzieży, a gdy przyjeżdżają z za morza biznesmamy, żeby ją uświadamiać, pocujmy przed handlarzami ten święty gniew Boży. Precz z rękami! Precz ze świątyni duszy dzieci naszych!

Mamy, chwała Bogu, w osobie Prezydenta Rzeczypospolitej godnego przedstawiciela bogobojnej tradycji narodowej. On będzie naszym w tej sprawie sojusznikiem. Inni przedstawiciele władz prawodawczych, lub wykonawczych, miejmy nadzieję, zrozumieją oburzenie nasze przed kłamstwem filmowej reklamy o pożytku drastycznej demonstracji. Oni nam pomogą, pomoże nam Bóg i wymieciemy z Warszawy te śmiecie!

Charakter.

Referat, wygłoszony 4 maja 1924 r.

Charakter to całokształt i zespół indywidualnych cech człowieka. Człowiek ma charakter: przyrodzony i nadprzyrodzony.

Przyrodzony charakter polega na wyrazie twarzy, ogólnym układzie, ruchach, ustroju fizyczno-duchowym, różniącym ludzi między sobą.

Charakter zaś duchowo-moralny nie jest przyrodzonym i musi być wypracowanym, wykutym i wyrzeźbionym, a osadzonym w przyrodzonym temperamencie, jak w oprawie, żeby górował nad nim i człowieka uszlachetnił.

O tym właśnie nadprzyrodzonym charakterze mówić dziś mamy. Charakter zdobywać można za pomocą przyrodzonych właściwości naszej natury, więc od nich rozpoczynamy. Pierwszym czynnikiem jest rozum. Rozum nam mówi, że człowiek duszy swojej nie mógł otrzymać na nic, na błahostki, ale musi mieć jakiś naczelną cel, wobec którego wszystkie inne są podrzędnymi i raczej środkami do spełnienia głównego zadania. Sokrates, chociaż poganin, więc bez pomocy objawienia, ale jedynie przyrodzoną potęgą myśli, doszedłszy do przekonania, że dusza jest nieśmiertelną, taką z tej świadomości wysnuwa konsekwencję: »Szczęśliwym na ziemi jest tylko ten, który przez mądrość umie być cnotliwym, bo rozkosze są śmiertelne, cnoty... nieśmiertelne«.

Do tej dojrzałości duchowej dochodzi się jednak mozolną pracą. Oczyszczać trzeba rozum z błędów, wolę i serce ze złych skłonności, bo, jak mówi znowu Sokrates: »Bogowie położyli trud przed cnotą«. Do wyżyn życia cnotliwego nie można dojść bez nieustannego obcowania z Bogiem. Trzeba spełnić wolę Bo-

żą, a szukać jej głosu w sumieniu własnym. Ta czujność na głos sumienia, ten zwyczaj karności Bożym nakazom, natchnieniom, jest podstawą uczciwego życia. Wszyscy filozofowie, którzy byli chlubą starożytnej kultury, uważali, że wszelka mądrość, która zaprzeczała istnieniu Boga i kładła człowiekowi pośledniejszy cel życia, niż szukanie prawdy i zdobycie cnoty, okazała się złudną, fałszywą i oszukańczą.

Widzimy zatem, że już przed Chrystusem rozum przyrodzony w etyce szukał podstaw charakteru. Ale rozum tylko poznaje prawdy i dopiero wola wcielić je może, teorje w praktykę zamieniając. Światłe nakazy etyczne i granitowa wola tworzą w człowieku ów odrębny duchowo-moralny ład i styl, zwany charakterem, podczas gdy suma właściwości fizycznych, fizjologicznych ciała jego i temperamentu wytworzyły, bez jego przyczynienia się ani zasługi, tło i podstawę charakteru moralnego.

Wola silna, nabyta własnym wysiłkiem, opromieniona szlachetną wyobraźnią i uczuciowością, to są cechy charakteru, który kierować powinien życiem człowieka na to, by szedł niezłomnie drogą obowiązku ku swemu przeznaczeniu. Gdzie brak prawideł etycznych, albo silnej woli, która te zasady w życie wprowadza, tam niema charakteru. Jeżeli człowiek ma wolę, nawet silną, ale jej używa na służbę namiętnościom, wtedy mówimy o nim, że ma charakter zły.

»Każde krwawe w dziejach imię,
Ach, nosiła mierna dusza«.

Zdobycie zasad etycznych, wyrobienie silnej woli, nie jest rzeczą łatwą, toteż prace nad zdobyciem tych podstaw charakteru oprzeć powinniśmy na dwóch pomocniczych, a także przyrodzonych, właściwościach natury ludzkiej, na wyobraźni i uczuciu. Te dwa czynniki, o ile będą na usługach rozumu i woli, staną się czystemi i dobroczynnymi.

Wyobraźnia wtedy zaostrzy bystrość rozumu, pogłębi jego siłę, rozszerzy widnokrąg, pomoże do odkrycia nowych prawd, bo swoją prężnością jest dla rozumu niy trampoline, ułatwiająca myśli ludzkiej skok w górę, w sferę nadziemskich ideałów.

Uczucie, jako sojusznik woli ludzkiej, może być siłą dodatnią lub ujemną, podatną do dobrego lub pokusą, sprowadzającą na manowce. Jeżeli uczucia pomnażają siły rozumu, rozmach

woli, ku urzeczywistnieniu ideałów etyki, wtedy są czynnikiem dodatnim w wyrobieniu charakteru.

Te uwagi o charakterze duchowo-moralnym powinienem zakończyć galerją portretów tych bohaterów przedchrześcijańskiej ery, którzy przeszli do historii właśnie jako szanowne typy ludzi z charakterem, jak Arystydes, Sokrates, Mucjusz Scevola i inni, ale i czas mi na to nie pozwala i nie o nich nam chodzi, bo nie mogą oni już służyć nam za wzór.

My, chrześcijanie, mamy wzór inny, lepszy, jedynie nas obowiązujący, mamy wzór Boga, który się stał człowiekiem, aby nietylko nauką Swoją, ale przykładem życia na ziemi uświadomił nas, czem jest charakter chrześcijański. »Przyszedłem, aby ludzie życie mieli i mieli je obficie«. Mówić będziemy o charakterze chrześcijańskim.

Charakter chrześcijański to niewzruszona wierność, stałość, konsekwencja, którą człowiek, na łasce Bożej oparty, okazuje w swem myśleniu, chceniu i czynach. Człowiek o charakterze chrześcijańskim to osobistość duchowa i moralna jednolita, która na każde natchnienie Boże ku dobremu odpowiada: tak — spełnię; na każdą złą pokusę odpowiada: nie — nie ulegnę.

Podstawą charakteru chrześcijańskiego jest także rozum, ale oświecony łaską wiary. Rozum bowiem jest pierwszym warunkiem do zdobycia niezbędnych pewników religijnych i moralnych. Hipotezy nie wystarczą. Charakteru nikt nie wybudował na podstawie przypuszczeń. Poznanie Boga i silne przekonanie o Jego istnieniu jest niezbędną podstawą dla wyrobienia w sobie chrześcijańskiego charakteru, bo tylko Bóg jest godnym dla nas wzorem.

Rozum przyrodzony jest zdolny, przy dobrej woli, poznać Boga. Jeśli ktoś swoim rozumem przyrodzonym nie wzniesie się z rozważania stworzeń do poznania Stwórcy, przyczyną tego jest niedorozwój jego duszy. Kalekami są tacy ludzie. Wszyscy zaś, którzy istnienie Boga poznali, a potem go zaprzeczają, to nie nadludzie — o nadmiarze rozumu, ale złoczyńcy o nadmiarze zuchwałości; grzebiący prawdę oczywistą w duszy własnej i w duszach drugich. Tołstoj mówi: »Jak ptaszęta krzyczą za gniazdkiem, z którego wypadły, tak dusza człowieka woła za Bogiem, z którego ręki wyszła«.

Od chwili stworzenia wywyższeni jesteśmy nad zwierzęta o całą nieśmiertelność. Takie uszlachetnienie obowiązuje. Nieśmiertelności naszej nie godzi się zmarnować i zaprzepaścić w tej znikomej chwileczce doczesnego życia. Godność i wysokie powołanie człowieka możemy wyczuć i odgadnąć przez analogiczny proces rozwoju i postępu tego uszlachetnienia w przyrodzie, bo przecież na jej szczycie stoi człowiek. Materja nieorganiczna, uszlachetniona przez wszczepienie w nią życia roślinnego, roślina, przez wszczepienie w nią duszy zwierzęcej, zwierzę — przez wlanie w nie rozumnej duszy ludzkiej i wreszcie człowiek — przez okulizację jego natury łaską Bożą.

Drugim czynnikiem jest: wola. Trzeba nietylko znać prawdę, ale chcieć tę prawdę przenieść z rozumu oświeconego wiarą do woli, wzmożonej łaską.

Wola zachęca, pcha do czynu, a że namiętności ciągną człowieka w przeciwną stronę, trzeba, żeby wola przechyliła go ku dobremu. Ta silna wola tak jest rzadko spotykaną u nas, że zrodziła się teoria, jakobyśmy jej nie posiadali wcale i nie mieli możliwości jej nabycia. Jest to wierutny fałsz! Prawdą jest jednak, że mamy wolę słabiutką, dziecinną, niewyrobioną. Cały ród ludzki od Adama ma słabą wolę, ale chyba najsłabszą mają — Polacy. Powiedział ktoś, że dla zdolności Polacy mają dwie głowy, dla uczuciowości — dwa serca, fantazji mają za dziesięciu i... ledwie pół woli. Sienkiewicz mówi: »Na dnie duszy polskiej leży... folga. Polak stale sobie folguje. Zdobył wysokie religijne i moralne zasady. Zamyka je w swej duszy; ma nagromadzone złoto, a żyje jak nędzarz«. Nie wychowujemy woli i dlatego Krasiński modli się o nią:

»Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,
O dobrą tylko błagamy Cię wolę,
Wewnątrz nas samych».

Wolę unikania złego i wolę obojętnej, dzielnego spełniania obowiązku, bo pierwsze oczyszcza i umacnia duszę, drugie rozszerza ją i pogłębia. Wzmacniać wolę trzeba przez pilne i sumienne spełnianie obowiązków każdego dnia i godziny, tych obowiązków powszednich, najmniejszych, bo wtedy, kiedy przyjdzie obowiązek ciężki, zastanie nas silnymi i lekkim nam się wyda. Michał Anioł powiedział: »Od drobnostek zależy doskonałość, ale doskonałość drobnostką nie jest«.

Słowacki daje nam dobry przepis jak zdobyć wolę, przez wolę — cnotę, przez cnotę — Boga: »Każdy jest silny o pół kroku pchnąć ludzkość ku Bogu, a jutro — jeszcze silniejszy«.

Tę siłę trzeba zatem ćwiczyć nieustannie, ale ćwiczyć celowo i tylko dla dobra wyższego. Ci nadludzie, którzy ją ćwiczą dla celów osobistych, by ta siła przerastała prawo i mogła ich wyzwolić od obowiązku, ci siłacze każą nam myśleć o orzeczeniu Eurypidesa: »w Atyce jest dużo rozmaitych drabów, ale najgorszymi są atleci«.

Na to, by stworzyć charakter chrześcijański, trzeba, by przyrodzone dary człowieka, jak rozum i wola rozjaśnionymi, wzmocnionymi, dopełnionymi, uświęconymi zostały przez łaskę wiary, przy której jedynie nabywać i pielęgnować w sobie możemy cnotę.

Nauka o moralnem obciążeniu człowieka i o jego wywyższeniu przez łaskę to fundament pedagogiki. Nie wyrobi w sobie chrześcijańskiego charakteru, kto nie zna stanu duszy ludzkiej po katastrofie pierwotnego grzechu. Trzeba znać słabość naszą i niezdolność do dobrego bez pomocy Bożej. Tę łaskę zdobywać trzeba pokorą, posłuszeństwem, czystością, dobrą wolą. Zaczniemy od cnót naczelných, podstawowych, od cnót teologicznych: wiary, nadziei i miłości.

W i a r a to skała, na której budujemy gmach charakteru. Które prawdy wiary przyjąć trzeba przedewszystkiem? Wszystkie bez wyjątku! O tem w Polsce nie wiedzą! Polak — indywidualista, Polak, który opatentował w historii *liberum veto*, Polak w rzeczach wiary jest eklektykiem. Wierzy w to, co mu przypada do smaku. Wierzmy, bo odczuwamy wartość wychowawczą religji; wierzmy, bo katolicyzm jest wiarą ojców naszych. Są to motywy dobre, ale niedostateczne. Przodkowie nasi najstarsi byli przecież poganami, a jednak my dumni jesteśmy i szczęśliwi z tego, żeśmy pogaństwo porzucili. Bo w tej wierze pierwszych przodków naszych nie było prawdy, więc nie było źródła dla zaspokojenia potrzeb duszy naszej. Religja katolicka uznana być winna rozumem, sercem i wolą tylko dlatego, że jest Boską, nieomylną, więc każdy jej dogmat, każdy nakaz etyczny jest równie ważny i święty. Odrzucając cząstkę, odrzucamy całość; gorzej — odrzuceni jesteśmy od całości Kościoła Bożego na ziemi!

Wiara nie obniża, ani upokarza umysłu ludzkiego, tylko go wzmacnia i uszlachetnia. Wierzmy Bogu, który nie zawodzi. Bluszczem jesteśmy — tylko dąb wiary z ziemi ku niebu nas wzniesie. Wiara nie obniża lotu rozumu, tylko go chroni od błędów. Iluż filozofów, uczonych, myślicieli pogardzało nauką wiary, ufało własnemu rozumowi i wznosiło dumnie swoją wieżę Babel! Ileż takich wież runęło, a nauka pokornych galilejskich rybaków trwa, szerzy się i świat zdobywa dla kultury chrześcijańskiej. Nie zbankrutowała wiara, jak twierdzą pseudo-filozofowie, ale zbankrutowały materialistyczne teorie uczonych, które zwalczały chrześcijańską cywilizację, jak zbankrutują wszystkie teozofje modernistyczne, o ile będą sprzeczne z nauką Kościoła, bo katolicyzm ma w przyszłości jeszcze większą rolę, niż ją miał w przeszłości. Mówię o Kościele rzymskim, bo stworzyć kościół narodowy w imię patryjotyzmu jest tem większą głupotą, że już nie oryginalną w pomyśle. Czemże był gallikanizm we Francji, czem jest protestantyzm i prawosławie, jeśli nie religją państwową lub narodową? Najwyraźniejszym typem tej tendencji są te liczne sekty religji narodowej, które wytworzyły w Rosji bolszewizm. Każdy rozumny człowiek wie, że to nie religja, ale przewrotny sposób, zmierzający do podstępnego niszczenia religji wśród ludu, który mimo swej ciemnoty koniecznie religji potrzebuje i bez niej obejść się nie może. Nie można narodowi swemu, w imię uczuć patryjotycznych, dawać fałszu, zamiast prawdy. Nieomylność papieży w rzeczach wiary, to nietylko dogmat, to aksjomat potwierdzony dwudziestowiekową historją istnienia stolicy Piotrowej.

Nadzieja. Człowiek charakteru to człowiek niezłomnej nadziei, więc nie tetryk, nie pesymista, nie zgorzkniały, zniechęcony, zobojetniały. On wie, że Bóg jest wszechpotężny i najmiłosierniejszy, wie, że Chrystus Pan umarł, żeby świat zbawić; więc jak wątpić może ten, który wierzy i kocha?

Miłość. Jak rozum, oświecony wiara, jest podstawą pod budowę charakteru, tak miłość jest tego charakteru i szczytem i koroną. Miłość jest probierzem, miarą charakteru i uwieńczeniem jego dostojności. Kto miłości nie ma, jest »miedzią brzęcząca«. Potomstwo Abrahama Bóg uczynił drzewem genealogicznym odkupieniu świata, bo przez miłość gotów był syna własnego Bogu przynieść w ofierze i dał mu naukę, że miłość a ofia-

ra to jedno i to samo. Dawid, kiedy grzechy uznaje, Magdalena, kiedy płacze u nóg Chrystusowych, dobry łotr, kiedy znosi cierpienia śmierci krzyżowej, oni — kochają. Święci męczennicy nie dlatego są wielcy, że cierpieli, ale dlatego, że kochali. Cierpienie to tylko świadectwo miłości.

Miłość to wiatyk na życie wieczne. Przyjdzie czas, że wiary i nadziei nie będzie nam potrzeba, a miłość to skarb jedyny, z którego śmierć nas nie wyzuje, jak i z tego, co w imię tej miłości za życia uczynimy.

Miłość Boga. Dużo zła jest na ziemi, ale to tylko ludzie są tego zła producentami. Co tylko dobrego mamy, co nam w życiu pociechę i radość daje, całe nieszczęście, które nas czeka w wieczności, wszystko to mamy od Boga. Nie kochać go byłoby poprostu potworną niewdzięcznością.

Kochać siebie. Ktoby siebie nie kochał, kogoż kochać będzie? Ale kochać w sobie trzeba przedewszystkiem pierwiastek Boży, duszę własną. Bo ktoby kochał w sobie pierwiastek cielesny, doczesny, ze szkodą pierwiastka nieśmiertelnego, wiecznego, ten kocha siebie głupio, nierozsądnie; jest własnym wrogiem i może siebie zgubić.

Kochać bliźnich. Nie może kochać Boga i żyć w łasce Jego, kto nie kocha bliźnich. Bliźni, potrzebujący naszej pomocy to ołtarz ofiarny, na naszej drodze postawiony, a każdy czyn miłosierny względem braci naszych jest aktem adoracji Boga. Kto bliźnich nie kocha, jest pasorzytem, ale przedewszystkiem nie posiada chrześcijańskiego charakteru. Mała miłość — mały charakter, wielka miłość — wielki charakter.

Kochać Kościół. W Kościele kochamy swoją Ojczyznę wiekiustą. Posłuszeństwo jego przepisom, obrona jego praw, oto tradycyjny obowiązek Polaka. *Semper fidelis defensor Ecclesiae.* W sprawie rozdziału Kościoła od państwa katolik powinien rozumieć to, co zrozumiał i tak jasno wypowiedział protestancki myśliciel Foerster. »Zasadnicze te instytucje tak trudno są rozdzielne, jak ciało i dusza w życiu doczesnym, bo całe wychowanie do życia państwowego wymaga kultury sumienia. Musimy pracować nad tem, aby żywioły świeckie przekonać o podstawowym, nigdy nieprzemijającym wpływie i pedagogicznym znaczeniu religji dla wychowania obywateli i dla spokoju, kultury i bezpieczeństwa państwa«. Tak mówi protestant. Gdybyśmy

my, katolicy, dopuścili w Polsce ograniczeń praw i swobody Kościoła, dowodziłoby to tylko, że nie mamy charakteru.

Miłość Ojczyzny. Miłość dobra i rozumna. Zła miłość, nierozumna i bluźniercza, to miłość jej ponad Boga, twórcę Ojczyzny. Miłość to głupia i dla Ojczyzny szkodliwa. Zasłaniamy się aforyzmem, który za dogmat przyjęliśmy od pogaństwa: *Salus rei publicae suprema lex esto*. To nie jest dogmat, to paradoks. Miłość Ojczyzny nie może grzeszyć przeciwko Bogu, ani przeciwko prawu do miłości Ojczyzny innych narodów, bo wtedy byłaby to miłość grzeszna; miłość Ojczyzny jest cnotą, a zatem uczuciem wzniosłym, czystym, budującym, nikogo nie krzywdzącym.

Nie można przemycać politycznej racji stanu, interesów partyjnych, kastowych, stanowych, osobistych, pod płaszczykiem miłości Ojczyzny. Paskarz, oszust, próżniak, złodziej, marnotrawca, sknera, gorszyciel — to nie Polak.

»Bo na świecie być Polakiem
To żyć bosko i szlachetnie«.

Ojczyznę kochać powinniśmy jak siebie samych, to jest szczerze, rozumnie i uczciwie, więc kochać w niej pierwiastek Boży i stale dbać o zachowanie w narodzie wiary, uczciwości, pobożności, karności. Powinniśmy troszczyć się o podniesienie oświaty, opartej na religii, tym najskuteczniejszym wychowawczym czynnikiem i szanować naszą prawowitą władzę. Powinniśmy się czuć odpowiedzialnymi za dolę Polski, jej dobrobyt i bezpieczeństwo, a tę solidarność wyrażać posłuszeństwem, ofiarnością mienia i krwi, ale przede wszystkim codziennej pracy.

Kochać ludzkosć. Tem się różnić mamy od pogan, bo miłość Boża serce człowieka rozszerza. Fanatyzm, ciasny nacjonalizm — to herezja przeciw miłości bliźniego, to pozostałości w nas przedchrześcijańskiego barbarzyństwa. Sienkiewicz rzuca nam hasło: »Przez Ojczyznę do ludzkosci, nie zaś: dla Ojczyzny przeciw ludzkosci«.

Symbolem cnót teologicznych wiary, nadziei i miłości jest **Krzyż**, który jest jednocześnie symbolem cierpienia, ofiary i umartwienia, bo miłość a ofiara to jedno. Kto namiętnościom swoim codziennie gwałt zadaje, kto tłumi i wyplenia w sobie miłość własną, ten wykuwa siłę i wzniosłość charakteru swego, bo krzyż jest także godłem zwycięstwa.

Roztropność. Trzeba roztropnie żyć, roztropnie wydawać pieniądze, roztropnie oszczędzać, roztropnie obcować z ludźmi, roztropnie przemawiać, roztropnie sądzić o bliźnich, roztropnie używać czasu, a szczególnie wolności, roztropnie zawierać związki małżeńskie, roztropnie nawiązywać stosunki przyjaźni, bo z kim kto przestaje, takim się staje. W Polsce jesteśmy impulsywni i dlatego tę cnotę starannie pielęgnować winniśmy, jako przeciwwagę pochopności, lekkomyślności i nierozsądnej gorliwości. Człowiek najzacniejszy, ale bez roztropności, nie jest człowiekiem charakteru. Nawet w sprawach serca »trzeba brać na rozum«.

Sprawiedliwość jest bliźniaczą siostrą miłości, jest pierwszym do tej cnoty stopniem, którego pominąć nie można, bo pomijając sprawiedliwość dla miłosierdzia, chociażby najhojniejszego, moglibyśmy, nie wiedząc o tem, rozdawać nie swoje, lecz cudze, jak ten Geldhab z Fredry, który głosił w gazetach, że dał

»Na spalone Bambergą przedmieście,
Z pańską hojnością złotych polskich dwieście«.

Sprawiedliwość uczy oddawać każdemu, co mu należy. Nie może mówić o miłości, która jest ofiarną, kto nie jest w stanie oddać nawet tego, czego zatrzymać nie miał prawa, co się bliźniemu słusznie należy. Sprawiedliwość uczy, że należy się posłuszeństwo dziecka — rodzicom, ucznia — nauczycielowi, obywatela — prawowitej władzy.

Posłuszeństwo nie poniża, owszem jest znamieniem rycerza, jest dowodem zwycięstwa nad sobą, jest zadatkiem zwycięstwa we wszystkich walkach życiowych. Człowiek, nie umiejący słuchać, niegodny jest imienia syna, ucznia, obywatela. Jest to dusza niewolnicza, którą jedynie strach kary skłania do pełnienia obowiązku.

Tylko naród, składający się z jednostek karnych, będzie odnosił zwycięstwa. Wspaniale mówi ksiądz Arcybiskup Bilczewski: »Oby, jak orzeł biały Polski ma jedną głowę i jedno serce, tak wszyscy Polacy mieli jedną zgodną duszę, jedno wszystkich miłujące serce«.

Prawda jest cechą sprawiedliwości, prawda w przyrzeczeniu, ma na imię »słowność«. »Licz na mnie, jak na Zawiszę« jest to bardzo stare polskie przysłowie. Czyliż ten rycerz umarł

bezpomnie, czyż zawsze w zamierzchłej przeszłości jedynie szukać nam trzeba będzie wzoru człowieka, który zaufania nie zawodzi? Na słowo nasze liczyć powinien każdy z takim spokojem i taką pewnością, jak na jutrzejszy wschód słońca.

Wielu ciężko obraża zasady sprawiedliwości przez nieświadomość, brak sądu i zastanowienia.

Demagogiczne hasła równości, nieuznanie zasług, żadnej wyższości, ni władzy, zbytnia pobłażliwość dla dzieci i wychowawców, zbytnia dyskrecja w sądach o czynach i ludziach, dających publiczne zgorszenie, wszystko to czyni przeciwko sprawiedliwości, a chociaż mają nieraz pozory miłości i miłosierdzia, krzywdę przynoszą Bogu, bliźnim i społeczeństwu. Bogu, bo nie bronią czci Jego i przykazań; bliźnim, bo są dla nich zachętą do złego, społeczeństwu, bo zabijają w nim sąd sprawiedliwy o tem, co dobre, a co złe, zwyrodniają opinię publiczną. Pchanie się na stanowiska, do których się nie dorosło nauką, wychowaniem, cnotą, charakterem, przyjmowanie godności, lub przedstawicielstw, nie zasługując na to, ani pracą, ani wiedzą, ani pilnością, jedynie w celu pobierania diet, takie dosyć dziś niestety popolite fakty są grzechami przeciw sprawiedliwości i objawami niskiego poziomu charakteru.

Wstrzeźliwość trzyma zmysły na wodzy, a przez to ułatwia panowanie rozumu i woli, to jest tego, co duchowe i boskie nad zmysłami, a więc nad tem, co zwierzęce i duchowi wrogie. Wstrzeźliwość wyrabia się umartwieniem zewnętrznem i wewnętrznem. Tylko umartwione serce zdolne jest do bezinteresownej, ofiarnej miłości Boga i bliźniego. Nietzsche, ten najmniej umartwiony pisarz dzisiejszych czasów, zrozumiał jednak tę prawdę, kiedy powiedział: »Musi koniecznie chatę swej duszy ogrodzić płotem cierniowym cierpienia, kto chce ją ustrzec, żeby bydełko do niej nie weszło«.

Potrzebne umartwienie rozumu, żeby nie mędrkował, wyobraźni, żeby nie oddawała się marzeniom próżnym i niebezpiecznym, umartwienie serca, by nie trwoniło na miłostki brudnej pięknej potrzeby kochania. By się złych skłonności ustrzec, trzeba ciągłego umartwienia, ciągłej walki. Zwalczać trzeba pychę pokorą, łakomstwo i chciwość — ofiarnością, gniew — cierpliwością, indywidualizm — karnością.

Umartwienie uduchowienia, uduchowanie przybliża do Bo-

ga, zbliżenie do Boga ułatwia każdą pracę, bo zbliżyć się do Boga to kochać go, a dla kochającego serca niema nic trudnego; ofiara staje się potrzebą duszy.

Wstrzeźliwość wymaga ducha karności, to jest tego, czego Polakom zawsze brakowało, a bez czego ani jednostka, ani państwo, z niesfornych jednostek złożone, nie mają hartu, ani siły, ani przyszłości.

Pani Jenerałowa Zamoyska mówi ze smutkiem: »W Polsce słyhać tylko: bo mi się chce, albo bo mi się nie chce«. W krajach, o charakterze wyrobionym, mówią: »chcę, nie chcę!«

Twierdzą historycy, że czasy saskie przyczyniły się do upadku Polski. Dlaczego? Bo Polak wtedy jadł, pił i popuszczał pasa — była to epoka niewstrzeźliwości.

Nadużycie alkoholu pozbawia hartu ducha, trzeźwości umysłu, zdrowia ciała, naraża na ruinę duchową, cielesną i materialną. Nieumiarkowana gadatliwość ileż zabija i marnuje czasu naszym prawodawcom, ile marnuje czasu i wytwarza plotek w naszych salonach. Na ścianach salonów wypisaćby trzeba wielkimi zgłoskami: »jest to cnota nad cnotami trzemać język za zębami«. Nieumiarkowanie w zabawach, w życiu towarzyskiem, w przyjmowaniu gości, w oddawaniu wizyt, jak rozstraja rodzinne stosunki, jaką krzywdę czyni dzieciom, przez zaniedbanie ich wychowania i niedozór nad nimi rodziców! Wstrzeźliwą powinna być hojność, by się nie zmieniła w marnotrawstwo, oszczędność, by się nie stała sknerstwem, surowość zasad, by się nie przerodziła w srogość. Przy miłosierdziu nawet niezbędne umiarkowanie, by nie zachęcało do wyzysku.

Kościół, ten doświadczony wychowawca, ustanowił posty, by nas ćwiczyć nie tylko w umartwianiu ciała, ale szczególnie w umartwianiu woli.

Bez wstrzeźliwości niema czystości, a zatem i charakteru. Wstrzeźliwość jest antyseptykiem przeciwko rozkładowym czynnikom zmysłowości, i dlatego też świat wymyślił teorię o szkodliwości tej cnoty, a różni pół-doktorzy i ćwierć-przyrodnicy rozpowiadają o chorobach tą cnotą spowodowanych, w nadziei, że ich teorie, schlebając najsilniejszej namiętności ludzkiej, pozwolą ludziom zapomnieć o tych tysiącnych chorobach, biedach, kalectwach, wstydach, dramatach, które na ludzkość sprowadza

grzech, tej onocie przeciwny. Zwalczanie i ujarzmienie popędu płciowego wymaga męstwa, ale niema charakteru bez męstwa.

Męstwo. Przymiotnik »mężny« tradycyjnie zrosł się z imieniem Polaka i zdaje się, że tego elementu męskiej dzielności nie zabraknie nigdy w Polsce. Ale odwaga, zależna od usposobienia przyrodzonego, dopiero wtedy, kiedy jest na usługach odwagi moralnej, staje się wielką cnotą, tak osobistą, jak publiczną i zasługuje na najwyższe uznanie i szacunek.

Odwaga cywilna, moralna, nie jest wrodzoną. Wytwarza się ona przez zamiłowanie prawdy i sprawiedliwości. Kto nie ma odwagi wypowiedzieć swego przekonania, obraziwszy, przeprosić; komu brak wytrwałości, kto nie nauczył się porównywać znaczenia nagany lub pochwały ludzkiej — z obrazą Boską, ziemskich zaszczytów — z wieczną nagrodą, uznania świata — ze świadectwem własnego sumienia, ten, choćby pierś jego zdobyły wszystkie oznaki waleczności, mężnym jeszcze nie jest, bo jego męstwo nie wystarczy mu do zwycięstwa nad sobą samym, nad pokusą, nad szkodliwą ponętą. To przyrodzone męstwo nie uczyni go wstrzeźliwym, ani sprawiedliwym. Ono zaletą jest, jest wdziękiem, cnotą nie jest.

Słowa: mąż i mężny — mają ten sam źródłosłów, jak w łacińskim języku: *vir* i *virtus*. Bez męstwa, tego, które jest cnotą, nie będzie ta mężna Polska miała mężów stanu, mężów pracy, mężów do rady, nawet mężów do boju, bo na to, żeby męstwo stało się podporą i tarczą Ojczyzny, musi rzec śmiało: »mam obrońcę Boga, nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga«.

Trzeba zatem być doskonałym, żeby mieć charakter, bośmy tu wyliczyli prawie wszystkie cnoty. Nie dziw, że charakterów mamy mało. Święci zawsze byli wyjątkami! Otóż nie! nie potrzebujemy być świętymi, bo do świętości trzeba łask szczególnych, których Bóg nie wszystkim udziela, a my będziemy winni zdać rachunek tylko z szafarstwa łask otrzymanych. Wysokiem jest powołanie kapłańskie, wyższem jest zakonne, a jednak nie wszyscy są powołani na zakonników. Owszem, gdyby wszyscy poczuli w sobie powołanie do życia zakonnego, światby się skończył. Opatrzność Boska w swoich gospodarczych zamiarach w różnym stopniu udziela łask swoich i różne też względem nas ma wymagania, które objawione są każdemu, tak zewnętrznymi

okolicznościami, któremi jesteśmy otoczeni, jak i wewnętrznym głosem sumienia.

Każdy z nas jednak powinien niezłomnie dążyć do doskonałości, drapać się w górę, ku szczytom, ku Bogu. Ktoby świadomie zrzekł się tej ambicji, niech wie, że przestał iść drogą swych przeznaczeń, że zanik pragnienia doskonałości jest dowodem, że stygnie w nim miłość, a rośnie obojętność na obrazę Bożą. Kto zadowolony z poziomu etycznego, na którym się znajduje, uważa, że może sobie pozwolić już na nim pozostać i przestaje pracować nad sobą, ten się łudzi, bo kto przestaje iść w górę, ten zsuwa się szybko w dół. Kto dobrowolnie znosi w sobie małe niedoskonałości i nie dba o ich wyplenienie, niech wie, że te dobrowolnie utrzymywane w sobie wady są dowodem jego braku miłości Bożej.

Dziecko, któremu staje się obojętnem choćby najmniejsze zmartwienie ojca lub matki, rodziców swoich nie kocha.

Kto jednak w miarę udzielonych mu łask Bożych stale dąży do doskonalenia się, choćby świętym nie został, zbawionym będzie na pewno, a przecież o to nam chodzić powinno wszystkim i przedewszystkiem. Mniej ani wymagać od siebie, ani sobie życzyć nie możemy, bo mniej choćby o stopień jeden — to śmierć wieczna. Bóg nie od wszystkich wymagać będzie równego stopnia doskonałości, nie każdego powołał do męczeństwa, ale do zbawienia swej duszy — wszystkich. Na to Chrystus Pan sam poniósł męczeństwo, by nas zbawić. Tego dziedzictwa zrzekać się byłoby szaleństwem.

Zastanówmy się nad sądami naszymi o bliźnich, a dowiemy się czego wymagać musimy od siebie. Wyobraźmy sobie człowieka, posiadającego zbiór najprzedniejszych zalet, ale mającego jedną nieokiełzaną namiętność, której stale ulega, którą gorszy otoczenie. Czy będzie to nałogowe pijaństwo, czy nieuczciwość w pieniężnych interesach, czy karciarstwo, czy życie hulacze. Jedna taka wada, mimo licznych zalet, niewątpliwie pozbawi go w naszym przekonaniu prawa do szacunku i zaufania. Przecież nie można już liczyć na takiego człowieka, powierzać mu losu innych, powoływać na pomoc w sprawach, wymagających zaufania. Nie oddamy mu przedstawicielstwa naszych interesów prywatnych, a tembardziej obywatelskich. Dlaczego? Bo ta jedna nieokiełzana namiętność, czy wada, dowodzi, że dusza tego czło-

wieka w walce przeciwko ciału pokonaną została, że zatem cechą jego jest brak charakteru. Takiego człowieka kochać można, litować się nad nim trzeba, ale ufać mu — byłoby nieostrożnie. To nie przodownik, to rozbitek. Jeśli tak ujemnie, tak surowo sądzimy ludzi, mających tylko jedną wadę, to jakże możemy nie wymagać od siebie samych dążenia do wszystkiego, co dobre i to nieustannie, przez całe życie, a unikania tego, co złe, z coraz większym męstwem i ciągłością?

Nigdy u nas nie było nadmiaru charakteru, ale teraz, kiedy Bóg dał nam niezależność, to jest zależność od nas samych, ten brak jest groźnym niebezpieczeństwem. Jeśli go nie usuniemy, zabrakną nam może Ojczyzny niezależnej. Jesteśmy indywidualiści i to nam daje ułudę i pozór ludzi z charakterem, ale indywidualizm to wola nie oparta ani na miłości, ani na sprawiedliwości, ani na pokorze, ani na karności. Indywidualizm to egoizm, to zarozumiałość, to niesforność.

Zatem charakterów nam potrzeba, a co robimy, aby do tego dążyć? Kiedy wszystkie organa i składowe części naszej natury fizycznej i fizjologicznej mają swoje monografie, a warunki utrzymania w zdrowiu i sile naszego organizmu zwierzęcego niezliczone ilości tomów wypełniają, kiedy sporty, ich organizacja, ich ćwiczenia i zapasy całymi stroncami podawane są w codziennych gazetach, co dowodzi o wielkiej naszej w tych sprawach czujności, kiedy oświata doznaje opieki rządu i hojnej społecznej zapomogi, kto myśli o kształceniu, rozwoju, hartowaniu, uszlachetnieniu duszy Polaków? Ile książek, dzieł ile tej sprawie poświęcono? Kto się z nią kłopotuje? A jednak to jest praca, od której zacząć potrzeba. Wszelka inna się nie uda, jeśli od tej najważniejszej nie zaczniemy. Jeżeli nie uznamy za najpierwszą potrzebę, za najświętszy obowiązek względem Boga i Ojczyzny dbałości o charakter chrześcijański tak jednostek, jak narodu, nawa ojczysta będzie bez steru i wiecznie narażona na rozhicie.

Ćwiczenie sił fizycznych bez wzmocnienia siły duszy, ćwiczenie umysłu, z pominięciem kultury sumienia, powiększy tylko ilość bandytów, paskarzy i sprytnych kryminalistów. Wtedy budować raczej potrzeba i to na gwałt, nie stadjony i teatry, nie szkoły i uniwersytety, ale więzienia, szpitale, domy warjatów, przytułki dla żebraków, bo jeśli w kraju zabraknie charakterów, zabraknie też cnoty i zdrowia, bezpieczeństwa i dobrobytu, zaj-

mować się będziemy musieli skutkami, bośmy się w porę nie zajęli przyczyną niedomagań.

Charakter nie zależy od rozwoju społecznego, ale rozwój społeczny od charakteru. Niema życia duchowego jednostki, niema życia rodzinnego, niema ładu i dobrobytu społecznego, niema siły i bezpieczeństwa państwa bez charakteru chrześcijańskiego; bo niema wzorowego ojca, wiernego małżonka, dobrego dziecka, pilnego ucznia, gorliwego nauczyciela, poważnego uczonego, genialnego artysty, rzetelnego rzemieślnika, sumiennego handlowca, karnego i dzielnego żołnierza. Niema takiego zajęcia, takiego stanowiska społecznego, takiej czynności ludzkiej, któreby obejść się mogły bez hartu z charakteru płynącego.

I patrzmy co się dzieje: rozchodzą się małżeństwa po dwudziestoletnim wspólnym pożyciu, mając po kilkoro dzieci i dowodzą, że mają prawo do anulacji; inne stadła rozwodzą się w parę tygodni po ślubie, tak, jakby ten związek zawarty został nie przed ołtarzem, ale na maskaradzie. Rozwiedziony mężczyzna żeni się powtórnie z jakąś rozwódką i będą z tego: moje dzieci, twoje dzieci i nasze dzieci, ale biedne te dzieci, właśnie z powodu nadmiernej ilości ojców i matek — wszystkie są sierotami! Powtarza się wiek XVIII, który poprzedził, który przyspieszył upadek Polski!

Widzimy wysokich dygnitarzy, szczyjących się mianem katolików, a przyjmujących pojedynki, bo nakazy honoru droższymi im są od przykazań Bożych i kościelnych.

Słyszysz śpiew syreni poety, wielkiego talentu. Z zachwytem i rozrzewnieniem czytamy jego pieśni o Ojczyźnie. W ustępach przepięknych o Matce Polskiej, o szabli polskiej, odczuwamy serce Polaka. Pieśń swoją zaczyna on od uczczenia Chrystusa, Matkę Najświętszą nazywa Królową Polski, więc duszę polską ogarnia wdzięczność i cześć dla niego, aż tu naraz w tych wspaniałych akordach — fałszywa nuta! Zuchwała wycieczka przeciwko papieżom, podkopująca autorytet Namiestnika Chrystusowego, tego wiernego holownika nawy polskiej w ciągu lat tysiąca. Zdawało nam się, że to »kastalskich wód kryształą biją czyste«, ale nie, to swojska »Bołkotka, czy Naftusia«. Zdawało się, że słyszymy Tyrteusza polskiego, ale nie, to autor »Bardzo dziwnych bajek«, który nie może, nawet pisząc »pieśń o Ojczyźnie«, wytrzeźwić się z kawiarnianych oparów Zopotów i Zakopanego

i zawsze z pod pióra jego wypływają »Perły i Wieprze«. Zaprawdę, ten nie tylko wzywa Imienia Bożego nadaremno, ale Boga w zuchwałości swojej wzywa.

Widzimy rzeźby, które smucą nam oczy, oburzają zmysł estetyczny, szpecą miasto, kompromitują nasze uczucia wdzięczności wobec Ameryki koncepcjami artystycznego niechlujstwa, a jednocześnie dowiadujemy się, że w chwili bohaterskiego wysiłku wszystkich obywateli polskich, dla ratowania Ojczyzny przed bankructwem, nasz Departament Sztuki zakupuje pornograficzno-dekadencjonalne wybryki tych futurystów bez przyszłości za grosz publiczny, by niemi oszpecić piękny Zamek królewski i drogi nam Wawel, jakby na świadectwo upadku kultury naszej.

Foerster mówi: »Kto nigdy własnego charakteru nie wykuł dłutem, na kształt bryły marmurowej, ten nigdy nie pojmie ożywionych duchem marmurów Michała Anioła; dla barbarzyńców pozostaną one kamieniem«. Barbarzyństwem taka rzeźba, barbarzyństwem sprowadzanie na koszt państwa tych potworów z zagranicy i my barbarzyńcami jesteśmy, bo na to pozwalamy, bo to znosimy.

Te wyliczone tutaj zgorzenia, zboczenia i wstydy — to tylko skutki braku charakteru.

Ale powiedzieć nam mogą: charakter — to życie umartwione, niewolnicze. Umartwione — tak, niewolnicze — nigdy! Umartwienie, opanowanie zmysłów, jest wyzwoleniem ducha! Niewolnicy — to paskarze, to gracze, to oszuści, to wyzyskiwacze; oni są pod władzą pieniądza, a pieniądz to wierny sługa, ale bardzo zły pan. Niewolnikami są rozpustnicy, bo ciało i duszę swoją zaprzędali i już nie żyją sami, tylko stali się austerją, w której namiętności rej wodzą, nie rachując się z ich spokojem, godnością i zdrowiem.

Kiedy Chrystus Pan mówił: »Błogosławieni cisi, błogosławieni, którzy płaczą, błogosławieni miłosierni, błogosławieni czystego serca, błogosławieni pokój czyniący«, mówił właśnie do tych, którzy noszą piętno Chrystusowe, do ludzi z wyraźnym charakterem, a czy uważał ich za upośledzonych, nieszczęśliwych? Nie! On zlał na nich wszystkie łaski doczesne i wieczne, błogosławił im. Wprzegł ich do jarzma, ale nauczył, że to jarzmo Boże jest słodkie.

Radość z rozpusty płynąca, wolność krzywdząca bliźniego,

to są uczucia, których chrześcijanin wyrzec się musi; ale czyż nie wiemy, że te radości, tę wolność okupujemy przesytem, poniżeniem, chorobą, ruiną i śmiercią wieczną? Z zatrutego źródła tylko truciznę pić można. Rodzicielką rozwiązłości nie jest radość, ale brak radości. Seneka powiedział: »Wierzaj mi — prawdziwa radość jest rzeczą bardzo poważną«.

Chrześcijanin ma prawo czerpać radość tylko z czystych źródeł: z przyrody, nauki, życia rodzinnego, społecznego, obywatelskiego. Religja i sakramenta dają mu pociechę i pomoc, innym nieznaną. Katolik powinien być najszczęśliwszym z ludzi, a choć mu wiele rzeczy czynić nie wolno, on, w tem ograniczeniu, widzieć powinien dowód Opatrzności Bożej, która nad nim czuwa. Przykazania Boże to rampa wzdłuż schodów życia. Ogranicza ona wolność ruchów, ale dlatego tylko, że poza rampą — przepaść.

Nie dosyć rozumiemy, co się nam tak podoba w słowach Czarneckiego:

»Ani z soli, ani z roli,
Ale z tego, co mnie boli
Urosłem«.

Czemu Czarnecki i jemu podobni otoczeni są taką glorią w historii polskiej, czemu są ozdobą naszych dziejów, czemu w kraju, gdzie »szlachcic na zagrodzie równy jest wojewodzie«, oni nas tak przerastają? Bo ofiarnie służyli Ojczyźnie, bo z tego, co ich bolało, wyrosli! I my tylko tem, co nas boli, wyrosnąć możemy. Bolą nas dzisiaj podatki i dlatego rośniemy! Nie bójmy się wstrzemięźliwości, ofiary, cierpienia, to klucze do nieśmiertelności już na tym świecie i do szczęśliwej wieczności.

Żeby sobie pracę nad wyrobieniem charakteru ułatwić, żeby się do tej pracy pobudzić, szukajmy wzoru i przykładu.

Każdy z nas pewnie w życiu swoim miał szczęście spotkać się z mężczyzną, czy kobietą, posiadającą w całej pełni znamiona charakteru katolickiego i ta znajomość stała się nam skarbem całego życia, lub najśłodszym wspomnieniem przyszłości.

»Bo szczęśliwym jest na ziemi,
Kto przyjaźń umiał zawrzeć ze świętymi«.

Taka osoba w rodzinie, czy w domu, na wsi w sąsiedztwie, czy w wielkim mieście, staje się odrazu ogniskiem i spójnią w każdej dobrej sprawie, kierownictwem, radą, otuchą, pociesze-

niem, zjednoczeniem, opieką i to niezależnie od jej klasy społecznej i kultury jej inteligencji. Znałem takie wybrane dusze w rodzinach, był nią ojciec lub matka, dziadek lub babka, niezamężna ciotka; w innych rodzinach czasem domowa nauczycielka, a nawet stara służąca. Stawały się one osią rodziny, dobrodziejką paru generacyj swoich chlebobawców. A sekretem tej władzy, tego dobroczynnego wpływu była miłość Boża i z niej płynąca miłość ludzi, cicha, ofiarna, siebie nie pomna, poświęcona innym. Takie serce, sobie umarłe, staje się potężnym czynnikiem życia, szczęścia, ciszy, zgody, ładu i łaski Bożej nad tymi, którzy tę duszę wybraną mieli szczęście posiadać w swoim środowisku, umieli ją pokochać i uszanować.

Nie będę przykładów czerpał z zamierzchłej przeszłości, nie śmiem też mówić o żywych, aby nie obrażać ich skromności, dziś wspomnę tylko o tych sercach, które ledwie bić przestały, których życia byliśmy świadkami, a których błogosławiona pamięć żyje w ich dziełach i we wdzięcznych sercach naszych.

Ksiądz Arcybiskup Bilczewski, syn włościański. Czem wyrósł nad cały naród, tak, że wszystkie głowy, najbutniejszych synów Polski przed nim się chyliły, że gną się przed nim kolana wszystkich, kochających Kościół i Ojczyznę Polaków? Oto właśnie charakterem katolickim. Ten charakter sprawił, że każdy dzień jego życia był dniem zwycięstwa nad sobą, dniem wielkich korzyści dla Kościoła i społeczeństwa. Przeszedł, dobrze czyniąc i błogosławioną jest w narodzie pamięć o nim.

Hrabianka Cecylja Plater-Zyberkówna, osoba wysokiego urodzenia i wykwintnie wychowana, rodzinne związki, wielkoświatowe stosunki, młodość, niezależność, czas, siły, majątek i życie całe poświęciła z miłości ku Bogu i Ojczyźnie dla sprawy, którą dzisiaj omawiamy, bo, chociaż założyła gimnazjum i szkołę gospodarstwa wiejskiego, nie chodziło jej głównie o naukę. Ona chciała, by ta szkoła stała się wielką producentką charakterów polskich. A jak gorliwie i świadomie w tym celu pracowała dowodzi to, że, prócz tych zakładów dla dziewcząt, urządza zrzeszenia studentów uniwersytetu pod nazwą »Odrodzenie«, by, przez ich misyjną i niejako apostołską działalność, obudzić ducha katolickiego i nadać piętno charakteru chrześcijańskiego przyszłym pokoleniom. Panna Plater-Zyberkówna nie wyszła za mąż, zesłała do grobu bezpotomnie...

»Dla ócz naszych, dla ócz z procha,
Lecz ni Sobie, ni Wszech Życiu.
Kto w poświęceń zmarł godzinie,
Ten się w innych przelał tylko,
Mieszka w ludziach, serce ukryciu,
I z dniem każdym, z każdą chwilką
Żywy rośnie w tej mogile«.

I rzeczywiście setki i tysiące dzieci jej serca, jej duchowych spadkobierców, przekaże swoim potomkom owoc jej trudu i pracy, a błogosławić ją będą za to całe pokolenia. Oto wartość, oto plon pracy jednej słabej istoty, która wykuła w sobie charakter chrześcijański.

Pani Jenerałowa Zamoyska, zmarła niedawno. Wszyscyśmy starsi patrzyli z podziwem i zbudowaniem na to jej życie, umarłtwione dla siebie, a zawsze datne i hojne dla innych. Odmawiała ona sobie wszelkiej wygody, wszelkiej nieraz rzeczywistej potrzeby, aby mieć możliwość wsparcia każdej biedy, każdego sieroctwa, któreby się do niej o pomoc zwróciło, bo wiedziała, że hojnym być nie potrafi, kto nie jest oszczędnym. Wielkiego rodu córka, wielkiego serca obywatelka, zamożna, bogata nawet z łaski Bożej, uboga z woli własnej, bo wszystko co miała, oddała Bogu i Ojczyźnie. Żyje więcej niż skromnie, podróżuje do końca życia zawsze trzecią klasą, ale za to tysiące dzieci polskich miało w niej matkę, przewodniczkę i opiekunkę. Pani Jenerałowa i dzieci jej wyrzekli się majątku bardzo znacznego, tak w Wielkopolsce, jak Małopolsce, na to, aby założone przez nich szkoły w Kórniku i Kuźnicach miały zabezpieczoną przyszłość. A czemże ma być Kórnik, jeśli nie wylęgarnią cnoty polskiej? Czem były i będą Kuźnice, jeśli nie kuźnią chrześcijańskiego charakteru na potrzeby Ojczyzny?

Wskazałem tu na kilka posagowych przedstawicieli charakteru chrześcijańskiego. Schylmy przed nimi głowy i prośmy Boga, by ich przykład otworzył nam oczy na potrzeby pracy nad charakterem w nas samych i w kraju naszym. Niech urok ich życia i cnoty i nas za nimi pociągnie.

Widok tak czcigodny jest niecodzienną pociechą oczu i serc naszych. Ale niestety codziennie patrzemy na inne widowisko: paskarze rozbijają się samochodami, chamy drapią się na stanowiska, do których nie dorosli ani duszą, ani umysłem, ani wychowaniem. Patrzymy na nowo wzbogaconych, rażących i gor-

szących nas po restauracjach nieumiarkowaniem w jadłe, w napoju, a w teatrach złem wychowaniem. Przyjrzyjmy się im bliżej. Czy to są ludzie szczęśliwi, o spokojnem sumieniu, pogodnem czole, czystych rękach? czy są otoczeni czcią, a przynajmniej życzliwością ludzką? Czy zazdrościmy im ich uciech i pozornej pomysłności? Nie! uczciwy człowiek inaczej sobie wyobraża powodzenie i szczęście. Lepiej iść drogą księdza Skorupki, księdza Budkiewicza, arcybiskupa Cieplaka, któremu cała Warszawa serce swoje rzuciła pod nogi, kiedy z więzienia powrócił. Lepsza cierniowa droga, wiodąca do czci współziomków i Bożego błogosławieństwa, niż luksusowy samochód, pędzący przez krzywdę ludzką i wyzysk, ku bezwstydnemu zezwierzęczeniu.

W ostatnie cztery czy pięć lat ile to karjerowiczów zsunęło się z kapitolu na dno tartejskiej przepaści, ilu bogaczy siedzi dziś w kryminale? Dlaczego? Bo budowali swoje losy, nie dając im fundamentu cnoty, bo rzeźbili swój charakter, nie w marmurze czystej miłości i w szlachetnym spiżu dobrej woli, ale w glinie własnego »jakoś to będzie« i wypęczkali swoją istotę moralną na wzór dzisiejszych kubistów i futurystów. To też pamięć o nich nie zamieszka w panteonie narodowym, ale na Nowem Brudnie pochowaną zostanie.

Nie idźmy za ich przykładem. Głowę podnieśmy ku niebu, rozszerzajmy piersi na miarę Fidjaszową, kujmy duszę młotem Michała Anioła, aby się Polska za nas nie wstydziła, ani my za Polskę, abyśmy sobie i jej zapewnili nieśmiertelność.

Pierwszą potrzebą dzisiaj, to nie równowaga budżetu, nie oświata, nie silna armja... Trzeba nam cnoty, trzeba charakterów! Jeśli to posiadziemy, wszystko inne będzie nam przydane. Zapamiętajmy nad sobą, a Polska będzie w chwale, potędze i szczęściu.

»Niech nas darmo nie przestrasza,
Ze dziś podłość górą wszędzie;
Z wiary waszej — wola wasza,
Z woli waszej — czyn wasz będzie!«

Kazanie Skargi o niezgodzie domowej a chwila obecna.

Odczyt, wygłoszony w Krakowie 8 marca 1925 r.¹

Bóg pomazańcom Swoim znak na czoło kładnie,
Naród, który tych znaków nie widzi, przypadnie.
A. Mickiewicz.

Przypadło mi w udziale mówić o trzecim kazaniu Piotra Skargi, w związku z chwilą obecną, a mianowicie: »O drugiej chorobie Rzeczypospolitej, która jest z niezgody domowej«.

Zapomnijmy, że ten natchniony głos dobił się do sumień Polaków XVI wieku; zamknijmy, dla lepszego skupienia, oczy, a otwórzmy serca i sumienia. Słuchajmy — czy to nie do nas on przemawia.

Patrzy Skarga na chorobę Rzeczypospolitej i woła: »Trudno macie się rozrywać i wadzić, boście związani i spojeni, jako członki w jednym cielem, które się nigdy z sobą targać nie mogą, które jedna dusza ożywia i rządzi, od której odstępować a jej nie słuchać — śmierć jest!«

A w innym ustępie kazania tego: »Sejmy, które wam były lekarstwem na wszystkie Rzeczypospolitej choroby, w jad się wam obróciły. Bo na nich więcej niezgód i odrażania myśli jeden od drugiego i stanu od stanu, przyczyniacie... Z nich z większym rozważaniem wyjeżdżacie, niż przyjeżdżacie. I tak Sejmy, na ukrzepczenie zgody i miłości wspólnej braterskiej uczynione, na zapalenie roztereków służą«.

A chciwość, a łakomstwo? Czy to wady XVI wieku tylko? Słuchajmy głosu Skargi: »Pożądamy ludzie dobrego mienia, urzędów, sławy świeckiej, podwyższenia domów swoich i oną się pożądlivością zapaliwszy, gdy nie dostają, czego chcą, rozruchy czynią, niezgody sieją, mszcząc się abo grożąc, żęby tylko swoje

¹. Drukowany był w *Sodalisie* z r. 1925 i w osobnej odbite.

pożądliwości mieli, a jedne miawszy, drugich pragną i nigdy się nie natkają!»

Oto dawne przywary nasze. Przerrywam cytaty, by zajrzeć w sumienie Polski i spytać, czy nie zasługujemy na upomnienia powyższe, a zatem na groźby z nimi związane, do których to gróźb jeszcze powrócimy.

Jesteśmy dziećmi Boga i Matki naszej Polski, więc podwójnie braćmi, ale tego serca w naszych nie czujemy, owszem wyczuwamy tylko to, co nas dzieli. A dzieli nas wszystko: narodowości, składające się na całość Państwa polskiego, stany społeczne, orientacje z czasów wojny, przynależność do tej, lub owej partji, dzielnica lub miasto, z którego pochodzimy; wszystko to staje się źródłem nieporozumień i niechęci. Zatem choroba niezgody domowej trwa!

Żeby ją usunąć, trzeba postawić diagnozę śmiało i jasno. Brak nam miłości bliźniego, a zatem brak miłości Bożej.

Zbadajmy wszystkie objawy naszego życia politycznego i społecznego, a przekonamy się o smutnej tej prawdzie.

Nas z patryjotyzm jest ciasno nacjonalistyczny. Kochamy Polaków, więcej niż Polskę. Sądzimy, że integralnym składnikiem miłości Ojczyzny jest nienawiść do sąsiadów, dawnych krzywdzicieli, ale co gorzej — przynajmniej niechęć, jeśli nie nienawiść do ludów innych narodowości, zamieszkujących Państwo Polskie. Zapominamy zbyt prędko, że mocarstwa zaborcze względem nas żywiły takie same uczucia i nazywaliśmy je krzywdzającymi, zbrodniczymi nawet. Chcemy mieć Polskę, zażywającą pokoju — silną. *Concordia res parvae crescunt, discordia maximae dilabuntur*. Czy chcemy na Niemcach, na Rusinach, na Żydach próbować metod rządzenia, tak okrutnie, a tak bezskutecznie do nas stosowanych? Mieczem i batem, czy też sprawiedliwością i miłością rządzić mamy zamiar? Musimy wybierać.

Namiętności nasze odpowiedzą: jakże kochać obcych, szkodników, zdrajców, którzy sprzysiężeni są z wrogami zewnętrznymi, żeby nam szkodzić? Miłość, kiedy jest namiętnością, ślepą bywa, ale kiedy jest cnotą, musi być roztropną i sprawiedliwą. Nie można kochać innych narodowości w Polsce ze szkodą Polaków i samej Polski, bo taka miłość sprzeciwiałaby się rozsądkowi i sprawiedliwości. Mamy prawo obrony polskiego

obyczaju, tradycji, religji, chrześcijańskiego ducha w ustawodawstwie sądowym i w szkolnictwie; mamy prawo u siebie bronić polskiego handlu i przemysłu przed niepolską konkurencją — to przecie nie grzech przeciwko miłości — to nasze prawo. Ono nie jest napaścią, ale samoobroną słuszną i konieczną. Grzesznymi są natomiast ta codzienna heca, to szczucie, to jątrzenie i dowodzenie, że kto nie Polakiem z urodzenia, ten jest wrogiem i ma być pozbawiony praw, na wzór rosyjski lub niemiecki.

Na nielojalnych obywateli, a tembardziej na zdrajców, Rzeczpospolita ma pogotowie ratunkowe w postaci policji, prawa i sądów, ale Polacy mieć jeszcze powinni inne lekarstwo — miłość. Jeżeli tego błogosławionego środka na wszystkie stany zapalne użyjemy, zmniejszy się ilość obywateli podejrzanego lojalności, a wpoi się w nich przekonanie, że warto sobie cenić obywatelstwo polskie.

»Ten może deptać węże, głaskać lwy i tury,
Kto wyrwał z siebie żądło, rogi i pazury«.

Rosja, Niemcy nas, bez korzyści dla siebie, prześladowali. Austrja, nie kochała nas wprawdzie, ale miała łagodną rękę, a korzyści z tego osiągnęła takie, że dziś one nas niekiedy upokarzają. Skorzystajmy z tej nauki.

Kto kocha Polskę, a nie samych tylko Polaków, ten rozszerza i zabezpiecza granice Ojczyzny, a siebie uszlachetnia. Szowinizm — to patryjotyzm poganina, to brak miłości bliźniego, więc brak miłości Bożej. Szowinizm to wada narodowa, tem groźniejsza, że ją za cnotę uważamy.

Partyjność, ta bolączka współczesna, jest u nas ciężką i niebezpieczną chorobą. Kochamy partję ponad Ojczyznę. Stronnictwa u nas nie są środkiem, ale celem. Zdrowy rozsądek powinienby nam wskazywać, że nie wszyscy ludzie cnotliwi, rozumni, zdolni i uczciwi całego kraju należą do naszego stronnictwa, że w innych partjach, że poza stronnictwami są ludzie, którzy z korzyścią mogliby uczestniczyć w rządzie, w pracy społecznej. Psychoza partyjna, a szczególnie partyjna dyscyplina, uważają takie przypuszczenie za warcholstwo polityczne. Kto do partji nie należy, jest tem samem głupi, nikczemny, do niczego niezdolny, podejrzan, jest wrogiem Ojczyzny. Skąd to otumanienie, to zacieśnienie pojęć?

Bo... deklamujemy o Ojczyźnie, a kochamy siebie. Ambicja, żądza władzy, powodzenia lub materialnych korzyści — oto przyczyny partyjnego naszego daltonizmu. Nie kochamy Boga, więc zdobyć się nie możemy na miłość ofiarną.

Kulminacyjnym punktem i bolesnym dowodem tego partyjnego zaciętrzewienia były dni sierpniowe 1920 r. Kiedy łuny bolszewickiego pożaru odbijały się już w oknach stolicy, a jej upadek zagrażał nie tylko wolności Polski, ale cywilizacji całej Europy, rządu nie mieliśmy; musiano wtedy sklecić ministerstwo przeważnie lewicowe, bo stronnictwa prawicowe, narodowe, chrześcijańskie, nie zdobyły się, nawet w takiej chwili, na zapomnienie uraz, nie zechciały podać sobie ręki, by wspólnie ratować Ojczyznę w jej śmiertelnym niebezpieczeństwie.

Gdzie się podziała piękna legenda o przedmurzu chrześcijaństwa? Polski sejm nie przestał być zaściankiem Dobrzyńskich. Są w nim Buchmany, znalazłby się jeszcze Gerwazy i Protazy, ale Maćka nad Maćkami brak. Brak jego różeczki i tej przemowy, jędrnej, krótkiej, a boleśniejszej od razów różgi. Ach! w te dni sierpniowe, wtedy... szczególnie brak jego było.

I zapłaciliśmy za tę niezgodę naszą krzywdą i upokorzeniem pokoju ryskiego, czyli zmarnowaniem zwycięstwa, okupionego krwią ofiarną naszej młodzieży. Umierać za Ojczyznę jeszcze umiemy, więc Bóg nam dał zwycięstwo, ale że dle Ojczyzny żyć nie umiemy, więc po zwycięstwie — mamy pokój w Rydze.

Panuje w Polsce niepodzielnie idea demokratyczna. Dumni jesteśmy z tego i szczęśliwi. W jej hołdzie łączymy się wszyscy, przynajmniej... oficjalnie. Czasy są demokratyczne i żeby być człowiekiem swego czasu, trzeba tę ideę poznać i wżyć się w nią. *Homo sum, et nihil humani a me alienum puto*. Kościół, ten wielki wychowawca pokoleń, który tak długo popierał świecki ustrój arystokratyczny, uznał demokrację chrześcijańską, zatem jej potrzebę i jej rację bytu.

I rzeczywiście, w miarę rozszerzania oświaty wśród mas ludowych, a z nią podniesienia kultury i moralności, a także w miarę uświadomienia głębszego wśród ludu o jego obowiązkach i prawach, byłoby wstecznictwem i krzywdą, z powodów klasowych, niedopuszczanie kogokolwiek w pełnej mierze do praw, jeżeli obowiązki obywatelskie należycie i w pełnej mierze

spełnić potrafi. Demokratyczna zasada, która powstała na podłożu miłości i sprawiedliwości, ta, która matczyne ręce wyciąga do narodu i dąży do tego, by kulturę jego podnieść i rozpowszechnić, by nie było uciśnionych, wyzyskiwanych, by pracownicy, prócz słusznego wynagrodzenia, otrzymywali udział w zyskach, odpowiadający rzeczywistej wartości ich trudu i mieli możliwość pracą i oszczędnością wznosić się stopniowo na coraz wyższe szczeble kultury i dobrobytu... taka demokracja jest rzeczywiście chrześcijańską, więc dlatego uszanowaną i ukochaną być powinna.

Ale jest inna, która się samozwańczo nazwała demokracją. Ona powstała z zawiści, walczy pod hasłem: *Ote toi, que je m'y mette*. Gorzej nawet, bo hasła wzięła nie z Zachodu, ale z najbliższego Wschodu: »Pokój chatom, śmierć dworom! Precz z inteligencją«. Taka demokracja, jakby bóstwo pogańskie, otoczona jest jakimś bałwochwalczym, ślepym kultem przez ludzi, skądinąd świątłych i rozsądnych, tylko... partyjnych.

Temu bożyszczu neo-barbarzyństwa przynoszą w ofierze wszystko, co w skarbnicy ludzkiej i narodowej mają najdroższego, więc zdrowy rozsądek, sprawiedliwość społeczną, tradycję i kulturę narodową, praworządność, ład, siłę i bezpieczeństwo państwa. Bóstwo to w Polsce panuje i fanatycznych ma czcicieli.

Widzimy zatem jasno, że Skarga nie przestrzegał jedynie Polaków Zygmunto-wskiej epoki. Słuchajmy, co mówił już wtedy: »Gdyby w ciebie oko chciało stać, gdzie ręka, i język, gdzie noga, byłby wielki nierząd i sprośna szpetnota, tak i w Rzeczypospolitej potrzeba każdemu na swym miejscu siedzieć. Dobrze tam nodze, gdzie ją postawiono, bo na głowie niema miejsca... Niech ręka oku piękności jego nie zajrzy, bo na tym miejscu, tak małym, stanąć i to czynić, co oko czyni, nie może«.

Czy to nie do nas się stosuje? Pięcioprzymiotnikowe prawo wyborcze oddało przecie rządy nad Polską analfabetom, ograniczając bezwzględnie wpływ inteligencji. Poszliśmy pod komendę fałszerzy uczciwej, rozumnej zasady demokratycznej i przyznaliśmy w ciebie państwowości polskiej przewagę nogom nad głową, dlatego tylko, że nóg jest dwie, a głowa jedna. Oni twierdzą, że to jest właśnie święte prawo większości, ale Skarga mówi, że to jest: »wielki nierząd i sprośna szpetnota«. Inicjatorzy i twórcy

tego prawa musieli znać aforyzm Chamforta, że »największą siłą na świecie jest głupota ludzka, byle się ją wyzyskać umiało«.

A źródło tego, tak groźnego w następstwa, wypaczenia idei demokratycznej, zawsze to samo. Kochamy ideę demokratyczną — ponad Ojczyznę, ponad rodaków, ponad rozsądek. Jesteśmy tak zażarcie demokratami, że przestajemy być Polakami, a zasad demokracji i tej idei demokratycznej rozumnej, z ekonomji politycznej wysnutej, a nie demagogicznej, tak nie znamy, że ona, poznawszy się z naszą domorosłą demokracją, odwróciła się do niej tyłem i odzegnała ze wstrętem.

Każda teoria społeczna, jeśli sprawiedliwości nie ma u podstawy, a miłości u szczytu, jest fałszem i szalbierstwem społecznym!

W społeczeństwie, poza życiem partyjnym, jest życie towarzyskie, międzypartyjne, jest ruch literacki. Wszędzie widzimy tego demona niezgody, rozterki i waśni. Nie wystarczają nam waśnie między stronnictwami. Nie możemy sobie przebaczyć orjentacji z czasów wojny. Jednym z nas dokuczył but juchtowy Moskala, drugim — kością w gardle stanęła pikelhauba pruska i za te różnice w nienawiści wspólnych wrogów od czterech lat nienawidzimy się wzajemnie. Czemu? Jedni i drudzy tę Ojczyznę szczerze kochamy. Tak! Ale siebie kochamy bardziej jeszcze i w miłości Ojczyzny, a szczególnie w służeniu jej nie chcemy mieć konkurentów.

Dzienniki nasze, które są miarodajnymi wykładnikami uczuć i nastrojów społecznych, czy starają się koić, godzić, skupiać około ojczyznościan, dla wspólnej służby krajowej, ludzi pokrewnych przekonań?

Z małemi, a tem szacunku godniejszemi wyjątkami, tego tam nie znajdziemy. Często z talentem, ze swadą, z porywającą siłą gromią rzeczy złe, ludzi złych, ale zawsze zajadle, zjadliwie, gorzko, w sposób jątrzący, ubliżający. Chwalić umieją tylko swoich, a dla ludzi innego obozu mają jeśli nie sarkazm i oburzenie, to wzgardę pogardliwego milczenia.

Są u nas pisarze wielkiego talentu, wysokiej kultury, którzy marnują te dary Boże, służąc wyłącznie namiętnościom tłumów, bo i inteligencja staje się tłumem, ma duszę pospółstwa, kiedy namiętnościom folgę daje. Wydawnictwa te, im namiętniejsze, tem poczytniejsze, a czytelnik, choć inteligentny, staje się bez-

krytycznym, niewybrednym, wdzięczny, że schlebiają jego najniższym instynktom, bo utwory takie to satyry polityczne, to paskwile partyjne.

Jaka to deprawacja, nie tylko etyczna, ale intelektualna i estetyczna! Przecież ci pisarze w atakach furji nie mogą znaleźć w czystej krynicy rodzimego natchnienia, w skarbnicy polskiego języka, odpowiednich wyrazów na swe psychopatyczne nastroje. Więc styl artykułów, od żargonowych inwektyw, niezrozumiałych makaronizmów, nasiąka jakąś starozakonną zawziętością i plami się szpetnymi neologizmami. Nie wyczuwają oni, w swoim uniesieniu, że te przymiotniki nie tyle szkodzą przeciwnikowi, co autorowi artykułu, którego styl staje się rzeczywiście... horendalnym i bestjalskim, a jednak, jednak... poczytnym! Ta janczarska kapela, ten murzyński koncert, to pandemonjum zgrzytów jest tłem naszego życia politycznego, jest naszym powszednim hymnem narodowym. Tak: »Jeszcze Polska nie zginęła«, ale zginąć musi, jeśli się nie poprawimy. Nie trzeba na to proroka. Każdy rozsądny człowiek tę oczywistość rozumie, tylko, że namiętność oślepia.

Nie mówię o tonie pism skrajnie lewicowych, bo omawiam Kazanie katolickiego Kaznodziei-Zakonnika i zwracam się tylko do tych, dla których Skarga jest, lub powinien być powagą.

Objawy nieokiełznanej niczem nienawiści na lewicy nie mniej nas smućą, ale mniej dziwią i rażą. Oni z Kościołem żyją w niezgodzie, nie uznają tych praw, któremi my, katolicy, rządzić się powinniśmy. Mówiąc o Skardze, mam prawo mówić tylko do chrześcijan, do stronnictw prawicowych. Rachunek sumienia wtedy jest aktem skruchy i rokuje nawrócenie, kiedy się swoje, a nie cudze winy rozpamiętywa.

Prawica w Polsce, tak jak każdy Polak, krzyż kłaść powinna na piersi swoje, krzyż — to godło wiary i miłości, a my, co widzimy? Oto, że te potępieńcze swary najostrzejsze przybierają formy, kiedy chodzi o walkę ze stronnictwami ideowo pokrewnymi, bo podniętą do nich, niestety, są liczne zawiści, lub tajone, a chytne osobiste ambicje.

Nie będę mówił o powojennej gruboskórności naszej, brutalności, nieuczynności, obniżeniu towarzyskiej kultury, bo to, miejmy nadzieję, są nagniotki moralne, które nam wojna przyniosła i prędko przemina. O wielu innych objawach braku zgody i braterstwa nie wspominam, bo miejsce mi użyczono szczupłe.

Zatem trzecie Kazanie Skargi do nas się stosuje i wrócić musimy do jego tekstu: »Jeśli szaty miłości i zgody braterskiej nie mamy, izali nas nie wypędzą z rozkosznego godownika i z gód Pana naszego? Izali nie usłyszym słów onych: Jakoś tu wszedł, szaty godowej, to jest zgody i miłości braterskiej, nie mając?... Żadnej się łaski u mnie nie spodziewaj... żadnego grzechu odpuszczenia mieć nie będziesz... Na modlitwę twoją uszy zatkam, na ofiarę twoją Kainową nie wejrzę, jeśliś bratu twemu nie życzliwy. Uczniami się mojem nie zowiecie, za sługi moje was nie znam i nikt was za moje poddane i za lud mój niech nie pisze, jeśli niezgoda jest między wami. Po tym poznają niewierni i nieprzyjaciele moi, Turcy i poganie, żem ja was odstąpił, żem się ja was zaprzął i niech serce i śmiałość na was biorą, jako na te, które Pana do obrony swojej nie mają. I rzeknę im: bijcie je i mordujcie i posięgajcie i wyganiajcie i do niewoli swojej bierzcie... bo to nie moi. O Panie, któż się tego nie przelęknie!«

Myśmy się tego wtedy nie zlekli, czy i dziś będziemy równie odważni? Czy zapomnieliśmy już, co nas to kosztowało? Czy tych wrogów Bożych, którymi nas straszył Skarga, Bóg nie ma w pogotowiu o miedzę od nas? Prawo Boże jest niezienne, więc chyba my musimy się zmienić, by się groźba po raz drugi na nas nie spełniła.

A groźba jest straszna — słuchajmy dalej: »Będziecie... bez Ojczyzny i Królestwa swego, wygnańcy, wszędzie nędzni, wzgardzeni, ubodzy, włóczęgowie... Jako tę Matkę stracie — już o drugiej niemyślić. Będziecie nieprzyjaciołom waszym służyli w głodzie, w pragnieniu, obnażeniu i we wszystkim niedostatku. Włożą jarzmo żelazne na szyję waszą, przeto iżeście nie służyli Panu Bogu swemu w weselu i radości serdecznej, gdyście mieli dostatek wszystkiego. Nie tak rychło i nie tak żałośnie wojną i gwałty postronnych nieprzyjaciół zginać możecie, jako waszą niezgodą. Jabłko, gdy z wierzchu się psować pocnie, wykroić się zgniłość może iż potrwa. Ale gdy wewnątrz gnić i psować się pocnie, wszystko zaraz porzucić musisz i o ziemię uderzyć«.

Obyśmy nie zasłużyli już nigdy na ten krzyk świętego oburzenia, od którego się krew ścina, póki czujemy, żeśmy na nie zasłużyli.

»Cześć i Imię Pana waszego podłe i lekkie u was jest, póki na zgodę waszą nie patrzę i rozterki między wami kwitną«.

Niema zgody, bo niema miłości. Jaką ta miłość być powinna, jaką jest jej siła, jej wartość, jej wdzięk i słodycz?

Mówię o miłości — c n o c i e, to jest, nie o miłości przyrodzonej, naturalnej, ale o miłości nadprzyrodzonej, z miłości Bożej płynącej.

Miłość przyrodzona ma tę niedoskonałość, że, jako pochodząca z naturalnego pociągu, jest samolubną, niestałą, kapryśną, ku jednym zbyt silną, więc naruszającą miarę, ład i harmonję, ku innym nieistniejącą, więc nie jest cnotą, ani zasługą, nie jest wartością psychiczną, ani społeczną. O tej nie mówię. Taką miłością człowiek kochać nie może nawet psa, a pies kocha człowieka. Ona nie czyni zadość wysokim obowiązkom chrześcijanina i obywatela.

Mówię o miłości bliźniego, która wypływa z miłości Boga, z uczucia obowiązku, z wiary, że każdy bliźni jest synem Bożym, więc bratem naszym, współdziedzicem wieczności, odkupionym krwią Chrystusową.

Przypominam, że mówię do moich współwyznawców, do katolików. Wszyscy otaczamy czią relikwje drzewa Krzyża Świętego. Nazywamy to drzewo »Świętem« i jest ono dla nas takim, bo Zbawiciel na nim był umęczony, bo ten Krzyż został zlanym krwią Jego Najświętszą. Ale to uświęcenie było dla drzewa tego tylko przypadkowym, ta Krew nie dla Krzyża była wylaną, chociaż po nim spływała. Zbawiciel umarł dla zbawienia ludzi i Krew cała męki Jego spłynęła na dusze nasze. Te dusze ludzkie — to są relikwje bez porównania większej wartości dla nas. One są przedmiotem ukochania Chrystusowego; jakże tych dusz nie szanować, jakże posiadaczy tej duszy nieśmiertelnej nie cenić, nie kochać!

Jaką jest wartość miłości, jaką jej siła? Wiara góry przenosi. Nadzieja jest kotwicą wśród nawałności życiowych, ale one obie bez miłości nic nie warte, a kto miłość posiadał, ten ma wszystko i wiarę i nadzieję, bo samego Boga ma w sercu.

Święty Paweł mówi: »Miłość cierpliwa jest, łaskawa jest. Miłość nie zajrzy, złości nie wyrządza, nie nadyma się, nie jest czi pragnąca, nie szuka swego, nie wzrusza się ku gniewowi, nie myśli złego. — Wszystko znosi, wszystkiemu wierzy, wszystkiego się spodziewa, wszystko wytrwa. Miłość nigdy nie ginie!« Jaki czar, jaki urok, jakie ukojenie nosi w sobie samo określenie miłości, a cóż dopiero posiadanie jej w sercu własnem.

Czem jest miłość, lub też jej brak, uczy doświadczenie ży-

ciowe każdego z nas. Widzieliśmy nieraz, widział tak niedawno Kraków, pochody z czerwonym sztandarem i chyba nie zapomniemy nigdy wyrazu twarzy uczestników. Spojrzenia dzikie, niespokojne, lub jakby zawstydzone, wygląd ponury, groźny, zły, ale, przedewszystkiem smutny! Dlaczego? Przecie nieraz wydawało się wszystkim, a szczególnie uczestnikom pochodu, że Polska do nich należy. Pochód ich był zwycięski, triumfalny. Dlaczego byli tak smutni? Dlatego, że miłości w ich sercach nie było, nie było dobroci!

Kiedy serce człowieka bić przestanie, już on żyć przestał i w tejże chwili rozpoczął się rozkład ciała, a ten najpiękniejszy twór Boga w kilka godzin zamienia się w zgniliznę. Dlatego serce jest symbolem miłości, że miłość jest warunkiem życia. Człowiek, który nie kocha bliźnich tą miłością nadprzyrodzoną, ofiarną, nosi na sobie piętno śmierci, ale śmierci wiecznej.

Ludzie mają liczne przywary, często dla otoczenia bardzo szkodliwe i uciążliwe... są pijakami, awanturnikami, złodziejami, rozpustnikami. Patrzymy na ich wykroczenia i wady ze smutkiem, zgorszeniem, ale jednocześnie ze zrozumieniem i wyrozumiałością. Są to grzechy ludzkie. Jeśli jednak spotkamy człowieka, w którym serca doszukać się nie można, dla którego szkodzić innym jest jedynym celem i uciechą, patrzymy na niego z beznadziejnym strachem i odrazą, bo to już grzech nie ludzki, ale szatański; to człowiek opętany, opuszczony od Boga.

Przypomnijmy sobie historję świata. Jakie w niej postacie *vox populi* nazaczył stygmatem nieodwołalnego potępienia? Nie wiele ich jest: Kain, Herod, Judasz, Neron, Marat, Robespierre, a za blisko stoimy, ażeby bezstronnie do straszego tego panopticum zapisać wszystkich fundatorów i bohaterów czerezycyżki. O nich to chyba mówił Krasiński:

»Z żałób najgorszą okryci żałobą:

Hańbą serc własnych, shańbionych przed Tobą!«

Dlaczego? Jaką mają oni wszyscy wspólną cechę? — Negację miłości.

Ale weźmy przykład odwrotny. Jest wielu natchnionych mistrzów pióra i pędzla, wielu bohaterów w historji, ukochanych i ukoronowanych wiekuistą sławą; którzy z nich są najprzedniejsi, nam najmilsi, najmniejśmiertelniejsi? Tylko ci, którzy się stali wyrazem nadprzyrodzonej miłości, tylko ci, którzy kochają.

Dlaczego Fra Angelico, Rafael, Giovanni Bellini, Guido Reni tak są nam drodzy, nieśmiertelnie piękni, tak genialni, w swoim malarstwie religijnem tak górujący nad malarstwem nowoczesnem? Odpowiadają nam na to — bo wierzyli. Odpowiedź nie ścisła. Wiara nie wystarcza, by stworzyć arcydzieło. Wierzyli — to prawda, ale ta wiara wypełniła ich dusze czcią i miłością, a ta miłość jest źródłem genialności ich natchnienia.

»Kiedy ranne wstają zorze« — są poezją bardzo prostą i nie kunsztowną, nieledwie prostaczą, a jednak są szczytem poezji, nie literackiej wprawdzie, ale lepiej, bo ludzkiej. Pod względem duchowej piękności, ta pieśń przerasta sonety Petrarcki i erotyków świata całego. Sonety erotyczne — to noce księżycowe, a ta pieśń poranna — to wschód słońca nad światem, to źródło ciepła i światła, to miłość między Bogiem a swym ludem.

Mamy wielu słynnych wodzów, walecznych rycerzy, aż się roi od nich w historji naszej. Dlaczego skupiły się serca polskie, niezależnie od przekonań politycznych, około postaci: Stefana Czarnieckiego, Tadeusza Kościuszki i kilku innych? Nie za co innego, jak za ich czyste i gorące serca, za ich bezgraniczną i ofiarną miłość Ojczyzny.

Mickiewicz jest szczytem naszego Parnasu i ukochaniem serc naszych, ponad wszystkimi innymi, bo — kochał za miliony, bo tak pełne miał serce miłości Boga, rodaków, Ojczyzny, tak rzewnie mówił o »kraju lat dziecińczych«, tak ślicznie tęsknił »do tych pól malowanych zbożem rozmaitem«, że »Polak, który z tego między narodami słynny, że więcej, niżli życie, kocha kraj rodzinny«, musi i jego kochać. Mickiewicz dlatego jest — niebotycznym, że nigdy nie był — egotycznym.

Takie same tytuły do serc naszych ma Sienkiewicz. Pracował »dla pokrzepienia serc naszych«, bo szczerze kochał Boga i Polskę i duszę swojego narodu, a tego mu Polacy nigdy nie zapomną.

Tak, miłość jest wielkim czarodziejem. »Lepsza w maju jedna chwilka, niż w jesieni — całe grudnie«, bo maj, to coroczny jubileusz pierwszych dni stworzenia, kiedy Bóg patrzył miłością na przepych i krasę swojego dzieła, nieskalanego grzechem ludzkim, a ziemia odpowiadała Mu miłością, przyrodzoną wprawdzie, bo jest tworem doczesnym, ale taką właśnie miłością,

jakiej Bóg od niej żądał, więc pełną miary, piękna, pogody i szczęścia...

Ta pieśń majowa, która dyszy, tętni, pachnie, śpiewa, szumi, szeleszcze, szepcze, dźwięczy, brzęczy, dzwoni, łśni, świeci miłością, tak nas upaja, tak uszczęśliwia, bo czar tego wiosennego chóru, głoszącego dobroć Bożą i nas do wtóru porywa, przepelniając nam dusze wdzięczną miłością... a taka miłość — to życie, to odrodzenie, to przebóstwienie, to przedsmak raj, zadatek nieśmiertelności.

Oby w duszach polskich ten maj swobody naszej i wdzięczności za nią zakwitł na zawsze!

Piękne marzenie... a tymczasem nasze rozterki radosne echo budzą w Moskwie i Berlinie, a to echo mówi: »Der alte deutsche Gott ist noch mit uns. Polen ist ein Saisonstaat«.

Królowo Polski ratuj, bądź Ty z nami! W słodyczy serca Twojego czerpać chcemy miłość Boga, Ojczyzny i braci naszych.

Gdy grzech nasz zmyje miłości chrzest,
Wtedy usłyszysz podły bluźnierca
Naszą odpowiedź — Bóg był i jest!

Chrystus zwycięża.

Odczyt, wygłoszony na Akademji, urządzonej przez Apostolstwo Modlitwy w Wilnie 15 marca 1925 r.

Ktokolwiek patrzy na świat nie ślepiami bezmyślnego zwierzęcia, ale oczyma rozumnej duszy, ten musi dojść do wniosku, że — Bóg jest i że ten wszechświat jest dziełem Boga.

Astronom, śledzący krążenie gwiazd po niebieskich bezkresach, przyrodnik, lekarz, fizyk, chemik, badający tajemnicze, a cudowne prawa życia organicznego w przyrodzie, rolnik, podróżnik, turysta, myśliwy, ci którzy spoufaleńi z naturą i mający sposobność, w ciszy i skupieniu, czekać na triumf wschodów słońca, lub wpatrywać się w glorię zachodu; każdy, który choć raz był na niebosiężnych szczytach alpejskich lodowców, czy nad lazurową tonią Śródziemnego morza, w której jest jeszcze więcej słońca, niż wody; czy w afrykańskich, piaszczystych pustyniach, w których człowiek oddycha słońcem, bo więcej tam słońca, niż powietrza, każdy, który odbywał większe podróże morskie, kto był »sto mil przed brzegiem i sto mil od brzegu«, kiedy to człowiek, dumny pan stworzenia, raptem się uczuje małą łupinką orzecha i kiedy jedyną otuchą w jego nicości jest oczywistość potęgi Bożej, każdy, jeśli nie ślepy, widzieć musi w przyrodzie Boga, Stworzyciela świata! Ukorzyć się musi przed Jego potęgą, pojąć Jego rozum, odczuć Jego dobroć, zachwyconym być Jego pięknnością.

Ogrom, ład, celowość, trwałość, przepych, harmonja, tych razem wziętych zjawisk, ta niesłychana rozmaitość, tworząca jedną nierozzerwalną całość, kiedy przez zachwycone oczy spływanie do serc i umysłów naszych wtedy na usta, drżące od wdzięcznego wzruszenia, wypływa słowo — Bóg!

»Na skał czołe, na wód dole,
Jedna piękność, jeden Bóg».

Kto, zamiast tego Świętego Imienia, powie: »atom, materia«, ten skutek bierze za przyczynę; kto powie: »przypadek«, temu namiętności zagłuszają głos sumienia, zarozumiałość pozabawia rozumu — ten bluźni!

Tak! Bóg jest Stwórcą świata.

Ale ten Stwórca jest jednocześnie Panem i Rządcą świata.

Kiedy po stworzeniu świata, a przed stworzeniem człowieka wszechmoc, rozum, dobroć Boża były niczem nie ograniczone, przy dalszych rządach światem potęga Jego Opatrzności trafia na przeszkody, bo człowiekowi Bóg dał wolną wolę i tem skrepował własną potęgę.

Bóg stworzył świat i człowieka na to, by człowiek w tym świecie służył wiernie Stworzycielowi swemu i z a s ł u g a m i zdobył szczęście wiekuiste. Tylko z a s ł u g ą zdobyć może człowiek wieczną nagrodę; na to, by była zasługa, trzeba było zostawić człowiekowi wolną wolę, bo bez walki — niema zwycięstwa, bez pokonania niebezpieczeństwa — niema chwały.

Bóg ograniczył dla tego celu wszechmoc swoją. Spętana jest Jego miłosierna Opatrzność wolną wolą naszą. Bóg pomagać nam może, ostrzegać, napominać, prowadzić, wspierać, ale wolnej woli naszej naruszyć nie może i bez nas samych nie może nas zbawić.

Legenda o Ormuzdzie i Arymanie jest tylko intuicyjnym przeczuciem i zrozumieniem tej walki, która toczy się w świecie między miłosierną wolą Opatrzności, a naszą złą wolą, między dobrem a złem, między cnotą a grzechem, między duszą a ciałem.

Póki świat światem, póki w człowieku serce bije, póty ten bój wre bez ustanku, tak w życiu narodów, jak i każdego człowieka. Aż do końca wieków ten »Boga nieprzyjaciel stary« będzie pracował nad tem, by odwrócić ludy z drogi ich opatrznościowych przeznaczeń; aż do ostatniego tchu naszego podśwacać on będzie bunt przeciwko prawu Bożemu. Walka to na śmierć i życie, a jej tragizm jest tem większy, że chodzi tu o życie wieczne, lub o śmierć wieczną!

Jakże możemy twierdzić, że Bóg rządzi światem, kiedy uznajemy wolną wolę człowieka i widzimy jednocześnie jego złą

wolę? Wszędzie bunt przeciwko prawu Bożemu; siła stawiana przed prawem. Człowiek nie przestał być czcicielem złotego cielca, poniża w sobie duszę, by zmysłem dogadzać. Więc nie Bóg, ale ludzie rządzą światem i to źli ludzie. Oni, w tej dolinie łez, triumfuja, uciskając i krzywdząc dobrych ludzi.

Taki sąd jest nierozważnym, powierzchownym. Kto patrzy dłużej, kto bada historję, a w niej: losy ludzkości, państw, narodów, koronowanych mocarzy, wielkich wodzów, a w szczególności dzieje Kościoła i papieżstwa, ten nie może przeoczyć gospodarki Bożej, nie może nie dostrzec myśli Bożej, sprawiedliwości Bożej, opieki Bożej, działania Bożego na bieg, na rozwój wypadków, na celowy pochód ludzkości ku urzeczywistnieniu Królestwa Bożego na ziemi.

Gdyby zła wola ludzka miała rzeczywiście przewagę nad prawem Bożem, miłość własna — nad miłością bliźniego, siła — nad sprawiedliwością, fałsz — nad prawdą, lenistwo — nad pracą, zmysłowość — nad duchem umartwienia i umiarkowania, co jest przecież zupełnie prawdopodobnem przy właściwościach skażonej naszej natury, nie byłoby już Kościoła, ani państwa i władzy, ani porządku i zamożności, kultury, ani bezpieczeństwa, byłby chaos, potem zbrodnia, potem nicość. A jednak postęp w świecie jest widocznym, kroczy on szybciej, lub wolniej, zależnie od tego, czy ludzie żyją z Bogiem, czy też lekceważą Jego naukę. Ostatecznie jednak postęp trwa, pochód ku Królestwu Bożemu jest nieprzerwany, bo Chrystus światem rządzi i On jeden zwycięża.

Historja to stwierdza tysiącnymi przykładami: zło jest samobójstwem i ginie bezpotomnie. Zło jest bezsilne.

»Nikt przez mordy i katusze nie był wieków dyktatorem.

Słaby tylko rzeź wybiera, czy mu imię jest Marjusza,
czy mu imię Robespierre'a«.

Dobro zwycięża, nie zbrodnia; Ormuzd — nie Aryman; Kościół, a nie ateizm; sprawiedliwość, a nie bagnet lub sztylet. Zwycięża Bóg!

Tę prawdę uznał Konstantyn Wielki, cesarz rzymski, w początkach IV stulecia i legjony jego idą odtąd w bój zwycięski pod znakiem Krzyża, pod godłem: *In hoc signo vinces*. W 363 roku inny cesarz rzymski znowu zmuszony został do uznania tej samej prawdy. Był to Juljan, przewzany apóstata,

bo całe życie i panowanie swoje zużył i zmarnował w walce z Chrystusem i Jego Kościołem; umiera przeszyty strzałą Persów, wołając: »Galilejczyku, zwyciężyłeś«. W XI wieku Henryk IV, cesarz niemiecki, idzie piechotą do Kanossy upokorzyć się i przeprosić papieża Grzegorza VII.

Joanna d'Arc, wieśniaczka, w 1429 roku, oswabadza oblężony Orlean, przepędza zwycięskie wojska angielskie i króla Francji, Karola VII, koronuje w Reims, bo była Bożą posłanniczką. Napoleon I, upojony sławą do nieprzytomności, wzywa papieża do Paryża, by go ukoronował, a potem więzi w Fontainebleau. I kiedy współcześni Polacy wołali: »Bóg z Napoleonem, Napoleon z nami«, Mickiewicz wkłada w usta Maćka Dobrzyńskiego:

»Cesarz idzie do Moskwy? — Daleka to droga,
Jeśli Cesarz Jegomość wybrał się bez Boga«.

O byłe ten Maćkowy rozum nigdy nie zanikał, bo patrzymy, jaki był koniec tego panowania, tej potęgi. Jaki plon tego życia pełnego chwały, trudu, zwycięstw, które kosztowały miliony ludzkich żywotów. Zapala się Moskwa, by łuną pożaru jaśniej oświecić klęskę odwrotu. Most na Berezynie się załamuje, a potem: Lipsk, Waterloo, Fontainebleau i wyspa świętej Heleny!

Napoleon III, który sądził, że naród bawić trzeba, a nie umoralniać, który zamienił Francję w *café chantant*, dla którego rządów leit motiv pisał Offenbach, Napoleon olśnił świat całą błyskotliwością, strojnością, weselością swego panowania. Dworakami Francji stały się wszystkie narody. Kto mógł przewidzieć, patrząc na wielką popularność cesarza, że kiedy kurtyna spadnie po przedstawieniu operetki »Życia paryskiego«, kiedy ucichną dźwięki kankana i ledwie zgasną lampjony iluminacji, zagrają pruskie armaty, wstyd Sedanu będzie epilogiem tego panowania, a Komuna spali Tuilleries. Operetka dramatem się kończy.

Napoleona i Francję pokonali Niemcy i stali się największą potęgą w Europie, opartą o miljardy zdobyte na Francji, ufne w armji karnej, bitnej, doskonale zorganizowanej. przekonani, że odtąd oni rządzą światem, ogłosili nowy dogmat polityczny: »Siła przed prawem«, zapragnęli zmierzyć się z Panem Bogiem i wydali prawo majowe. Pojedynek ten jednak jak się zakończył? Wilhelm, zwycięzca Austrii, Danji, Francji i ten genialny Bismarck, który wszystkich sąsiadów skrzywdził, oszukał, ten człowiek bez skrupułów, obaj prędko się spostrzegli, że nie można

walczyć z Panem Bogiem, że tej wojny Niemcy nie wygrają i drugi raz władca niemiecki idzie do Kanossy, chociaż ten drugi cesarz katolikiem nie był i uważał się za niezależnego od papieża.

W ostatniej wszechświatowej wojnie, trzech władcy najpotężniejszych państw na świecie tracą tron, życie i sławę, bo byli współnikami rozbioru Polski. Polacy powinni rozpamiętywać wyniki tej wojny, bo one są najjaśniejszą ilustracją cudownych *gesta Dei* w dziejach świata. Powiedział Montalembert, że od rozbiorów Polski Europa jest w stanie śmiertelnego grzechu, za który będzie musiała ciężko odpokutować. Rozbiorcze mocarstwa przeczuwały to, ale zamiast skruchy, zamiast zadośćuczynienia, ten wspólny grzech połączył ich sojuszem, zdawało się, nierozzerwalnym.

Z czasem jednak to Trójprzymierze się rozluźniło i, w chwili wybuchu wojny, ci spadkobiercy zbrodni rozbioru walczą w dwóch, wrogich sobie, obozach. To rozdzielenie właśnie, gdyby ludzkim rozumem o tem sądzić, uniemożliwiałoby wskrzeszenie Polski. Gdyby zwyciężyły Niemcy i Austrija, Polska cała przeszłaby pod ich władzę. Gdyby Francja i Rosja — byłoby jeszcze gorzej, bo Francja, jak o tem już dowiedzieliśmy się, formalną umową kupiła sobie u Rosji prawo dowolnego ustalenia swojej granicy wschodniej za prawo dane Rosji anektowania Księstwa Poznańskiego.

Ale ponieważ zwyciężyły nie Niemcy i Austrija, ani Francja i Rosja, tylko Chrystus, Polska, w chwili najstraszniejszego wyniszczenia, osłabienia, ucisku, walcząca w armjach trzech wrogów, w szynelach i pod chorągwiami swoich gnębieli, Polska powstaje i staje się wielkim mocarstwem, a w wojnie narodów giną, chociaż w różnych walczą obozach, wszystkie trzy państwa, które Polskę rozebrały. *Deus mirabilis!*

Gdyby samozwańcze świeckie władze nic nie wiedziały o rządach Chrystusa na ziemi, nie byłyby one tak zażarte, tak okrutne w walce przeciwko Niemu. Sama zawziętość dowodzi, że wierzą w Jego istnienie, że Go się boją. Ale na czele Rosji stoi Kamieniew i Trocki, którzy, wierni tradycji swojej rasy, myślą, że się da Boga zabić powtórnie. Nas chrześcijan ta potęga zła nie straszy, chociaż brzydzi: my wiemy, że zwycięży znowu Krzyż Chrystusowy, a nie sowiety, ta Wielka Rada żydowska.

Zwróćmy się teraz do historii Kościoła. W Betleem rodzi

się Chrystus w stajence, a cieślę ma za opiekuna i wychowawcę. Głoszenie nauki swojej, nietylko dzikim ludom, ale wysoko kulturalnym Grekom i Rzymianom powierza dwunastu prostakom, nie mającym żadnego wykształcenia. Ci rybacy, bezdomni, bez pieniędzy, bez środków komunikacyjnych, nietylko podbijają świat, ale cały ustrój społeczny najpotężniejszych, a im wrogich państw, przekształcają zgodnie ze wskazówkami swego Mistrza.

Chrystus umiera na krzyżu i z nauki Jego nie pozostaje ani jednej pisanej litery. Naukę tę przechowali jedynie w sercach i w pamięci Apostołowie i uczniowie Jego, a chociaż oni zginęli prawie wszyscy śmiercią męczeńską, nie zginęła obietnica Chrystusowa: »Ja będę z wami aż do skończenia świata«, i dlatego, że Pan Jezus powiedział Piotrowi: »Ty jesteś opoką, a na tej opoce zbuduję Kościół mój i bramy piekielne nie zwyciężą go«, dlatego tylko ani jedno słowo nauki Chrystusowej nie zostało uronione, zapomniane, zlekceważone, przeinaczone, dlatego na tej łez dolinie, gdzie wszelkie skarby i mól gryzie i rdza przejada i ogień niszczy i złodziej kradnie, skarb wiary i nauki Chrystusowej, w ogniotrwałym skarbcu Kościoła, bezpieczny jest na wieki.

Wielu było znakomitych prawodawców: Solon, Likurg, Justynjan, Napoleon I, Piotr Wielki. Jakież prędko ich praca, ich mądrość stały się anachronizmem, a prawodawstwo Chrystusowe trwa już dwadzieścia stuleci, wyniańczyło wszystkie cywilizowane narody i zawsze pozostanie drogowskazem moralnego postępu świata.

Chrystus, powierzając rządy Kościoła św. Piotrowi, nie ustalił żadnych przepisów elekcji, obiecał tylko pomoc swoją do skończenia świata i mimo tysiącznych apostazyj, zdrad, oszczerstw, buntów, odszczepieństw, krwawych prześladowań, mimo nienawiści świata, przysiężeń monarchów, mimo win i grzechów czynnych członków Kościoła, władza papieska, jedyna na świecie, przetrwała wszystkie ziemskie potęgi i zwycięską zostanie na wieki. Nie szatan, ale Chrystus zwycięży.

W łonie Kościoła odszczepieńcy odpadają jak zgniłe owoce, jak suche gałęzie od pnia wiecznie zdrowego. Nie mówiąc już nic o tysiącznych odszczepieństwach, popełnionych przez zarozumiałych filozofów, uczonych, przez ambitnych, a zbuntowanych kapłanów i biskupów, których nauka tyle trwała, co oni sami, których imiona ledwie że znane są uczonym badaczom przeszłości,

ale ci nawet, których błędna nauka dziś jeszcze bałamuci i oddala ludzi od tak pożądanej jedności Kościoła, taki Focjusz, Luter, Jean-Jacques Rousseau, Encyklopedyści, ustawodawstwo Wielkiej Rewolucji, starokatolicy, marjawici, kościół narodowy polski, jakie to efemerydy, albo też jaki ich nauka mizerny żywot wiedzie, jak szuka ratunku, oparcia, jak mało ma wpływu, mimo że w walce z Kościołem katolickim zawsze liczyć mogą wszyscy odszczepieńcy na poparcie ich przez wszystkie namiętności ludzkie, przez wszystkie świeckie rządy i mocarstwa, zadzroszczące widocznie Kościołowi jego władzy nad duszami ludzi.

Panowanie Tego, któremu Bóg powierzył klucze Królestwa niebieskiego, drażni ziemskich władców. Chrystus to powiedział mówiąc: »Królestwo moje nie jest z tego świata«. U schyłku XIX wieku, u szczytu cywilizacji materialnej i filozofii pozytywistycznej, wielcy tego świata, w przypuszczeniu niemądrem, że pozbawienie Ojca Świętego władzy doczesnej wyzjuje go ze wszelkich wpływów na rządy świata i uczyni go zależnym od nich, w nadziei, że oni odtąd staną się niepodzielnymi gospodarzami tego planety, który nazywamy ziemią, odbierają Ojcu świętemu jego państwu doczesne, wojsko, skarb, woźność, władzę prawodawczą i wykonawczą. Zapominają jednak, że ziemia jest ciałem niebieskiem, i jako taka, do nich nie należy. Jak nie mogą sprawić ukazami swemi, by ziemia przestała się obracać naokoło słońca, tak nie są w stanie przeszkodzić, by Chrystus na niej rządził i widzieliśmy wszyscy, jak papieństwo ograbione, pozbawone wszelkiej władzy materialnej i jako takie zdane na łaskę i niełaskę potęg militarnych, potęg finansowych, potęg namiętności ludzkich, widzieliśmy z radosnem zdumieniem, jak ten Niewolnik Watykanu nietylko dalej rządzi i rozkazuje, ale jak wszystkie świeckie potęgi, obojętne, lub nawet wrogie Kościołowi, zmuszone są słuchać, starać się o względy, szanować i podziwiać jego władzę. Dlaczego? — Bo przez tego człowieka, który siedzi na Stolicy Piotrowej, rządzi niezwyciężony, a zawsze zwycięski — Chrystus.

W tych ciężkich, a czasem groźnych zmaganiach się różnych stronnictw jednego narodu, w tem *bellum omnium contra omnes*, w tej walce egoizmów klasowych, tak starej, jak świat, a która była, jest i będzie, nie może zwyciężyć ani arystokracja,

ani demokracja, radykalizm, socjalizm, ani komunizm, ale zwycięży Bóg i ta partja, która Jego za sędziego i rozjemcę uzna. Jego prawu się podda. Tylko, że wtedy ta partja przestanie być stronnictwem, a stanie się narodem wybranym i pokój zapanuje, ten pokój, który obiecany ludziom dobrej woli. Nie hrabia Henryk, nie Pankracy, ale Galilejczyk zwyciężyć musi!

Teraz zejdźmy z areny przewrotów politycznych i społecznych, a wejdźmy w siebie. Każdy z nas ma swoją historję, której treścią jest stosunek duszy naszej do Boga. Przypomnijmy sobie nasz wiek dziecięcy, kiedy »człek po świetle biegł, jak po łące, a znał tylko kwiecie«, ile w tym kraju lat naszych dziecinnych było wiary, pobożności, prostoty, ufności, miłości Boga i ludzi. Potem przyszedł »wiek męski — wiek kłeski«: rozluźnienie stosunku naszego do Boga, lenistwo, opieszałość, obojętność, kompromisy z sumieniem, wreszcie odstępstwo, przemieszczenie, grzech, nieraz zbrodnia, jeśli nie względem ludzi, to względem Boga i własnej duszy. A potem naszego Zbawiciela powroty: nasze upokorzenie, zawstyżenie, skrucha, nasze pokorne, a zawsze skuteczne, prośby o miłosierdzie, o przebaczenie. Zastanówmy się ile słodyczy, otuchy, radości, pokoju przynosił nam każdy powrót do tego dobrotliwego Ojca, wtedy każdy z nas poczuje prawdę tego francuskiego orzeczenia: *l'homme s'agite et Dieu le mene*: człowiek szamocze się, ale Bóg go prowadzi.

Jeśli tak jest, jeśli się ziszcza, w historii świata i w głębi dusz naszych, zwycięstwo Chrystusowe, szaleństwem byłoby nie przystać do Jego chorągwi, zapisać się do przeciwnego obozu, do nieprzyjaciół Bożych, do tych, którzy zginąć muszą w hańbie i rozpacz. Idźmy służyć pod Jego zwycięskim sztandarem. Sami nie damy niczemu rady. Wiemy jak trudna jest nam samym walka z namiętnościami, jak ciężko zapanować duszy nad ciałem. Trzymajmy się Chrystusa, a ufni, nie we własne siły, ale w Jego pomoc, będziemy mogli ze św. Pawłem powiedzieć: »Wszystko mogę w Tym, który mnie umacnia«.

Dbamy o losy Ojczyzny, kochamy ją serdecznie, życiebyśmy za nią oddali, ale ta miłość sama Polsce korzyści nie przysporzy. Tak, jak niezdolni byliśmy ją wskrzesić bez cudu łaski Bożej, tak i skorzystać z tego cudu nie potrafimy, jeśli krokiem jednym odstawimy od Boga. Nie zbawimy jej bez — Zbawiciela.

Patrzmy na stan naszej Ojczyzny. Pokój Wersalski przypomina bardzo, w wynikach pracy swojej, ten ewangeliczny łąk, zasiany dobrem ziarnem, na którym jednak, podczas kiedy słuźdy spali, zły człowiek nasiał kłokolu. Przyjrzyjmy się naszym granicom: od południa i zachodu... dużo będzie zachodu, jak mówią dowcipnisie. Czechy i Niemcy nie mogą przeboleć utraty Śląska. Od północy... może morze... Tragikomedja korytarza gdańskiego i krwawa serdeczna rana Litwy Kowieńskiej.

Wilno jest miastem Polskiem — to jest oczywiście, ale Wilno jest stolicą Litwy — to jest faktem historycznym, a tej sprzeczności nie usunie Liga Narodów, która narzuconą uniją spaja tylko mechanicznie. Lekarstwem jedynym jest nie Liga, ale Unja, ta wypróbowana w doli i niedoli unja dwóch narodów, tak długo zjednoczonych wspólną wiarą, nadzieją, miłością, wspólnem męczeństwem, ta unja, która przyniosła Polsce i Litwie tyle siły, tyle sławy. Pamiętajmy, że w tym sporze siostrzanym nie polityczna intryga, ale dobra wola, nie krzywda, ale sprawiedliwość, nie nienawiść, ale miłość zwycięży. Stańmy się godnymi tego zwycięstwa.

A teraz idźmy dalej pseudo-granicami państwa polskiego.

Łotwa z nieuregulowaną sprawą Dyneburga i mniejszości polskiej. Granica od wschodu, ten rezultat zbrodni, popełnionej w Rydze, przez obustronnych wrogów państwowości i tradycji polskiej. A wewnątrz Rzeczypospolitej: ustawa wyborcza, skazująca kraj na przewagę i hegemonję ilości nad jakością, popularności nad zasługą, mierności nad zdolnością, doktryny nad rozsądkiem, frazesu nad myślą. Tego *false startu* logicznym skutkiem jest demagogja, partyjność, bezsilność rządu i bandytyzm wschodni.

To wszystko sprawia, że doznajemy nieraz zwątpienia katuszy

»I gdy zwrócimy wzrok ku naszej męce,
Nawet odwaga załamuje ręce«.

A jednak zwyciężyć musimy — to jest historyczną koniecznością. Bóg nie jest marnotrawcą łask swoich, tylko rozumnym ich szafarzem i jeśli nas wskrzesił, śnąc potrzebni byliśmy, po tych wielkich przewrotach, dla urzeczywistnienia zamiaru Jego *renovare faciem terrae*.

Na to jednak, by Polska prostowała Pańskie drogi dla po-

chodu ludzkości, neutralną być nie może. Bo neutralność to nie droga, to rozdroże. Przyłączmy się odważnie i niedwuznacznie do Tego, który jest Drogą, Prawdą i Żywotem. Tę szczerłość, tę wierność w służbie Bożej winniśmy przeszłości, teraźniejszości i przyszłości naszej.

Winniśmy przeszłości, to jest tradycji narodowej naszej, bo jesteśmy z ojczyzny Piastów, Jagiellonów, Batorych, Sobieskich. Spadkobiercami zasług św. Stanisławów, św. Kazimierza królewicza, św. Jozafata, Andrzeja Boboli, męczenników podlaskich i tylu, tylu cnotliwych przodków, świątobliwych matek. Ten spadek obowiązuje: godnymi zostać powinniśmy ich świętej spuścizny, ich sławy, ich zasług.

Winniśmy to teraźniejszości, bo za cud 15 sierpnia 1920 roku czem odpłacić się możemy Wniebowziętej Matce Zbawiciela, jeśli nie wdzięcznością za Jej opiekę, jeśli nie uległością woli Jej Syna, tej woli, która nas wskrzesiła, a wskrzesiwszy, wybawiła po raz drugi od groźniejszego jeszcze wroga? Musimy uczcić księdza Skorupkę, ks. Budkiewicza i wszystkich bohaterów poległych w obronie kraju, aby ich krew przelana nie stała się daremną ofiarą.

Tę wierną służbę Chrystusowi winniśmy przyszłości naszej, bo misją Polski będzie zawsze straż ideału chrześcijańskiego przed wschodniem barbarzyństwem, a przecież, od czasów Alaryka i Dzyngishana, nie było groźniejszej epoki dla spokoju, ładu, pracy, dla kultury ludów Zachodu. Nietylko trawa nie wyrasta tam, gdzie dotknęły kopyta dzisiejszych najeźdźców, ale sumienia więdną, dusze są zatrute, serca znieprawione. Piekło bolszewizmu zgniłym oddechem szerzy miazmaty rozkładu społecznego i zdziżenia obyczajów, kusząc kłamliwymi obietnicami i zrabowanem złotem.

Jeśli Polska ma zostać przedmurzem chrześcijaństwa, Wilno pamiętać powinno i, chwała Bogu, pamięta, że jest najbardziej wysuniętym na wschód bastjonem tej polskiej chrześcijańskiej twierdzy. Zaszczyt to, ale i odpowiedzialność wielka.

Na szczęście w murach tego miasta wybrała sobie przybytek i »w Ostrej świeci Bramie« Ta, która wężowi głowę starła i zawsze swój wierny lud bronić będzie, bo od wieków jest nazywaną »Wspomożeniem Wiernych«. Bez Jej pomocy niema zwycięstwa.

Patrzmy co się koło nas dzieje. Mówiliśmy o niepewności naszych granic, o licznych wrogach zewnętrznych. Nic to! Oni, owszem, są nam potrzebni. Rozpalać będą w sercach naszych miłość ofiarną Ojczyzny, będą budzić czujność, sycić w duszach młodzieży naszej rycerską cnotę. Są gorsi wrogowie: wrogowie ducha polskiego, wrogowie tradycji pobożnej, wrogowie jedności narodowej, którzy zmniejszają odporność, osłabiają żywotność, wprowadzają nieład, rozprzężenie, nieufność, zawiść, niesforność, kłótnie, rozdwojenie. Takich wrogów niestety mamy bardzo wielu. Mamy, nietylko importowanych, ale własnego chowu bolszewików i pokrewnych im, choć się tego wypierają, PPS-ów, Wyzwoleńców, mniejszości narodowe, mamy metodystów, masonów, marjawitów, komiwojażerów narodowego kościoła, bo ten, choć się narodowym nazywa, jest importowanym z za Oceanu. Wszyscy oni, pozornie nic wspólnego z sobą nie mający, czasem nawet oficjalnie polemizujący między sobą, dosyć zaciekle, najczęściej o taktyczne metody walki, kiedy chodzi o podkopanie tradycji chrześcijańskiej lub potęgi Polski tworzą niezwłocznie jeden front: zwarty, zgrany, karny, wyćwiczony, nawet ofiarny, a groźny bardzo, nie tyle swoją siłą, ile naszą słabością, bo w obozie naszym, niby katolickim, niby narodowym, spotykają oni katolików tylko z metryki, ale nie z ducha, a patryjotów — niestety, nie w chrześcijańskim pojęciu tego pięknego uczucia. Patrjotyzm nasz szczery i gorący, tylko wtedy, kiedy trzeba go stwierdzić nienawiścią wrogów, a letni, miękki, skąpy, tchórzliwy, kiedy dobro Ojczyzny wymaga od nas karność, pracy, ofiary, miłości, odwagi cywilnej. Z takim usposobieniem tylko pokonanymi być możemy.

Opowiedzieć się przy Chrystusie — to jest wierzyć silnie, to jest kochać gorąco, to jest walczyć wytrwale i odważnie o Jego przywileje. O przywileje w szkole polskiej, w prawodawstwie polskim, w społeczeństwie polskim i w rodzinie polskiej. Walczyć bez fałszywego wstydu; tak walczyć, jak tego wymaga świętość sprawy, jak na to pozwala pewność zwycięstwa. Chrystus zwycięża, ale On letnimi się brzydzi.

Ojciec święty Pius XI, ten Papież polski, ten, który pierwszy zjawił się u progu grobowca zmartwychwstałej Polski i może dlatego ją tak ukochał, ten wzajemnie i przez nas ukochany Ojciec święty rozpoczął swoje panowanie pod hasłem: »Pokój Chrystu-

sa w Królestwie Chrystusowem». Wezwaniem tem pragnie Namieśnik Chrystusa stworzyć jeden wielki front przez Apostolstwo Modlitwy, któreby zrzeszało wszystkie stany świeckie i duchowne pod sztandarem Zbawiciela. Niech rozpoczęty rok jubileuszowy, któremu Ojciec święty przewodniczy i który na cały świat zleje tysięczne łaski, niech się on przyczyni do szeregowania w sfornym, dzielnym pochodzie ku Królestwu Bożemu wszystkich synów Polski.

Cześć katolikom wileńskim, którzy, ożywieni jednym duchem miłości Boga, łączą się dla dobra Kościoła i Ojczyzny we wspólnej modlitwie.

Tak, módlmy się, zwłaszcza my, mężczyźni, dlatego, że mężczyźni mało się modlą w Polsce! Niektórzy uważają to nawet za babskie zajęcie; mówią: »Niech kobiety odmawiają różańce, nasza rzecz — pracować«. Pracować wszyscy powinniśmy. Praca, jako wykonanie prawa Bożego i woli Bożej, jest także modlitwą, ale jeśli człowiek pracuje, nie myśląc o Bogu, praca jest bezpożyteczna, Bóg jej nie pobłogosławi i ona korzyści nie przyniesie. *Ora et labora*, mówi przepis chrześcijański. Módl się i pracuj. Zatem modlitwa na pierwszym miejscu, a potem, na drugim, praca. Mieć ręce złożone, to nie to samo, co mieć założone ręce.

Modlitwa jest aktem wiary, a wiara góry przenosi. Pracowite ręce ludzkie są mdłe, kiedy ich wiara nie krzepi. Krasieński mówi:

»Wiarą w niebo — niebo kusim,
I ufamy, że wyprosim
To, co Boskiem jest, u Boga«.

Modlitwa jest aktem ufności, a nadzieja siły podwaja. Modlitwa jest hołdem miłości i przez nią współnikiem trudu naszego staje się Ten, który świat zwyciężył. Ale Apostolstwo Modlitwy to więcej, to lepiej niż modlitwa. Modlitwa jest tylko aktem miłości Bożej, Apostolstwo zaś modlitwy to miłość Boga w duszy własnej i w duszy bliźnich naszych, to spełnienie i streszczenie, w jednym akcie, całej woli Bożej.

Nie wstydzmy się wiary, nie wstydzmy się miłości, nie wstydzmy się modlitwy. Modlił się Jagiełło przed Grunwaldem i tą modlitwą unieszkodliwił nazawsze Zakon, który świętokradzko znakiem Męki Pańskiej osłaniał swe zbrodnie; modlił się Jan Kazimierz i ksiądz Kordecki i tą modlitwą ubezwładnił naj-

bitniejsze wojsko w Europie. Modlił się Sobieski na Kahlenbergu i zdeptały konie husarzy polskich groźną chorągiew Proroka, modlił się i krzyżem leżał generał Haller przed dniem zwycięskiej bitwy o Wisłę, modliła się cała ludność Warszawy, klęcząc na Placu Zygmunta przed obnoszonemi relikwjami patronów i męczenników polskich i dzięki tym modłom panuje dziś w Polsce nie Trocki, ale Panienska Częstochowska.

Gdybyśmy, po tych cudach Opatrzności Bożej, wstydzili się dziś mieli modlitwy, zaprawdę ten wstyd właśnie byłby bezwstydem! Módlmy się, bo być z Bogiem nietylko jest słodko, ale roztropnie, nietylko szczęśliwie, ale korzystnie. Módlmy się pieśnią pobożnych Ojców naszych:

»Kto się w opickę poda Panu swemu,
A całym sercem szczerze ufa Jemu,
Śmieie rzec może: mam Obrońcę Boga,
Nie przyjdzie na mnie żadna straszna trwoga.
Już mi innego nie trzeba oręza,
Chrystus zwycięża!«

Rodzina.

Odczyt, wygłoszony w Warszawie, w sali »Theologicum« 10 maja 1925 r.

Najlepsza część społeczeństwa naszego, ta, która wie, że ani materjalny dobrobyt, ani wojsko, ani nawet nauka nie zapewniają narodowi szczęścia, bezpieczeństwa, dobrej sławy, że to wszystko dać nam może jedynie cnota, ci wyjątkowi, których głosy odzywały się w ostatnich czasach z tej tu katedry, ci, którzy głośno wołają, że naród, któryby się wyrzekł ideałów, będzie martwą gałęzią na drzewie cywilizacji, ci wszyscy, wskazując na potrzebę moralności, oświaty, karność, pracy, ducha ofiary, nie wskazywali dotąd głównego źródła tych wartości społecznych, z którego czerpać, na którym oprzeć i zabezpieczyć trzeba kulturę Polski!

Wskazówki dają nam wyraźnie jedynie Kościół, ale któż Kościoła słucha! Już Mickiewicz w Panu Tadeuszu tak się skarży:

»Choć dawno o tem w Polskim pisano zakonie
I każdy ksiądz to samo mówił na ambonie;
Nauka dawną była; szło o jej spełnienie,
Lecz wtenczas panowało takie zaślepienie,
Że nie wierzono rzeczom najdawniejszym w świecie,
Jeśli ich nie czytano w francuskiej gazecie».

Ja też, stosując się do przestrogi Mickiewicza, głównie z francuskich dzieł czerpać dziś będę myśli o tem prazródle życia i zdrowia, o rodzinie!

Kto z domu rodzicielskiego wyniósł miłość Boga i ludzi, świadomość pochodzenia i przeznaczenia swego, kto potem w rodzinie, którą sam stworzył, znalazł cel życia i życia szczęście, ten ma prawo, ten, przez wdzięczność samą dla przodków, przez miłość dla potomków, przez troskę o dobro Ojczyzny, ma obowiązek świętość rodziny słać, dobrodziejstwa rodziny stwierdzać

i starać się ostrzec, oby nie zapóźno, że wielkie niebezpieczeństwo grozi życiu rodzinnemu w Polsce.

Czem jest rodzina w państwie i społeczeństwie?

I.

1. Rodzina jest społeczeństwa źródłem.

Rodzina tworzy społeczeństwo. Ojciec, matka, dzieci ich — oto źródło, oto treść społeczeństwa.

Postęp jest hasłem dni dzisiejszych, hasłem otoczonem powszechną czcią, i słusznie, bo postęp jest prawem naturalnem. Tylko nie wiedzą ludzie, gdzie postępu szukać. Bóg cierpliwy, bo wieczny, ustalił w prawie naturalnem drogi pochodzenia ludzkości, które są ewolucją nieprzerwaną, a nie rewolucją. Nauczył nas modlić się o ten postęp słowami: »Przyjdź Królestwo Twoje, bądź wola Twoja, jako w niebie tak i na ziemi«, ale to Królestwo Boże, ale ta wola Boża, ale ta służba Boża w rodzinie czerpie swój pierwiastek. Wola ludzka niecierpliwa, bo znikoma, buntuje się przeciw woli Bożej, przeciw naturalnej ewolucji, nie chce wierzyć, że natura skoków nie znosi, wierzy w rewolucję i burzy rodzinę, by prędzej postęp osiągnąć. Ale kto burzy, ten nie buduje, kto szuka postępu poza rodziną, ten jest niszczycielem, a nie postępowcem, barbarzyńcą, a nie nowatorem, bo społeczeństwo bez rodziny jest stadem. Kto nie wierzy, niech się do Moskwy przejedzie. Rodzina, to laboratorium ewolucji, ta skarbnica tradycji, jest zawsze bijącym źródłem postępu i jak Ojczyzna jest matką jednostek, tak rodzina jest wiecznie płodną matką Ojczyzny.

Ludzie zawsze czuli potrzebę szukania i badania źródeł rzek, które są arterją życia, czynnikiem dobrobytu tych krajów, przez które te rzeki płyną. Jakżebyśmy mogli nie troszczyć się, nie badać tych źródeł, z których wypływa rzeka narodu, niosąc szczęście, zdrowie i postęp społeczny? U źródła fale rzeki są najczystsze. Czystość ich mać się dopiero przez dopływy. Tak i życie ludzkie mać się niestety w swoim biegu, ale nigdy nie jest czystsze i piękniejsze w społeczeństwie, jak nim jest u źródła swego, w rodzinie.

W społeczeństwie, w którym większość rodzin ma spaczne pojęcia, zepsute serca, niezdrową krew, w takim społeczeń-

Odrodzenie narodu przez wiarę i miłość.

stwie, nawet przy najmędrszych prawach, najgenialniejszych wynalazkach, panować będą nędza, upodlenie, choroba moralna. Społeczeństwo takie rozpręga się i gnije.

Ale naodwrot, jeśli większość rodów, jako źródło żywe, niosą społeczeństwu: naukę bez błędów, obyczaje bez skazy i zdrową krew, wynikiem tego ciągłego dopływu będzie ludność: wielka i silna inteligencją, wielka i silna wolą, wielka i silna krwią.

Bo rodzina nie jest tylko mnożnikiem ludzkiego życia. Ona jest jednocześnie twórczynią wartości duchowych. Nietylko stwarza, ale rozwija, chroni, wzmacnia i doskonali życie.

Rodzina wychowuje. Ona jedna ma do tego prawo. Zatem najbardziej rozumne i postępowe są te instytucje, które strzegą praw rodziny i najmniej uszczuplają, na rzecz państwa, wrodzone siły i zdolności, dane jej przez Opatrzność. Rodzina jest dziełem Bożem, a instytucje ludzkie nigdy lepiej nie działają, jak kiedy popierają dzieło Boże. Rodzina — powinna wychować państwu pokolenie, państwo — powinno ochraniać rodzinę. Ojczyzna swą tarczą osłania i broni rodzinę. Rodzina pod swym dachem urabia obywateli na chwałę, na służbę, na obronę Ojczyzny. Zadanie państwa jest ważne i piękne, ale najświetniejsze podboje nie wyrównają dla postępu świata korzyściom, jakie przynosi Ojczyźnie spokojna straż ogniska domowego.

Dzisiejsze pokolenie uległo psychozie rewolucyjnych prądów, dążących do rozstroju społecznego przez zniszczenie wpływu rodziny. Wzorując się na pogańskich zasadach, chcemy państwu powierzyć wychowanie dzieci, nihyto w imię korzyści, jakie stąd odniesie Ojczyzna, a w rzeczywistości przez obojętność na moralne wychowanie dzieci i abdykację z obowiązków naszych wychowawczych.

A jednak postęp ludzkości płynie nie z mównicy sejmu lub senatu, nie rodzi się w komisjach, lub kancelariach ministerjalnych, nie leży w ręku królów i wodzów zwycięskich. Tajemnica postępu kryje się w domowym ustroniu, w duszach, sercach, na ustach ojców i matek, w ich władzy, ich poświęceniu, we wspólnej harmonii, w przykładzie ich życia, leży w tem zaszczytnem powołaniu, które Opatrzność dała rodzicom dla doskonalenia społeczeństwa, przez wzajemne doskonalenie się i podnoszenie ro-

dziny. Najgenialniejszy minister, najdzielniejszy wódz Ojczyźnie swojej sławy tylko — dodaje. Rodzina — sławę i szczęście mnoży.

Ale rodzina nie jest tylko mnożnikiem życia. Ona jest tradycją, a więc postępowaniem. Bo tradycja i postęp to dwa pojęcia nie sprzeczne z sobą, ale owszem nierozłączalne. Pojęcie postępu bez tradycji jest zarozumiałą aberacją, bezpłodną głupotą i brzydką niewdzięcznością. Źródłem postępu jest tradycja, źródłem, siedliskiem, ostoją, warownym zamkiem tradycji jest rodzina. Chcemy postępu? Strzeżmy tradycji, otaczajmy opieką rodzinę. Ci, którzy tradycji nie uznają, a tak despotycznie i samodzielnie przyszłość budować pragną, oburzyli się na myśl, że potomkowie ich samych uważać będą za wsteczników.

Nie czuć się dłużnym względem przeszłości, to *credo* bolszewickie, ale czy jest to postęp? Życie opiera się na tradycji i łączy czasy, które nas poprzedziły z przyszłością, do której dążymy, przez teraźniejszość, która je rozgranicza i spaja zarazem. Takie jest stanowisko człowieka w rodzinie: jest on ogniwem między przodkami a potomkami.

Ci, którzy myślą, że świat się od nich zaczyna, ci burzyciele praw Bożych i ładu społecznego, wiedzą dobrze, że ostoją tradycji jest rodzina, ostoją rodziny jest Bóg. Wygnać z domu rodzinnego Boga, aby łatwiej im przyszło sam dom rozwalić — oto program dzisiejszych wrogów rodziny.

2. Rodzina jest wzorem ustroju społecznego.

Ojciec, matka, dziecko — oto trzy czynniki ustroju rodzinnego, odpowiadające analogicznym pierwiastkom ustroju państwowego: władca, wykonawca, poddany.

Władza ustawodawcza (sejm i senat) — to ojciec. — Władza wykonawcza, rząd — to matka. — Poddani, posłuszni z szacunku i miłości — to dzieci.

Rodzina to przecież tylko nowicjat życia społecznego. Aby społeczeństwo mogło być doskonałe, a przynajmniej postępowe,

a) Ojciec powinien mieć władzę, matka nieść powinna rodzinie poświęcenie, dziecko winno nieść posłuszeństwo.

Władza ojca — to siła moralna, która nawet rozbrojona panuje w królestwie prawa, bo władze wszystkie, ustanowione przez Boga, celem kierowania ludźmi, stykają się i łączą między

sobą, jak drzewa w lesie łączą się korzeniami. Osłabienie którejkolwiek z tych władz, osłabia i zachwiać może samą zasadę. O osłabienie zasady — władzy chodzi wywrotowcom i dziś, kiedy ludzie ośmielają się przeczyć władzy Bożej na ziemi, nie dziw, że i władzę ojcowską starają się osłabić, a jednak ona jedna dotąd ostała się i istnieje, bo Bóg jest na straży rodziny i jej praw.

Drugim pierwiastkiem dobrego ustroju społeczeństwa jest *posłuszeństwo z miłości*. Tajemnica porozumienia i zgody, to nie siła i strach, nie despotyzm i służalczość, tajemnica posłuszeństwa — to miłość. Kto kocha rozkazującego, ten kocha nakaz. Szacunek, przywiązanie, miłość, oto czem promienieje legalna władza, a taką aureolą otoczył Bóg władzę ojcowską. Serce dziecka, niedotknięte zepsuciem, ufa tej władzy. Ono kocha ojca, więc słucha go. Dziecięce przywiązanie — to druga religja uczciwych ludzi.

Trzecim pierwiastkiem idealnej rodziny i zdrowego społeczeństwa jest *poświęcenie*. Bóg między władzą i posłuszeństwem postawił pośredniczkę — poświęcenie. Między ojcem a dzieckiem stoi matka, która równie gorącą miłością ogarniając oboje, stwarza jedność. Jej poświęcenie to uświęcenie życia rodzinnego, ona jest oliwą pokoju, usuwając tarcia i zgrzyoty.

Czemże są rewolucje, jeśli nie buntem egoizmów przeciw egoizmowi, jeśli nie nowymi zbrodniami, przychodzącymi karać stare zbrodnie? Jedynym ratunkiem przeciwko tym kataklizmom jest zgoda, oparta na miłości i poświęceniu. Poświęcenie to wiązadło rodziny i społeczeństwa, to odczynnik ludzkiego egoizmu, to powołanie matki i żony.

Władza, poświęcenie, posłuszeństwo i miłość, oto czynniki spokoju, zdrowia i siły w społeczeństwie. *Miłość* — nie mówiliśmy, kto przedstawia ten niezbędny, ten najważniejszy czynnik w rodzinie — wszyscy i w równej mierze muszą daninę serc przynosić do rodzinnego skarbcia, tak ojciec, jak matka i dziecko, bo władza bez miłości jest tyranją, poświęcenie bez miłości jest torturą, posłuszeństwo bez miłości jest służalczem niewolnictwem.

Nic łatwiejszego, jak kierować ludźmi, którzy uważają za naturalne spełniać w życiu to, co zawsze spełniali w społeczności domowej. Kochać, słuchać, szanować, — tacy ludzie będą więcej, niż sławą Ojczyzny, będą jej siłą i obroną.

3. *Rodzina jest siłą, żywotnością, obroną społeczeństwa i ojczyzny.*

Człowiek na to, by chciał i mógł być obrońcą ojczyzny, musi być z nią połączony silną, głęboką miłością; wtedy tylko może ona liczyć na jego wierną, ofiarną służbę. A co wiąże człowieka z Ojczyzną tak silnym czarem, że bez wzruszenia jej imienia wymówić nie może? Wspomnienie rodzinne, »kraj lat dziecińczych. On zawsze zostanie czysty i piękny, jak pierwsze kochanie«. Ojczyzna to dom ojca. Napewne świętemu słowu temu dano rodzaj żeński, by przypominało jednocześnie ojca i matkę, by mówiło nam o domu rodzicielskim i kolebce naszej, o ziemi przodków i dziedzictwie wnuków. Miłość Ojczyzny — to powrotna fala miłości ojca, matki, tradycji rodzinnej, obyczaju domowego, to przywiązanie do rodzeństwa, domowników, krewnych, krajobrazu, widzianego dziecięcym, wrażliwym wzrokiem i wytłoczonego w duszy młodzieńczej na życie całe.

Kłamstwem jest twierdzenie, że kult rodziny zacieśnia i wysusza uczucia względem Ojczyzny. Miłość Ojczyzny nie może być bezdomną, koczowniczą. Musi w jakimś kątku ziemi zapuścić głęboko korzenie — czuć się u siebie. W miłości Ojczyzny i rodziny niema przeciwności, bo oba te uczucia są szlachetne, więc uszlachetniają, a każda miłość pocziwa nie zacieśnia serca, ale powiększa w niem zdolność kochania.

Inaczej się ma z zanikiem miłości, z nienawiścią: ta sprawdza atrofję serca; w niej rodzą się mikroby rozkładu i śmierci.

Ci którzy mówią, że miłość Ojczyzny opóźnia epokę miłości ludzkości, bo jest źródłem wojen i rozwoju militarizmu, łudzą się. Miłość nie rodzi nigdy nienawiści. Prawdziwa miłość Ojczyzny tak serca wypełnia, że niema już w nich miejsca na nienawiść. Szowinista może nienawidzić, patryjota tylko kocha.

Łudzą się — powiedziałem o tych apostołach kosmopolityzmu, cofam to zbyt pobłażliwe określenie. Oni nie siebie, ale nas łudzą. To są obłudnicy. Wiedzą, że bezkarnie tego czystego źródła zatruć nie potrafią, że w biały dzień okradać nas z miłości to zbyttnia bezczelność, więc mówią: »nie kochajcie Ojczyzny, ani rodziny, bo to jest krzywdą obowiązku miłości względem ludzkości«. Nie miłość jednak natchnęła ich tą gorliwością, tylko szatańska nienawiść miłości. Oni wiedzą dobrze, że kto nie nauczył się kochać rodziny i Ojczyzny, ten do żadnej już miłości zdol-

nym nie będzie, oprócz do miłości siebie samego, do niczem nieokiełznanego egoizmu.

Miłość Ojczyzny, któraby nie wyrosła na podłożu miłości rodziny, byłaby patryjotyzmem spaczonym i zwyrodniałym. Widzieliśmy nieraz w historii odstrasające przykłady miłości Ojczyzny, powstałej na gruzach religji, własności, rodziny. Ponure to bóstwo, mające zamiast kapłana i ołtarza — kata i rusztowania; zamiast czci i ofiarnej miłości — terror i rzeź. Oto Ojczyzna, jaką poniżenie rodziny nam przygotowuje!

Pojęcie rodziny wiąże człowieka miłością dożgonną z Ojczyzną, a wiąże tak silnie, że przeżywa od tej Ojczyzny wszystkie radości i smutki. Dumny jej chwałą, zbolały każdym jej upokorzeniem, gotowy pracą, ofiarnością, radą, krwią, służyć Ojczyźnie. Słodko mu jest, byle ją ocalić, poświęcić życie w obronie ognisk jej i ołtarzy. *Pro aris et focis*, a jeśli do tego dodamy kolebki, w których szczebioczą usta dziecięce i cmentarze, na których, snem wiecznym, śpią prochy ojców — oto wszystko, co wiąże człowieka z Ojczyzną. Usunięcie z Ojczyzny ołtarze, ogniska rodzinne, kolebki i groby — co w niej dla nas zostanie do kochania, do obrony? Nic! Pryśł czar Ojczyzny, została goła, zimna, abstrakcja; nie wskrzesi ona ani przywiązania, ani obrońców.

Kto nie potrafił uszanować ojca, ukochać matki, sióstr, braci, rodzinnego gniazda, ten w dziedzinie miłości jest nędzarzem i wyobrazić sobie nie można, by mógł pokochać Ojczyznę lub ludzkość. Kto nie był nigdy dzieckiem, ten nie potrafi stać się człowiekiem.

Sienkiewicz, w jednym z listów z podróży zauważył, że człowiek ledwo opuścił kraj rodzinny ubożeje, bo w pokoju hotelowym, chociażby najczarowniejszej miejscowości, ma uczucie, że jego własnością jest tylko kuferek i to trochę ubrań i bielizny, które ze sobą przywiózł; w Polsce — Polak, byle otworzył okno, wszystko do niego należy; ma uczucie zamożności i dumny jest ze swego bogactwa. Jest to bogactwo serca, kochającego swą Ojczyznę, a Sienkiewicz rzeczywiście był wielkim bogaczem, bo tą swoją miłością Ojczyzny wszystkich nas obdzielił.

Stwarzać zatem i wychowywać rodzinę — jest to stwarzać przyszłość społeczeństwa; bronić rodzinę — to bronić społeczeństwo, a udoskonalić rodzinę — to przygotować postęp ludzkości.

II.

Rodzina jest źródłem siły i bezpieczeństwa dla państwa. Jest źródłem ładu, spokoju, postępu dla społeczeństwa. Jest źródłem szczęścia, pociechy, nadziei, miłości, dla każdego człowieka.

A jednak władze ustawodawcze i rząd. społeczeństwo całe i każdy z nas przyczyniamy się do tego, by to źródło życia zmaćcić, by tę spójnię społeczną rozluźnić, by świętość tę zdeptać i zniesławić.

Od ogólników przejdźmy do faktów.

Co robi sejm i rząd? Oto każdym wydanem prawem, każdym administracyjnym rozporządzeniem podważa, podkopuje pojęcie o własności i szacunek dla tej zasady zagwarantowanej konstytucją, bez której rodzina istnieć nie może. Prawo spadkowe, danina, reforma rolna, ochrona lokatorów, to wszystko są zakapturzone konfiskaty i tylko pożyczki państwowe są konfiskatą otwartą, szczerą i cyniczną.

Prawa socjalne, które są prawami socjalistycznymi, to jest antysocjalne, pozbawiając uczciwego robotnika bezpieczeństwa, jeśli chce pracować, a opiekując się warcholstwem i próżniactwem, zniechęcają do pracy, do oszczędności, do troski o przyszłość dzieci, a zachęcają do używania, do egoizmu. Na co oszczędzać, ujmować sobie, kiedy niema pewności, że owoc pracy i rodzicielskiej miłości będzie można przekazać żonie i dzieciom?

Nadmierne podatki stabilizują wartość pieniądza, ale nie stabilizują rodziny. Jej wartość obniżyła się znacznie. By podjąć ciężarom podatkowym, wszyscy idą zarabiać. Dom opustoszał. A wychowaniem dzieci rząd się ma zająć, choć nauczycieli brak. O to, by nauczyciel oświecał, wychowywał, a nie gorszył, niema możliwości dbać, ani się troszczyć.

Czasu niema. Byle szkół było dużo, bo chodzi o demagogiczne hasło: szkoły powszechnej i obowiązkowej. O jakby to mądrze było, żeby ministerstwo finansów ulżyło rodzinom ciężaru podatkowego, a jako równoważnik zostawiło im ciężar wychowania dzieci z własnej pracy, własną troską i oszczędnością, tak jak im to Bóg przykazał, jako do tego mają prawo, jak to jest ich najświętszym obowiązkiem.

Wtedy moglibyśmy sobie wyrobić przywilej u własnego rządu taki, jaki zdobyli dla siebie, w traktacie Wersalskim, Żydzi, Niemcy, Rusini i Białorusini, przywilej pierwszorzędnej wagi, prawo wychowywania dzieci w szkole wyznaniowej w duchu własnej naszej wiary. Bo w Polsce tylko katolicy nie mają tego przywileju. Dziecko, którego nauczyciel uczy czego innego, niż go uczono w domu, przestaje wierzyć w Boga, w nauczyciela, w rodziców i staje się, nie obywatelem, ale nihilistą.

A kto wychowuje dzieci w szkołach? Rząd, żeby chciał nawet, nie może dać wierzących, gorliwych chrześcijan na stanowiska nauczycieli, najpierw dlatego, bo seminarja nauczycielskie takich nie dostarczają, ale także dlatego, że, przy naszej konstytucji, nie poziom etyczny, ale klucz partyjny, ale polityka stanowią o nominacjach, od ministra oświaty zaczawszy, aż do nauczyciela szkoły ludowej w Kaczym Dole.

Mówiono już nieraz o stowarzyszeniach nauczycieli, jawnie bezwyznaniowych, o których rząd wie, ale których nie wykreśla z etatu państwowego, bo usunąć ich nie ma odwagi, czy mocy. W takich warunkach przymus szkolny jest przymusem demoralizacji naszych dzieci, jest zbrodnią, popełnioną przez państwo przeciwko rodzinie.

W ostatnich czasach ustalił się zwyczaj, że prelegenci ilustrują przezroczami swoje wykłady. Ja pozwolę sobie zauważyć, że wypadki bieżące przychodzą mi w tem z pomocą i rzucają światło, jakże ponure, na przestrogi tu wygłaszane.

Wczoraj, przechodząc placem Napoleona, widzę nowo utworzoną księgarnię, noszącą nazwę »Księgarnia Nauczycielska«. W oknach wystawowych w prawdziwie prowokacyjny sposób piętrzy się piramida, kunsztownie ułożona, z jednej tylko powieści, tłómaczonej z francuskiego na polski język, widać specjalnie »ad usum« nauczyciela polskiego. Wiecie, Szanowni Słuchacze, wiecie ojcowie i matki, jaka to powieść? Oto ta, za której napisanie Akademia Francuska wykreśliła z swego grona bardzo zdolnego pisarza. Tytuł tej powieści »La Garçonne«, »Chłopczyca«. Wiem, że dla ogółu nauczycielstwa polskiego, sądzę, że dla Macierzy szkolnej, ta osobliwa piramida może być także jedną z piramidalnych niespodzianek, dziś na ulicach sprzedawanych, ale wiem także, że niema dymu bez ognia i gdyby nie było związków nauczycieli wolnomyślnych, gdyby Macierz, któ-

rej społeczeństwo ufa, trochę gorliwiej dbała o ducha szkoły, wtedyby księgarnia, nosząca tytuł »nauczycielskiej«, nie odważyła się nam dawać tak piramidalnego zgorzenia, wtedy pornografia nie widniałaby w jej oknach na naczelnem miejscu.

Jacy nauczyciele, taka ich literatura, ale niestety także — takie będą przyszłe, przez nich wychowane, pokolenia. Jaka siejba, taki plon.

A oto, drugi, świetny, choć nie świetlany, obrazek ilustrujący słusność obaw naszych co do korzyści oświaty, szerzonej bez podłoża religji i moralności. Dramat w gimnazjum Lelewela w Wilnie — oby wstrząsnął sumieniem narodowym! Straszne są dziś już wyniki egzaminów maturalnych. Społeczeństwo spodziewa się dojrzałości, a ze strachem spostrzega zgniliznę.

Dotykam bardzo pobieżnie tych wrogich wpływów na byt rodziny, w nadziei, że słuchacze dopowiedzą sobie w duszy, jak groźną jest w skutkach dla rodziny, a zatem dla Ojczyzny naszej konstytucja, oparta na demagogicznej zasadzie, która przewagę daje ilości nad jakością. Większość ludu jest analfabetą, więc nie lud u nas rządzi, jak mu to wmawiają, ale rządzą ci, którzy go bałamuca. Pochlebcy ludu, więc jego wrogowie i wyzyskiwacze. Wobec nieuczciwych, egoistycznych wpływów tych prowodyrów rząd nie może być silnym, ani działać rozumnie, bo tylko złe projekty praw przeprowadzać łatwo; dobre, użyteczne, rozumne, trafiają na przeszkody nie do pokonania, bo na złą wolę i na głupotę niema lekarstwa.

Co robi społeczeństwo w obronie rodziny? Pozwoliło na konstytucję pseudoliberalną, nie odpowiadającą, ani poziomowi kultury ludowej, ani warunkom politycznym kraju. Stare narowy odżyły w nas i nie dobro Ojczyzny, ale hasła złotej wolności przemogły.

Nie potrafiliśmy zdobyć się na obronę szkoły wyznaniowej, nie potrafimy przy układaniu kodeksu zawarować małżeńskiemu prawu jego sakramentalnego charakteru, zatem nierozzerwalności, nie zabezpieczymy praw ojca, nie otoczymy rodziny chrześcijańskiej należną jej od państwa opieką.

Już dzisiaj profesorowie, w gmachu uniwersytetu, mają odczyty, piszą dzieła, zmierzające do ułatwienia rozvodu, zrównania praw dzieci nieślubnych, nadania małżeństwu charakteru jedynie kontraktu cywilnego. Społeczeństwo nie reaguje, a sejm

lesnego i surowego sądu dzieci naszych, a surowszej jeszcze kary Bożej w wieczności!

Jeśli Bóg nie jest cementem rodziny, niema gniazda rodzinnego. Spójnia rodzinna wtedy zamienia się w kohabitację na prawach lokatora i sublokatorów. Dzisiejsze przepisy o ochronie ich praw zdają się utrwalac i sankcjonowac te falanstery, a wiemy jakie w takich mieszkaniach panuja stosunki.

M a t k a. Czasy dzis cięzkie. Matka nie chce cięzyc męzowi, to pięknie; chce przytem byc niezalezna — to juz mniej pięknie. Chce wolnosci — to jej prawo; chce uzyc zycia — to często znaczy naduzyc. Czasy sa cięzkie, cięzsze niz przed wojna, a moze tylko przed wojna nie bylo potrzeby tak bujnego zycia. Bo przeciez dawniej nie widziano na ulicy, w tramwajach, takiej ilosci bucikow o korkach nieprawdopodobnej wysokosci, tylu skórzanych torebek w ślicznie urękawiczonych rączkach, tylu ażurowych pończoszek; prawda, że dawniej byly one moze tylko mniej widoczne. Sklepy z zamorskimi delikatesami, krawcowe, perfumerje, bardzo sie ciesza z tej nowej konsumpcyjnej sily, która sie po wojnie uwydatnila.

Tak! kobiety zarobkuja pilnie, ale sila opiekuńcza przyslych obywateli kraju znacznie sie zmniejszyla. Pełno kobiet biega z tekami po ulicach, pełno ich w biurach, bankach, ale domowe ogniska przygasly. Nikt w nich siedziec nie myśli i nie chce. Ani ojciec, ani matka, ani dziecko. Bo matka przeciez, jak zarobi, jak sie napracuje, to wytchnac musi, odpoczac, rozerwac sie. Wiecekino, koncert, dancng, wizyty, stosunki, karnawał, sporty, letniska. Gdzie tu czas dzieci uczyc, dom ogrzac, ozdobic go swoja w nim obecnością?

Mody niemilosiernie brzydkie, a tak nieprzyzwoite, że wejście do kościoła w modnym stroju zostalo kobietom wzbronione. Niewolnicze, bezmyślne posłuszeństwo modzie, która, zmiarkowawszy swą władzę, staje sie coraz brutalniejsza w swoim despotyzmie. Nie chodzi juz jej o to, by ubrac; ona *rozbiera*; nie chodzi, by podnieśc przyrodzony wdziek kobiecey, przeciwnie, dąży tylko do zwrócenia uwagi, do zadziwienia radykalnym uniestwieniem estetycznej linii i proporcji ciała. W tej sali nie mam prawa wyraźniej wskazywac szczegółow tego zwyrodnienia smaku, tego zaniku uczucia przyzwoitości, do których kobiety dopro-

wadza balwochwalstwo mody, która sie poprostu pastwi nad swojemi ofiarami.

T a ń c e apaszowskie. Tańce, które byly dawniej ujawnieniem i emanacją wdzięku, wesołosci, młodzieńczej ochoty, dzis sa dziwnie nieestetyczne. Melodje taneczne — monotonne, dzikie, raziące, ale szczególniej widok tańczących — tak nieslychanie ponury, że zdaje sie nam, patrzac na wahadłowy i nie tyle ekscentryczny, jak koncentryczny ruch tej pary, że widzimy tańczacy — *c y n i z m z p r z e s y t e m*.

Mody te daly Paryzowi przyjaciółki apaszow i z bulwarow przedmiejskich wslizgnely sie one na bulwary glowne, a z tych bulwarow dopiero do salonow. Z domu przyszla ta elegancja! Tańce sa zamorskie, pochodza z Poludniowej Ameryki. Tańcza je tam Murzyni i majtkowie, którzy sie od nich tańczyć nauczyla, a panie uvažaja te tańce za dystyngowane, bo importowane »retour des Indes«.

Kościół gromi mody, Kościół zabrania tych tańców, ale bezskutecznie. Skuteczniejszym argumentem stac sie moze myśl, którą rzucam naszej płci pięknej, że mężczyźni, którzy tak łatwo nie zmieniają gustow, jak tego wymaga moda, moze zachowali dotąd przesady co do melodyjnosci muzyki tanecznej, co do upajajacego czaru walca, co do wdzięku rzeźkiego mazura, co do talji u kobiet tam, gdzie je Pan Bóg stworzył, a nie *quo non descendam*, aż gdzieś nad kolanami. Moze najwiekszym urokiem pozostaly dla nich skromnosć i godnosć kobieca. Mężczyźni nie zmienili swoich gustow i upodobań, a estetyczne *credo* apaszow ich nie obowiazuje. Oni chcą polską kobietę kochac, podziwiac i szanowac zarazem, a nie stawac przed nią oniemialymi ze zdziwienia, jak przed futurystycznym malowidlem, lub kubistyczna rzeźbiarką zagadki.

Kobiety kochac i szanowac chcemy, ale trzeba, zely i one tego chcialy i to nam umozliwily. »Bo kiedy chcemy okreclic niezachwiana odwage, heroiczne poswiecenie, szczodra ofiarnosć, najslodsza czulosć, najdziwniejsze zapomnienie o sobie, najwierniejsza miłosć, tę, która daje wszystko, co moze i nigdy w ofiarnosci sie nie wyczerpuje, jeśli chcemy nazwac tę silę, która w czlowieku najblizsza jest sily Bozej, bo w niej źródło swe czerpie, wymawiamy slowo: sercem matczynem«. Tak okrecilil wszechludzkie uczucie Ojciec Guibergues, Dominikanin. Ale takim

przedewszystkiem zawsze było serce Matki Polki, to serce wyśpiewane przez Mickiewicza; takim dotąd jest i takim niech pozostanie.

Taka miłość już nie łączy, ale stwarza jedność, a w małżeństwie, gdzie niema jedności, jest pojedynek, i grasująca dzisiaj epidemja rozwodów.

D z i e c k o. Bez ojca, bez matki, bez Boga, bez gniazda rodzinnego, bez wspomnień dziecińczych, bez przywiązania do rodziny, braci, sióstr, wychowany na koszt rządu, burs anonimowych, lub żebraczej kwesty, więc bez obowiązków wdzięczności względem kogokolwiek, syn ojca, którego nie widuje nigdy w domu, syn matki zawsze nieobecnej.

Wychowują dzieci rząd, skauci, sokoli. Ugruntowane już są podstawy do socjalizacji dzieci naszych.

Gdyby młode pokolenie Polaków otrzymać miało wychowanie koszarowe, zamiast domowego, spartańskie, zamiast polskiego, socjalne, zamiast chrześcijańskiego, zyskalibyśmy zapewne poklask wszystkich międzynarodówek, ale odwróciłyby od nas łaskawe oblicze swoje Królowa Korony Polskiej, bo Ona matką była na ziemi i matką zostanie na zawsze.

Nie społeczeństwo powinno wychowywać rodzinę, ale rodzina, jak tworzy, tak i wychowuje społeczeństwo. Jaka rodzina, takie społeczeństwo.

Ale u nas inaczej, inaczej, inaczej. Dziecko pyta się matki: Mamo, kiedy ja będę dość duży, żeby nie mówić pacierza, jak tatuś? Dzieci są w szkole, na boiskach, na wycieczkach, na zjazdach, kongresach, manifestacjach, pochodach, letniskach, wszędzie, tylko nie w domu. Nawet kiedy, zmuszeni głodem, wpadną na obiad do rodziców, sercem, myślą, pragnieniem są poza domem. Dom to niewola, to obowiązek, poza domem — to wolność, to prawo do życia.

Jarzmo obowiązku jest nieznośne dla dziecka, którego nie nauczone kochać Chrystusowego jarzma, któremu wszyscy mówią tylko o jego prawach. Rewolucja francuska ogłosiła o prawach człowieka: trzeba, żeby w umysłach naszych dokonana została jaknajprędzej druga rewolucja, któraby przypomniiała o istnieniu obowiązków człowieka.

W pogoni za wolnością, w pragnieniu użycia wyrabia się w młodzieży niczem nieokiełznany indywidualizm i zmaterjali-

zowanie, jako skutek wychowania bez religji. Matka wprawdzie uczy pacierza i religji, o ile sama zna katechizm, ale nauczyciel mówi dzieciom w szkole, że Boga niema, że nauka religji to brednie, a kiedy szuka u ojca wyjaśnienia tych sprzeczności, ojciec wobec obu opinij zachowuje życzliwą, a sceptycznie dyskretną neutralność. Dziecko zatem nikogo nie kocha, nikomu nie ufa, dla nikogo wdzięczności nie odczuwa, nikogo nie słucha, nikogo nie szanuje, rośnie przyszły nihilista i anarchista: »Co mówię rośnie, już wyrósł, już go wiedza uzbroiła, staje do matury z rewolwerem i bombą. Ciesz się Dąbalu!«

Taki jest wygląd wielu rodzin naszych. Przepaść nas dzieli od przeszłości. Nić tradycji zerwana, a najsmutniejszym jest to, że tego nieszczęścia, tej katastrofy, tego kataklizmu nie odczuwamy.

Sejm, rząd, społeczeństwo, opinja publiczna, literatura, dziennikarstwo, każdy ojciec, każda matka, każde dziecko, ja, ty, on, my, wy, oni — wszyscy przyczyniamy się biernie, albo czynnie, najczęściej i biernością i czynami do podkopania podstaw życia rodzinnego. Słodycz, wdzięk, wytchnienie domowej zagrody stały się dla nas martwą literą, mytem, legendą.

Stało się! Rodzina istnieć przestała. Na rubieżach naszych, za Bugiem, zgniła gorączka wielkie państwo zamieniła w trzęsawisko. Wiatr na Polskę idzie od wschodu, wiatr zatruty.

Przed wojną, w okresie niewoli i uciemnienia, pod rodzinnym dachem polskim lepiej się działo. Bóg zsyłał nam natchnionych duchownych wodzów i przewodników narodu i, dzięki nim, w ogniskach domowych nie przestał palić się znicz cnoty, tradycji polskiej i ducha katolickiego. Krasiński mógł pisać:

»Do serc wsmętnionych w cierpienia czyścowe
Wlewałś bicie, wśród nicestwa, nowe.
Wiecznieś nas kapał w jakiejś dziwnej cnocie,
Wrzekome z nas trupy, lecz duchy — w istocie.«

Przypomnijmy sobie. Mielśmy przecie Mickiewicza, Krasińskiego, Słowackiego, Odyńca, Malczewskiego, Syrokomlę, Lenartowicza, Asnyka, Wincentego Pola, Fredrę, mieliśmy z Tańskich Hoffmanową, Duchińską, Chodźkę, Korzeniowskiego, Kaczkowskiego, Rollego, Prusa, Sienkiewicza — wszyscy oni to krew krwi naszej i kość z kości, wszyscy są piewcami wiary, nadziei, miłości Boga i Ojczyzny, miłośnikami obyczaju chrześcijańskiego,

czcicielami tradycji i świętości gniazda rodzinnego. Oni tacy pełni byli, że śpiewają nam swojską pieśń, że wypowiadają nie swoje tylko, lecz polskie uczucie, tak dumni, że są spadkobiercami wielkiej, bogobojnej chrześcijańskiej kultury naszego narodu. Kilka lat minęło i dziś wydają się nam anachronizmem, przeżytkiem.

Wojna wywróciła świat do góry nogami, otworzyła najniespodziewaniej więzienie nasze i Polacy wyszli z kazamat na forum, a tak ich to tchnienie wolności odurzyło, że już o domu rodzinnym słyszeć nie chcą. Dość go mają. Porwani prądem życia, pochłonięci dniem dzisiejszym, nie myślą o jutrze. Upici czarą swobody, zapominają o ogromie obowiązków, które wolność nakłada.

Mówiliśmy o literaturze przedwojennej, którą czytały całe generacje z taką pociechą, wdzięcznością, z takim pokrzepieniem serc. Prawdziwie klasyczna to literatura, bo już dla nas starożytna.

»Kronika Rodzinna« umarła na suchoty i dobrze się stało, boby dziś »Kronika Rodzinna« musiała się stać kroniką skandaliczną. Szanowne to i miłe czasopismo zastąpione zostało — bo *tempora mutantur et nos mutamur in illis* — przez wytworne i reklamowane (autoreklamowane) pismo »Pani«. Wystarczy zobaczyć okładkę i ilustracje tego wydawnictwa, żeby zrozumieć, że pod tym tytułem »Pani« dodać można w nawiasie »Samica«, albo jednoznaczne określenie: »Gęś o pawich piórach«, ale niestety to czasopismo wiernie ilustruje przewrót, dokonany w społeczeństwie.

Miłość Ojczyzny w literaturze naszej jeszcze pulsuje i cieszy nas, bo zdolnych ma przedstawicieli, ale że uczucie to jest przyrodzone, nie w Bogu poczęte, nie przynosi ono ukojenia i pokrzepienia, rodzi raczej jakąś niezdrową egzaltację; więcej tam nienawiści względem sąsiadów i wrogów, niż ofiarnej gotowości kochania i służenia Ojczyźnie. Nie chcę wyliczać autorów i dzieł. Nie chcę nikogo gniewać, tem mniej komuś ubliżać, ale, kiedy pomyślę, jaka moc destrukcyjnych elementów pracuje nad rozprzężeniem ładu w Polsce, ilu siewców anarchji i nihilizmu tolerujemy, nie mając dosyć siły, czy odwagi, dosyć miłości Boga i Ojczyzny, by ustrojowi społecznemu dać za podstawę przykazania Boże, by zdobyć dla Polski rząd, rozumiejący niebezpieczeń-

stwo, nie już band dywersyjnych, ale ideologii demagogicznej i bolszewickiej, mam ochotę zawołać: *Caveant Consules!* bo idą na Polskę, nie *lux ex Oriente*, ale *tenebrae mortis*. Nie światło idzie ze Wschodu, ale ciemności śmierci.

Strachy na Lachy — powiedzą sobie w duszy słuchacze, i będą mieli słuszność. Być pesymistą dzisiaj, w oktawę pierwszego święta Królowej Korony Polskiej — to się nie godzi! Wróciła na tron Polski Matka Boża i Matka nasza, odwieczna patronka rodziny chrześcijańskiej, a z czią dla Niej powrócą do Polski dawny obyczaj, dawna świętość związku małżeńskiego, dawna nazaretańska tradycja w domach naszych.

»Wszak od wieków nie słyszano, żeby kto się do Ciebie uciekał, Królowo nasza, a miał być od Ciebie opuszczony«.

Opiece Twojej, Matko Chrystusowa, powierzamy życie rodziny polskiej.

Młodości! Ty nad poziomy wylatuj!...

Mowa wypowiedziana na uroczystym zebraniu w czasie I. ogólnego Zjazdu Związku Sod. Marj. uczniów szkół średn. w Polsce, w Częstochowie dnia 4 lipca 1925 r.¹

Młodzięży Polska! Zjechałaś się dzisiaj do tej twierdzy ideałów narodowych zapewne dlatego, by Królowa nasza, wobec grożących Polsce niebezpieczeństw, tę swoją przyboczną gwardję poznała i wiedziała, że na nią zawsze liczyć może. Chcieliście przed Tą łaskawą Panią chorągwie Sodalicyj pochylić, u stóp tej ukochanej Matki młode serca wasze złożyć i poprzysiąc wierność w Jej służbie.

O! jakże dobrze czynicie! Usłyszeliście głos Adama, tego ukochanego wieszczą narodowego, który woła do Was: »Młodości! Ty nad poziomy wylatuj«.

Kto chce wylądować na przeciwnym brzegu wartko płynącej rzeki, musi płynąć pod wodę i dążyć znacznie wyżej, by nie być przez prąd zniesionym w dół. Artylerzysta, chcąc w odległy cel trafić, także wyżej wierzyć musi, a młodość, jeśli o tem prawie przyrody zapomni, zostanie przez prąd pokus porwana, chybi celu życia.

»Młodości! Ty nad poziomy wylatuj«, bo dziś potrzeba tego górnego życia jest większą, niż za czasów Mickiewicza. Ze zmartwychwstaniem Polski cel życia młodzieży, nawet ten cel doczesny, stał się tak pięknym, że zdołować, przez obniżenie lotu, że chybić celu, przez zbyt poziome ambicje byłoby wielkiem nie-szczęściem.

Wojna, długim okresem trwogi, cierpienia, niewygód, wywołała potrzebę reakcji. Zmysły domagają się zadośćuczynienia i głośno wołają o swoje prawa, poziom duchowy się obniżył, a to dla młodzieży zły przykład i niebezpieczna pokusa. Otworzyły

się naścież drogi pracy i zasługi; wielu jednak, nie do pracy wypręża męskie ramiona, ale po emeryturę wyciąga żebracze ręce, nie o zasługę im chodzi, ale o nagrodę, nie o dobro Ojczyzny, ale o wygodne życie na jej koszt. By matce służyć, zbiegły się, nie dzieci, stroskane o jej dobrobyt, nie hufiec dzielnych obywateli. Widzieliśmy ze wstydem tylko długie ogonki karjerowiczów. Na tę biesiadę wolności — pierwsi stanęli pieczeniarze. Patrzysz się na to, Młodzięży polska, z oburzeniem i pilno ci pomnożyć ilość nie tych wyzyskiwaczy, ale szczerych sług Ojczyzny.

Nadzieja — to hasło młodości, bo to przywilej siły i zdrowia.

Jest źle, dlaczegożby dobrze być nie miało?...

Starsi wasi bracia, studenci polskich uniwersytetów, na skale Piotrowej stawiają fundamenta odrodzenia Ojczyzny, przez odrodzenie dusz własnych; wy chcecie iść za ich szlachetnym przykładem! Nigdy nie jest zawczasie rozpocząć tę pracę, bo:

»Dzieckiem w kolebce, kto łeb urwał hydrze,
Ten młody zdusi Centaury«.

Zduś w sobie hydrę zmysłowości, egoizmu, miękkości, próżniactwa, jest to nadać duszy hart niezłomny, bo »młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały«, a wykuć z siebie musicie rycerzy bez trwogi i skazy. Wrogów ducha polskiego jest coraz więcej, a bojowników dobrej sprawy — brak wielki. Patrzcie, Synowie Marji, jaki brak księży w Polsce, jaki brak powołań; ile ludzi łaknie myśli z nieba i odchodzą głodnymi, ile dzieci polskich, w braku kultury duchowej, dziczeje.

Polska była przedmurzem chrześcijaństwa; obowiązek ten spełniła i to jest jej chluba; ale powołaniem Polski było, a zostanie zawsze jej przeznaczeniem nieść światło i szczęście wiary katolickiej na Wschód. Tego obowiązku nie spełniliśmy, a to zaniedbanie okupiliśmy długą niewolą. Dzisiaj żal za grzechy nie wystarcza, trzeba poprawy i zadośćuczynienia, a jednak misjonarska praca odłogiem leży, bo ducha apostołskiego nie mamy. Dziś, kiedyście przybyli do Królowej Apostołów, do Matki Dobrej Rady, do Matki Łaski Bożej, módlmy się gorąco. Może który z was wyprosi tę wielką łaskę powołania dla siebie, dla kogoś z rodzeństwa swego, dla młodzieży polskiej. Módlmy się z ufnością o powołanie, bo dziś słucha i wysłucha nas Marja.

Ludzi brak wielki i to mroczy radość tych pierwszych lat

1. Drukowana w miesięczniku »Pod znakiem Marji«.

powrotu do życia naszej drogiej Ojczyzny. Brak ludzi, dorastających do miary obowiązków, ciężących na nas.

Prawa obywatelskie rozszerzyliśmy sobie, konstytucję, do maksymalnych granic, a minimalną jest u nas — kultura obywatelska. Naród pisze sam dla siebie prawa, ale długa niewola nauczyła go tylko — jak prawo obchodzić. Naród, w znacznej większości swojej, nie umiejący czytać i pisać, pożąda nauki, ale nauczycieli brak, a wychowawców prawie zupełnie niema. Naród wie od wieszczów swoich, że najwyższy rozum — cnota, ale cnotę wypielegnować można jedynie przy ognisku domowym. a węzły rodzinne są dziś rozluźnione. Wiele tej pracy dostało się w ręce niepowołane, wiele jej czeka i liczy na wasze ręce. Składajcie je dziś do modlitwy, zanim godzina czynu dla was uderzy, i proście o pomoc tej Orędowniczki naszej. Wierzmy, że ją zdobędziecie dzisiaj pielgrzymką, tym szturmem do Boga. Nie dotknęła was jeszcze pleśń samolubstwa, jesteście zdrowi na duszy i ciele, gromadzicie siły umysłowe i duchowe, jesteście bogactwem narodowym.

Mówiłem o braku ludzi, ależ mamy ich przed oczami, rosną, zbroją się w cnotę i wiedzę; będziecie odrodzeniem narodu... byleście ukochali — ideał.

Młodości szczęściem i cechą jest wesele i radość życia. Jeśli jednak młodzieniec żyje, a nie wie poco, posiada energję, a nie wie ku czemu ją skierować, pragnie szczęścia i nigdy pragnienia zaspokoić nie jest w stanie, cierpi, nie wiedząc dlaczego, a takich smutnych nastrojów wśród młodzieży jest wiele; powodem tego niepokoju i przedwczesnego przygnębienia jest uczucie, że szybki prąd życia nas porwał, że płyniemy bez steru, bez przewodniej gwiazdy, bo idziemy w życie bez — ideału.

Ideał — to świadomość Boskiego pochodzenia duszy naszej, szanowanie w sobie tego Bożego pierwiastka i dążenie do najwyższego szczęścia, do Boga.

Bóg jest Prawdą, Dobrem i Pięknem. Nieśmiertelna dusza ludzka jest nie ziemskim, ale Bożym pierwiastkiem i stąd pochodzi nienasycona tęsknota do dobra, prawdy i piękna. Tylko taką strawą nasycić ją możemy, tylko niemi powinniśmy ją karmić. Nie znajdziemy w tem ciągłym pragnieniu ukojenia, nie znajdziemy spokoju, ni szczęścia bez — ideału. Głód zmysłów zwozi, daje złe rady. Każę szukać radości w egoizmie, w dogadza-

niu sobie. To przynosi tylko przesyt i rozczarowanie, a im bardziej tym pokusom ulegamy, tem silniejszymi się stają biorą nas w niewolę, stajemy się ich ofiarami. Chcieliśmy doznać szczęścia, użyć życia, a namiętności nas zużywają i to życie nam marnują. Najszlachetniejsi ludzie i nieraz nawet męczennicy ideału, służąc wyłącznie tylko jednemu z promieni tego ideału, nie osiągają celu i marnują życie.

»Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną«, oto rozkaz, który nad poziomy porywa. Służyć Bogu — oto pierwsza powinność nasza; kto z Nim nie zbiera — rozprasza; a Bóg jest Prawdą, Dobrem i Pięknem; te trzy pierwiastki Boże, te trzy promienie ideału, ukochać trzeba, ale rozłączać ich nie można. Ci, którzy życie poświęcają Prawdzie, jak to czynią uczeni, jeśli poniewierają Dobrem i Pięknem, Prawdy nie osiągną, Bogu nie służą, szczęścia nie doznają, zasługa ich marną będzie. Kto szuka Dobra, a Prawdy i Piękna znać nie chce, zbłądzi, sobie i innym zawód zgotuje.

Artyści, malarze, rzeźbiarze, literaci, ci czciciele Piękna, jeśli nie wiedzą, że ich ideał nieodłącznym jest od Dobra i Prawdy, mogą uzyskać popularność, poklask gawiedzi, mogą błysnąć jak świętojańskie robaczki, przez jedną noc czerwcową, nieśmiertelności nie zdobędą, dlatego, że nieśmiertelnemu pragnieniu duszy ludzkiej zadość nie uczynią, bo »ze krwi, albo z woli ciała, ale nie z Boga« narodziło się ich natchnienie. Zapoznanie niezbędnej łączności tych trzech pierwiastków jest zdradą życia, zdradą nauki i sztuki, jest złą służbą Bożą.

Dobrze jest być filozofem, estetykiem, artystą, ale przede wszystkim — trzeba być człowiekiem. Nic nas od tego obowiązku uwolnić nie może. Genjusz nawet, jeśli uczciwym człowiekiem być przestał, tem szkodliwszym staje się wyrodkiem, tem większym dysonansem w harmonji świata, im większe ma zdolności.

Często w młodych latach, zwłaszcza przy wyborze powołania, popełniamy pomyłkę, która nam życie zmarnować musi. Wrodzone zdolności do matematyki, czy do języków obcych, ładny styl, ładny głos, ucho muzyczne uważamy za wskazówki powołania, pozwalające nam zaniedbać wszystko inne, tak w dziedzinie kultury moralnej, jak umysłowej. Sądzymy, że taka wybrana, ukochana karjera daje nam dyspensę od wszelkich obowiązków rodzinnych, obywatelskich, ludzkich. To błędne zrozumienie, czem

jest ideał, sprawia, że widzimy nieraz wielkich uczonych, zdolnych adwokatów, lekarzy, sławnych literatów i muzyków, rzeźbiarzy, śpiewaków, aktorów, nieraz cenionych i wysławianych, a jednak takich marnych, a więc takich nieszczęśliwych ludzi. Do nich się stosuje przestroga: »Co ci z tego przyjdzie, gdybyś nawet świat cały posiadał, jeśli duszę twoją stracisz«.

Żeby radość życia zdobyć, niedość jest mieć wzniosły ideał, bo widzimy ludzi dobrych, zacnych, kochających Boga i Ojczyznę, a jednak... takich niedołęgów, takich pesymistów. Zdaje im się, że są idealistami, a to są tylko marzyciele. Łatwiej jest marzyć, niż czynić. »Trudniej dzień dobrze przeżyć, niż napisać księgę«. Marzeniem się zadawalniamy i gdyby ono chociaż ich uszczęśliwiło, ale gdzie tam! Słyszymy, jak się wciąż skarżą. Mówią, że wszystko źle idzie, a jednak sami próżnują i do służby czynnej innych zniechęcają. Gdyby sami przyłożyć chcieli rękę do pracy ogólnej, zbliżyli się do ludzi pożytecznych, toby ich pokrzepiło, a przedewszystkiem nie mieliby tyle czasu na marzenia. Kto sam nie pracuje, ten nie widzi pracy innych, bo poprostu w innej sferze się obraca, zna tylko próżniaków. Kto nie buduje z innymi, ten dla uniewinnienia siebie czuje potrzebę wmawiać w innych, że budować nie warto, bo i tak wszystko runie. Kto ideał kocha, ale nie pracuje, żeby go wcielić w życie, ten jest chory, żyje w marazmie. Ideał wymaga wiernej służby, bo miłość to ofiara siebie.

»W pocie czoła pożywać będziesz chleb powszedni«. Pracować trzeba i warto, bo pracowników brak, bo wszystkie pola pracy leżą odłogiem, bo Ojczyzna nasza bogatą być może, a jest biedną. Pracować trzeba, bo w pochodzie cywilizacji zostaliśmy w tyle za narodami Zachodu. Dogonić je musimy, a dogonić nie łatwo, bo one silniej chcą i lepiej od nas umieją pracować.

Wiek wasz jest tem szczęśliwy, że poświęcony jest nie tej męczącej zarobkowej pracy; pracujecie na własną korzyść, uczycie się pracować. Tej nauki, jeśli teraz jej nie zdobędziecie, późniejsze życie wam nie da. Obojętne jest prawie, czego się dziś uczycie i w pracy wzmacniacie pamięć i wolę, uczycie się cenić czas i szafować nim roztropnie, wyrabiacie w sobie pilność, cierpliwość, wytrwałość, dokładność, obowiązkowość. Uczycie się myśleć i jasno te myśli wypowiadać.

Kto w szkolnych latach nie nauczył się pracować, ten nie-

tylko całe życie będzie niedoukiem, ale zostanie niedołągą, ciężarem sobie i innym, bezwartościową istotą. Pamiętajcie, że Słowianin mniej jest pracowity od zachodnich narodów, a położenie nasze polityczne i geograficzne zwiększa niebezpieczeństwo zafacowania naszej kultury, więc ten nowicjat, tę nazaretańską epokę życia wyzyskać musicie pilną nauką pracy. Na to, żeby praca stała się lekką, słodką i miłą, jak lekkim jest jarzmo Boże, trzeba ją spełniać z dobrą wolą, pogodnie, trzeba się do niej brać oburącz, nie od niechcienia. Dokładność, sumiennosc, terminowość — są nietylko pobudkami, ale uszlachetnieniem i nagrodą pracy. Pamiętać musimy, że atawistycznie obciążeni jesteśmy wadami, utrudniającymi nam współzawodnictwo.

Francuz jest jaśniejszy, ściślejszy w wyrażaniu myśli, jest dzielniejszy, sprawniejszy w pracy. Niemiec jest sumienny, dokładny, obowiązkowy. Chwalił się wprawdzie, że »Faustrecht«, że siła pięści jest źródłem powodzenia, ale się mylił. To barbarzyńskie hasło spowodowało dzisiejsze straszne upokorzenie i upadek jego potęgi. Siłą jego jest ta »Pflichttreue«, wierność obowiązkowi, ta wielka cnota narodu niemieckiego. Jeśli nie dorównamy innym ludom, tak w ilości, jak w jakości pracy, będziemy albo drugorzędnym, zależnym od innych, narodem, albo.. »sezonowem państwem«.

Ale jeszcze jedną cnotę wyprosić musimy. Polski naród słynie z odwagi i nigdy krwi swojej Ojczyźnie nie żałował, cywilnej jednak odwagi nie mamy i ten, który życieby dał za Ojczyznę, nie poświęci dla niej swojej popularności. Taki, który wierzy i kocha Boga, lęka się drwin kolegów swoich i kryje się z tem pięknem uczuciem, jakby z jakim wstydliwem kalectwem moralnem. Brak odwagi cywilnej jest płytkim egoizmem, który bardziej kocha siebie samego, niż Prawdę, Piękno, Dobro i Sprawiedliwość. Boi się sądu ludzkiego, nie boi się sądu Bożego.

Człowiek, który nie jest zawsze gotów wyznać swą wiarę, dać świadectwo Prawdzie, stanąć w obronie uczciwości, lub dobrej sprawy, zwalczać przewrotne zasady i działania szkodliwe, człowiek, który, dla świętego spokoju, lub w obawie utraty popularności milczy, kiedy mówić nakazuje mu sumienie, odchodzi, kiedy stać trzeba na stanowisku, taki człowiek, choćby pierś jego zdobił krzyż »Virtuti Militari«, obywatelskiej odwagi nie posiada, serce ma zajęte, duszę Piłata, zdolną do wszelkiego kom-

promisu, odstępstwa i zdrady. To nie człowiek, to chorągiewka na dachu. Gdzie niema odwagi cywilnej, tam niema zdrowej opinii. Gdzie niema opinii, tam wszelkie zło szerzy się bezkarnie.

W walce — a życie jest ciągłą walką — trzeba odwagi, ale odwagi, płynącej z pobudek nadprzyrodzonych, bo przecie i psy gryzą się odważnie. U człowieka źródłem odwagi być powinna miłość ideału i poświęcenia. Za co szanujemy odwagę naszych bohaterów, Żółkiewskiego, Czarnieckiego, Sobieskiego, Poniatowskiego, Kościuszki, ks. Skorupki, czy za to, że bili, siekli, że rąbali? Nie, kochamy ich za poświęcenie, za to, że cierpieć umieli, za śmierć poniesioną w obronie ideału.

Trzeba tylko zakosztować raz, jak szczerze Pan Bóg nagradza tych, którzy się Go nie zaparli, trzeba raz doznać, jak wielką radością jest zwycięstwo nad sobą, o ile więcej wart szacunek garstki zacnych ludzi, niż najszersza popularność, żeby się na zawsze wyleczyć z brzydkiej dwuznaczności słów i czynów, z oportunistu i małoduszności.

O odwagę cywilną pomódlmy się dziś do Królowej Wyznawców!

»Razem młodzi przyjaciele,
Bo w szczęściu wszystkich są wszystkich cele«.

Razem, bo przysłowie rusińskie mówi: »Hromada welykij czołowik« a my wielkimi być musimy. Kiedy Bóg w jedną miłość spoi ludzi, cudów dokonać mogą. Policzcie się, dzieci Polski, którzyście się zbiegli pod matczyne skrzydła Boga Rodzicielki, którzyście dziś wspólnie Boga miłości przyjęli serc waszych, poznajcie się między sobą, zbliźcie się, pokochajcie. Jesteście zarodkiem świętości, dzielności, siły ojczystej. Przez życie całe nie zapomnijcie o dniu dzisiejszym i o związanej tu konfederacji serc. Jesteście pierwszym zaciągiem gwardji Marji. Otwierajcie pochód wiekowy, załóżcie dziś fundamenta łączności w służbie Bogu i Ojczyźnie, ale wiedźcie o tem, że nie może być łączności bez samozaparcia i ducha ofiary, zatem bez... cierpienia.

Istota ludzka lęka się cierpienia i, bez pomocy Bożej, cierpieniaby nie zniosła. Ale ten sam Chrystus, którego łaska was tutaj przywiodła, sprawił, że Krzyż, to narzędzie tortury i hańby, oblany Krwią Jego Najświętszą, zamienił się w znak błogosławieństwa, w godło zwycięstwa. Krasiniński mówi: »Krzyż nam dałeś, lecz taki, co do gwiazd Twych zbliża«.

»Młodości, Ty nad poziomy wylatuj« i kochaj Krzyż; nie bój się cierpienia, bo ono jest nieznośnem tylko temu, który znośić go nie chce. O ile przyjmujemy go w wierze, że od Boga pochodzi, z pokornem *Fiat voluntas Tua*, o tyle w cierpieniu poznamy, że jest on tylko objawem troski Bożej o zbawienie nasze. Cierpienie jest to żelazo, palące w dotknięciu, ale cudownie gojące rany duszy, których sami nigdy uleczyć nie bylibyśmy w stanie. Wierźcie doświadczeniu starszych, którzy nie mają powodu do oszukiwania was; nigdy człowiek nie czuje wyraźniej miłosierdzia Bożego nad sobą, a pociech nadziemskich w duszy, jak w chwili, kiedy przyjmie bez szemrania, choćby najcięższy Krzyż.

Nic wielkiego, nic pożytecznego nie stało się, odkąd świat światem, bez ofiary, bez tej zgody z wolą Bożą.

Przez słowo *fiat* świat został stworzony. Przez *fiat*, które Anioł usłyszał z ust Najświętszej Panny, »Słowo stało się Ciałem i mieszkało między nami«. Chrystusa *fiat*, w Ogrodzie Oliwnym, okupiło grzechy całego świata, ale na to, byśmy z tego Odkupienia skorzystać mogli, sam Chrystus nauczył nas modlić się słowami: *Fiat voluntas Tua* i w tem słowie wręczył nam klucz do zbawienia i szczęścia wiecznego.

Jakiem szaleństwem byłoby nieprzyjmowanie woli Bożej, kiedy wiemy, że wolą Bożą jest zbawienie nasze, kiedy hunt przeciw tej woli jest — odrzuceniem zbawienia, więc — potępieniem!

Bez cierpienia dobrowolnie przyjętego niema życia, niema dobrobytu, niema bezpieczeństwa. Cierpi matka rodząc, cierpi żołnierz broniąc Ojczyzny, cierpi rolnik, pracując w pocie czoła, aby świat nie zginął z głodu. Gdybyśmy, przez hunt woli, przez szatańskie *non serviam* odrzucili cierpienie, sprowadzilibyśmy na siebie, na kraj, na ludzkość, cierpienia sto razy gorsze, nie dające się zmierzyć, chociaż dające się przewidzieć. Pierwsze *non serviam* straciło aniołów do piekła, drugie *non serviam* Adama pozbawiło go raj. Gdyby poraz trzeci wypowiedziane zostało przez ludzkość to huntownicze słowo, nie przyjmujące cierpienia, ziemia nasza w piekłoby się zmieniła. Dzisiejsza Rosja jest potwierdzeniem tego, co mówię. Ten kraj niedawno potężny, już w potocznej mowie, zyskał miano »bolszewickiego piekła«.

»Młodości, orla twych lotów potęga«. »Jako piorun Twoje ramię«, uderzać będzie jeśli pójdziecie razem, młodzi przyjaciele, razem, bo Zbawiciel powiedział: »Albowiem gdzie są dwaj, albo

trzej zgromadzeni w Imię moje, tamem jest w pośrodku ich«. Bądźcie więc zjednoczeni, aby Chrystus był z wami.

Razem, młodzi Polacy, bo na progu życia urwać musicie łeb hydrze niezgody domowej. Ona już raz Polskę zgubiła i znowu życiu jej poważnie zagraża. Pamiętajcie, że w Polsce narodziło się *liberum veto*, a ten upiór z Upity znów się płacze między nami. Mickiewicz mówi:

»Dobry mistrz w takim tylko chórze śpiewać lubi
Gdy czuje, że głos w harmonji się gubi«.

W Niemczech, w Belgji, we Francji, Austrii lud w kościele śpiewa tak zgodnie i cicho, jakby każdy się bał, by jego głosu nie posłyszano. W polskim, wiejskim kościele, kobiety zwłaszcza i dziewczęta, w bohaterskim wysiłku naprężają struny głosowe, jakby każda bała się tylko tego, by Aniołowie w niebie i Święci Pańscy jej właśnie głosu nie odróżnili i nie dosłyszeli. Polacy nie dorosli kulturą do chóralnego śpiewu. Każdy zespół, czy na chórze w kościele czy w radzie sejmowej, czy w czynie — to kofonja. Nazywamy tę niesforność indywidualizmem, bo teraz taka moda, że brzydkim rzeczom nadają piękne nazwy. Bandytyzm nazywa się dywersją, złodziejstwo nazywa się eksproprijacją: wielki to zaszczyt dla bandytów i złodziei, ale takie nazwy są narkotykiem, znieczulającym sumienie publiczne. My temu indywidualizmowi damy nazwę egoizmu, po polsku: samolubstwa i łatwiej nam będzie wtedy uchronić się od tej wady.

Nie gorsz się, młodzieży i nie gniewaj się na mnie. Nie twoje przywary wyliczam, ale moje, ale nasze, narodowe, dawniejsze. Mówię o przeszłości, a tyś — przyszłością. Mówię o wadach dawnych — dla przestrogi, bo atawistyczne obciążenie jest niebezpieczeństwem, choć winą nie jest.

O was, tu obecnych, jakżebych mógł źle mówić, źle wróżyć. Sam wiek wasz jest waszą obroną. Młodość wasza jest

»Tą krainą białą i otwartą,
Jak zgotowaną do pisania kartą«.

A to, że was widzimy w Częstochowie, pod sztandarem Niepokalanej Pani, dowodzi, że:

»Na tej karcie pisać będzie palec Boski
I ludzi dobrych używszy za zgłoski,
Skreśli tu prawdę naszej świętej wiary,
Że miłość rządzi plemieniem człowieczem
Że trofeami świata są ofiary«.

O, nie upominać, nie uczyć was przyszedłem, ale przeprosić, ale ukorzyć się wobec waszej wiary za moje częste zwątpienia, dziękować wam za przykład waszej pobożności, za to, że pozwoliliście mi was tu przywitać, że mnie tak pobłażliwie słuchacie.

Odczuwam radość Symeona, bo wasza wiara, wasza miłość — to nadzieja nasza. Widzimy z radością, że będzie komu przekazać pochodnię tradycji i powierzyć sztandar narodu.

Wstąpiliście na Jasną Górę, aby ślubować Marji, że życie wasze będzie jasne i górne: jasne — to czyste i niepokalane, górne — to jest dzielne i ofiarne.

My, starsi, przybyliśmy na tę rewję młodzieży katolickiej i z tej wyżyny widzimy wyraźnie, nietylko »to świata koło, jakie nam tępe zakreślają oczy«, ale wzrokiem, zwróconym ku Górze, wzrokiem nadziei w pomoc Marji, dla jej Sodalistów, ujrzeliśmy... *Salus Patriae. Sit Nomen Domini benedictum!* Witaj Jutrzenko zbawienia.

Sądzę, że nie nazwie mnie nikt samozwańcem, jeśli w imieniu starszej generacji, tak tu obecnej i dzielącej radosne wzruszenia moje, jak w imieniu całej Polski katolickiej wyrażę cześć i dziękczynienie tym zacnym Kapłanom i Przełożonym, którzy młodzież tę ku czci Marji pobudzili i dziś do Jej stóp przywiedli. Niech Święci Patronowie polscy, których apostołskiego ducha jesteście wiernymi spadkobiercami, wam błogosławią, jak my to czynimy i niech naród polski wam tej zasługi nie zapomni.

A do ciebie, szlachetna młodzieży, z równą pewnością, że mnie nikt tego za złe nie poczyta, w imieniu obecnych i nieobecnych, tak dziś stroskanych o losy Ojczyzny, wyciągam rękę, wołając: Bóg wam zapłać za zbudowanie i szczęść wam Boże na życia drogę!

Młodości, ty nad poziomy wylatuj! a ty Panno Święta, co Jasnej bronisz Częstochowy, błogosław tym dzieciom Twoim! Niech nigdy nie obniżają lotu!

O rozwodach w Polsce.

Przemówienie, wygłoszone w sali Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w 1925 r.

Trzeba, żebyśmy wyszli z tej sali przekonani, że odpowiadamy przed Bogiem i Ojczyzną za bierność, za ugodowość naszą wobec publicznego zgorszenia, które rozwody szerzą w kraju. Każdy powinien cicho, ale solennie, złożyć przed sobą samym przyrzeczenie, że będzie w miarę sił walczył odważnie z tymi, którzy płamią dobrą sławę narodu i mogą się stać przyczyną zguby jego.

Oby o fonetycznych wysiłkach dzisiejszych prelegentów nie powiedziano: *Vox, vox, preterea nihil.*

Słyszeliśmy, jak Kościół katolicki, jak święta nasza wiara zapatruje się na małżeństwo i na prawo rozwodu. Tłómaczono nam wymownie i przekonywująco, jakim niebezpieczeństwem jest rozwód dla człowieka, dla rodziny, dla Ojczyzny, dla społeczeństwa. Rzucone tu dobre ziarno niechaj nie padnie na błotnisty bruk ulicy, ale na urodzajną glebę duszy chrześcijańskiej narodu i niechaj w czyn dojrzeje.

Jakież te myśli mają u nas zastosowanie? Dlaczego Towarzystwo Piotra Skargi postanowiło publicznie poruszyć tę sprawę? Czy ona w kraju naszym jest aktualna? Niestety! Rozwody w Polsce od lat paru to straszna epidemia, na którą, jeśli nie znajdziemy lekarstwa, zginiemy.

Zło jest tak powszechne, tak oczywiste, że naiwnością byłoby dowodzenie o jego potwornym rozroście. Radość wskrzeszenia Ojczyzny omroczoną została smutkiem i wstydem. Powrót do niepodległości politycznej stał się jednocześnie powrotem do podległości tym samym grzechom, które nas zgubiły. Obyczaje XVIII wieku wznowiły się w Polsce, a ten wiek był przecie epoką kulinacyjną anarchii politycznej, zgnilizny obyczajów, zaniku ży-

cia rodzinnego, korupcji ogólnej, której wykładnikiem i dowodem były nietylko mnożące się rozwody, ale szczególnie to, że były one w społeczeństwie tolerowane. Zobojętnienie na widok zgorszenia, brak zdrowej reakcji, to są przedśmiertne objawy znieczulenia serc.

Małżeństwo nie jest sprawą poważnionych małżonków. Losy ich pożycia obchodzą ogół. Nie idzie tylko o trwałość ich rodziny. Małżeństwo jest instytucją społeczną, zapewniającą istnienie narodu i ludzkości.

Człowiek, w chwili kiedy przysięga wierność żonie, kobieta, oddając rękę mężowi, stają się ogniwem łańcucha społecznego i nie oni, ale ludzkość ma prawo wymagać tej nierozzerwalności. Zrywanie takich więzów jest zbrodnią nietylko męża, lub żony względem siebie, dzieci i rodziny własnej, ale naruszeniem prawa Bożego, ojczystego, społecznego. Małżeństwo nie jest umową między dwoma osobami tylko. Ono dotyczy się praw trzeciego, dla którego zostało zawarte, praw dziecka. Nie mogą ojcowie i matki dla własnych zachcianek lekceważyć praw dzieci, przyznanych im przysięgą o nierozzerwalności małżeństwa. »A iż cię nie opuszczę aż do śmierci — tak mi Boże dopomóż«.

Państwo, które małżonków zwalnia od tej przysięgi, jest uczestnikiem zbrodni, popełnionej przez silnych, pełnoletnich rodziców, nad słabem ich dzieckiem.

Te zamachy przeciwko świętości i czystości gniazda rodzinnego, przeciwko łaadowi społecznemu i dobrej sławie naszego narodowego obyczaju, ta zaraza rozwodów nietylko wzmagają się, ale staje się chroniczną, chce używać w Polsce pełni praw obywatelstwa. Mnożą się rozwody w sposób przerażający; nieraz w jednym dniu dowiadujemy się o paru nowych faktach. Ostatnie cztery lata dały każdemu z nas, wśród jego znajomych, krewnych i bliskiego otoczenia więcej wypadków rozwodowych, niż naliczyć ich mogliśmy dawniej w ciągu całego życia naszego.

Wieści chodzą, że ci, którzy zajmują się ułatwianiem przejścia na inne wyznanie, w celu uzyskania nie istniejącego w religji katolickiej rozwodu, że ci, usłudźni pośrednicy apostazji, budują, lub już wybudowali kilka własnych domów w Warszawie, co dowodzi, że ich praca jest nietylko budującą, ale intratną. Adwokaci specjaliści też robią na tem duże majątki.

Mówiono tu tylko o rozwodach, a jednak mówić muszę

także o anulacjach, tych mianowicie, które chociaż przez Kościół zatwierdzone, zostały zdobyte przez nadużycie dobrej wiary sądów konsystorskich, to jest przez kłamliwe dokumenty i krzywoprzysięstwa świadków.

Il ne faut pas être plus papiste que le Pape. Roma locuta, causa finita; ja jednak sądzę, że społeczeństwo, które patrzyło na życie prawujących się małżonków i wie dobrze co się dzieje poza salą sądową, ma prawo, ma nawet obowiązek, wypowiedzieć swoje *votum separatum*, właśnie ze względu na szacunek i przywiązanie do Kościoła.

Sądy duchowne, uznając małżeństwo za nieważne, nie ponoszą w sumieniu swojej odpowiedzialności, tak, jak spowiednik nie jest winnym, dając rozgrzeszenie penitentowi, który świętokradzkiej dopuścił się spowiedzi. To oszukanie trybunału jest tem cięższą winą, że popełnioną bywa przeważnie przez osoby społecznie wysoko postawione.

Ludzie niezamożni zdobywają rozwód, a nie anulację, bo nie mają dość pieniędzy na przekupywanie świadków, a choć, dla otrzymania rozwodu, porzucają religję katolicką, zgorzenie, które dają, jest mniejszem, bo przykład zmiany religii jest raczej odstrasżający; zresztą niski poziom ich społecznego położenia czyni niedostrzegalnym odstępstwo od takich osób i haniebny ten czyn ledwo że notuje kronika wypadków bieżących.

Zamożni ludzie natomiast szukają zerwania ciężących im więzów małżeńskich przez anulację. Rozwód, jako połączony z gorsząca wszystkich apostazją, szkodzi ich stosunkom towarzyskim, położeniu społecznemu. Anulacja zaś, unieważniając małżeństwo, osłania ich reputację. Ale gorszenie jest tem większe, kiedy wszyscy krewni, znajomi, całe otoczenie, unieważnionego małżeństwa zna zgóry nazwiska i imiona przyszłego męża i przyszłej żony rozchodzących się małżonków, kiedy wiedzieliśmy wszyscy, już przed anulacją, że tu nie chodzi o unieważnienie małżeństwa, tylko o ulegalizowanie niewierności męża, lub żony, albo obojga razem.

Potępiając korzystających z anulacji, nie mówię ma się rozumieć o tych, którzy ją otrzymują z powodów słusznych i uczciwie przedstawionych. Takie ofiary fatalnego dla nich zbiegu okoliczności zasługują na najżyczliwsze współczucie, a nie na wyrzuty.

Ci jednak, którzy dla złamania przysięgi wybierają drogę nie rozwodu, lecz unieważnienia małżeństwa na mocy fałszywych aktów i korupcji świadków, ci, nietylko dlatego, że łamią przysięgę wierności, że oszukują sądy kościelne, skłaniają do krzywoprzysięstwa innych, ale szczególnie dlatego, że zwykle należą do sfer najwyższych, stają się przez to najwyższymi gorszycielami.

Występek popełniony w górnych sferach społecznych jest zabójczym nieraz dla całego kraju, dla całej epoki nawet. Za brudne życie rodzinne Ludwika XV jego niewinny następca, cnotliwy Ludwik XVI, życiem przypłacił. Upadek monarchji, zbrodnie rewolucji — to tylko nieuniknione skutki zaniku cnót rodzinnych. Panujący wyrzekł się wstydu, pokalał swoje gniazdo, a za jego gorszącym przykładem poszedł naród cały i Francja... zachłysnęła się krwią monarchji i najszlachetniejszych synów swoich.

Podkreślić to musieliśmy i niech do was ta przestroga doleci, panowie i panie, którzy, postawieni na świeczniku społecznym, obdarzeni wszystkimi przywilejami urodzenia, wychowania, tradycji katolickiej, majątku, chciecie przykładem swoim odchrześcijanić nam Polskę. Sądźcie, zaślepieni namiętnością, że przykazanie Boże stoi na drodze ku szczęściu, za którym gonicie. Nie krępuje was to, że przyczyniacie się do upadku moralnego narodu naszego.

Nie tędy droga do szczęścia, bo w środowiskach poróżnionych z prawem Bożem, niema małżeństwa, tylko konkubinat, niema szczęścia rodzinnego, ani spokoju sumienia, niema nic, prócz... zwierzęcych instynktów. Oby też nie było dla was miejsca w społeczności naszej, w domu polskim, aż do opamiętania waszego i oby to opamiętanie nastąpiło prędko, bo przepaść jest przed nami.

Prawo Boże, które daje życie, zabija odstępców. Narody, przeciw prawu temu zbuntowane, giną!

Dzień dzisiejszy poświęciliśmy, nie dla nawrócenia rozwiedzionych, lub ostrzeżenia mających zamiar się rozwodzić. Mamy nadzieję nawet, że takich na tej sali niema, a gdyby i byli, trzeba by szczególnego cudu łaski Bożej, by słowa nasze obudziły w nich sumienie. Nie o nich chodzi, nie przemawiamy w tej chwili do tych wyjątków, do tych wyrzutków, ale do ogółu. Ra-

tujmy rodzinę, strzeżmy dobrego obyczaju społeczeństwa, brońmy dzieci nasze od widoku zgorzenia, nie gorszmy ich sami naszą obojętnością na szerzącą się zgniliznę. Przez szacunek dla prawa Bożego, w imię troski o byt, o siłę, o przyszłe życie święto zmarłychwstałej Ojczyzny, w imię czystości i świętości naszych gniazd rodzinnych, wyrzucmy z życia towarzyskiego te miazmaty rozkładu, te zgniłe odpadki społeczne. Zamknijmy domy nasze dla tych, którzy podeptali przykazania Boże i taką krzywdę, taki wstyd przynoszą dobrej sławie narodu.

Zebrałiśmy się tu nie na to, aby gorszyć. Budować chcemy — Towarzystwo Piotra Skargi nie głosi nauki przeciwnej nauce Chrystusa.

Pamiętamy, że ten tylko ma prawo rzucić kamieniem, kto sam jest bez winy. Wiemy, że Chrystus łotrowi obiecał niebo za pierwsze uczucie skruchy. Dobroć Zbawiciela, który przyjaźnią swą Boską zaszczyca i uszczęśliwia jawno grzesznicę Magdalę, wzrusza nas głęboko i ufność budzi. Jakże więc śmiemy potępiać? Jakże my, grzeszni i pełni win, możemy się odgradzać od takich, jak my sami, ułomnych, zamykać im domy nasze i serca? Domy tak... serca nigdy! Głosimy naukę Chrystusa, więc naukę miłości. Miłość — dla grzeszników, ale nienawiść, ale pogardę — dla grzechu! Nienawidzić grzech i zgorzenie powinniśmy, jeśli dbamy o chwałę Bożą, o błogosławieństwo Boże dla naszej Ojczyzny.

Kochać powinniśmy grzesznych, tak jak ich kochał Zbawiciel, ale obojętność na ich wykroczenia, ale przejście do porządku dziennego nad ich zbrodnią, to tylko utrwalenie ich samych w błędzie, to grzech przeciwko miłości ich dusz nieśmiertelnych, a jednocześnie obojętność dla szkody, którą przynoszą otoczeniu i krajowi. Chrystus kochał grzeszników, ale pokutujących, ale nawróconych.

Osoby rozwiedzione, jeśli udadzą się do nas o poradę, o pomoc, jeśli zapragną winę swą naprawić, pojednać się z Bogiem, za zgorzenie zadość uczynić szczerą pokutą, życiem ofiarnym, budującym, pokornym, powinny doznać od nas serdecznej pomocy, pełnej radości, wyrozumiałości i szacunku. Ale te same osoby, jeśli, podeptawszy prawo Boże, opinię uczciwych ludzi, zdradziwszy męża, lub żonę, porzuciwszy i skrzywdziwszy własne dzieci, dla zadośćuczynienia swym chuciom, kiedy wiemy, że

lekceważą przysięgę i dobrą sławę, jeśli tym osobnikom pozwolimy, po dokonaniu rozwodu, zajmować w kraju, w mieście, w życiu towarzyskiem dawne stanowiska, kiedy nasz do nich stosunek będzie taki, jakby nic nie zaszło, co by im praw do czci społecznej ujęło, toby dowodziło tylko, że tej czci społecznej nie ma już w Polsce, lub że o nią nie dbamy.

Narody rosną lub upadają w miarę tego, jak wznosi się lub obniża poziom obyczajności w rodzinie, a wszystkie wielkie wstrząśnienia i kataklizmy społeczne były zawsze tylko skutkiem nieładu lub rozkładu życia rodzinnego.

Leon XIII, w swojej Encyklice »O małżeństwie«, powiedział: »Nic tak nie niszczy rodziny, nic tak nie podkopuje istnienia najpotężniejszych królestw i państw, jak zepsute obyczaje. Rozwód, ten objaw rozwiązłości w życiu narodu, jest najgroźniejszym wrogiem rodzin i państw, bo otwiera szeroko wrota, jak nas poucza doświadczenie, przewrotnym obyczajom, tak w prywatnym jak i w publicznym życiu«.

Sądzę, że dla katolików to określenie i ta nauka wielkiego papieża o niebezpieczeństwie rozwodów będzie wystarczającą i miarodajną. Obowiązki naszej litości, czy wyrozumiałości dla jednostek winny ustąpić przed obowiązkami względem dzieci naszych i domowników. Jeśli plantacje miejskie powierzone są opiece publiczności, to o ile słuszniej jest, byśmy stali na straży dobrego imienia, dobrej sławy naszego towarzyskiego i narodowego życia. Nie można dorobku kultury moralnej całego narodu poświęcać przez wzgląd na zbuntowane przeciwko porządkowi społecznemu jednostki.

Zerwać musimy od dziś z tą apatią naszą, z tem znieczuleniem sumienia społecznego, które sprawiło, że niespokojny i niepewny siebie wzrok tych jawno grzeszników, spotykając tylko uprzejmą tolerancję i dyskretne milczenie, stawał się zuchwałym i bezczelnym. Rozwiedzeni i rozwódki prowadzą dalej życie towarzyskie, rozpierają się w salonach, nie swoich już tylko, ale naszych, wkraczają do sanktuarjum naszych ognisk domowych, lub nawet, o wstydzie! mają ambicję do przedstawicielstwa narodu, do rządzenia ludźmi, mimo, że sami są czynnikami nierządu i anarchji.

Na zakończenie przytoczę jeszcze jeden argument, który może nas przekonać, że nie surowy sąd jest grzechem w tej

ważnej sprawie, ale raczej pobłażliwość jest uczestnictwem w zbrodni.

Wiemy czem była Rosja. Patrzmy czem jest dzisiaj! Oto najpotężniejsze państwo, o którego władcy pisał Mickiewicz: »Gdy poselstwo paryskie twoje stopy liże«, o którego przyjaźń starały się i zabiegały wszystkie najkulturalniejsze narody świata, dziś stało się krainą parjasów, która eksportować tylko umie, chce i może zbrodnię, korupcję, szpiegów i anarchistów, a importuje pogardę, odrazę i oburzenie świata. Carat samowładny, religja narodowa, cała hierarchja państwowa, cała potęga militarna, cała zamożność prywatna i publiczna, bogactwa naturalne, handel, przemysł, życie naukowe, literackie, artystyczne — wszystko to istnieć przestało, lub też dogorywa w agonji. Samowładcą tego olbrzymiego kraju obecnie jest — terror. Płyną rzeki krwi i łez, a tylko czerezwyczajki, głód i choroby zmniejszają liczbę cierpiących.

Jaka jest geneza tej katastrofy, nie mającej sobie podobnej w historii świata? Oto nie sprzeciwianie się złu! Lew Tołstoj wyśpiewał antyfonę do tej orgji, która ojczyznę jego zamieniła w piekło. Cygańska pieśń, która była kołysanką tego nieszczęśliwego narodu, wyniańczyła dzisiejszy nihilizm. Przysłuchiwali się jej wszyscy, dygnitarze i arystokracja, popijając szampańskie wino, zachwycał się urzędnik i nauczyciel przy kufiu piwa, robotnik i wyrobnik — przy kieliszku wódki.

Jakież były słowa tej piosenki? »Zachocz — polublu, zachocz — rozlublu«, zatem hymn wesela i jednocześnie rozvodu. Co za wygoda! Pieśń, jakby na dzisiejsze czasy stworzona. Ale były i inne zwrotki, równie wesołe w tonie, jak bezbrzeżnie smutne w treści: »Plewat' na cwiety i na maj. Trin — trawa!«

A podstawowym motywem każdej piosenki, jej duszą, było to wielkie wszechrosyjskie »niczewo«, ta obojętność na zło, ta wyrozumiałość dla zbrodni, ta apoteoza wyuzdania, którą się szczycił naród, jako objawem »szerokiej rosyjskiej natury«, a była to tylko szeroka, bezdenna próżnia, którą się brzydzi Bóg i przyroda. Ona to zwabiła Lenina i Trockiego, którzy wypełnili tę próżnię aż po brzegi krwią i błotem. Ona to tak obezwładniła naród, że 200 zbrodniarzy zamordowało cara i jego rodzinę, zbeszcześciło cerkwie, ograbiło ze wszystkich skarbów moralnych stumiljonowy naród. Niezdolność do potępienia zła, brak dogmatu

w życiu prywatnem i publicznem, tolerancja zbrodni, taką otrzymuje karę, do takiego upodlenia doprowadziły wielki, zdolny, dzielny, sympatyczny naród.

Sądzę, że mało kto wie, od czego Sowiety rozpoczęły kodyfikacyjną pracę ustroju społecznego. Ponieważ chodziło im nie o ustrój, ale rozstrój społeczeństwa, zaczęto od utworzenia i ogłoszenia prawa o małżeństwie. To prawo czytałem, i sądzę, że żaden rachunek sumienia, w najlepiej ułożonej książce do nabożeństwa, jaśniej nie wytłómaczy zbrodni rozvodu i pobłażliwości dla niego, jak ta nowela, która nosi na sobie jakby odcisk pazura szatańskiego.

Nie wolno nam lekceważyć tej pogładowej nauki, której nam Bóg w miłosierdziu swoim udziela. Patrzmy na tak bliskie wrota tej gehenny, aż zobaczymy nad nimi:

»Ze z dni tych wszystkich wybranej kolei
Wyrasta napis: Tam niema nadziei.«

Ale my nadzieję mamy, bo mamy wiarę, mamy miłość Boga, a im większą boleścią jest dla nas dzisiejsze rozluźnienie obyczajów, tem wierniej trzymać się postanawiamy dekalogu, tem odważniej bronąć będziemy ognisk naszych przed wkradającą się zarazą, a sumień naszych strzec przed znieczuleniem na obrazę Boską.

Legenda niesie, że Piastową chatę odwiedzili aniołowie w zaraniu naszego narodowego bytowania i swoją obecnością uświęcili domowe ogniska polskiego plemię. Oby pobożny obyczaj rodzinny, tak długo przechowywany w domach polskich, trwał nieprzerwanie, abyśmy wiecznie czuli nad sobą i rodzinnem życiem naszym anielską obecność i opiekę.

Czytamy w »Kurjerze Warszawskim«, że magistrat wysłał delegatów swoich zagranicę, dla studjowania sposobów utrzymania w czystości ulic Warszawy. Magistrat spełnił swoją powinność, a teraz na nas kolej. Pilnujmy, by czysto było już nie na ulicach tylko, ale w rodzinie, w sumieniu, w obyczaju naszym.

Precz z gorszycielami — dopóki się nie nawrócą. Niech wiedzą, że są wyrzutkami społeczeństwa, a ci, których dziś kusi, lub w przyszłości kusić będzie skalenie gniazda rodzinnego, niech będą ostrzeżeni, że niema dla nich miejsca w domach polskich. Niech jadą na Wschód. Tam znajdą pobłażliwość i wyro-

zumiałość dla każdej zdrady, dla każdego upodlenia i zezwierżenia. Tam, gdzie niema już Boga, niema Ojczyzny, niema rodziny, tam ich miejsce. Nie u nas. My chcemy Boga!

Towarzystwo Piotra Skargi zapisze w kronikach swoich dzień dzisiejszy, jako jeden z najszcześniejszych, jeśli słowa tu wypowiedziane nie będą głosem wołającego na puszczy.

Moralność katolicka w życiu publicznem i prywatnem.

Odczyt miany w sali »Theologicum« w Warszawie w r. 1926.

Moralność jest warunkiem siły i zdrowia, tak poszczególnych ludzi, jak społeczeństw. Bez moralności niema ani szczęcia w sumieniu ludzkim, ani jedności w rodzinie, ani potęgi w narodzie.

Posłuszeństwo przykazaniom Bożym i kościelnym ściśle obowiązuje nie tylko każdego człowieka, ale każde społeczeństwo i państwo, bo gdyby prawa społeczne czy państwowe sprzecznymi były z prawami moralności osobistej, zmuszałyby ludzi do wykroczenia przeciwko prawu Bożemu, co byłoby szczytem despotyzmu, bo gwałtem nad najświętszą ze swobód, nad swobodą sumienia. Harmonja społeczna to nic innego, jak etyka publiczna, na gruncie etyki prywatnej wyrosła.

Wola Boża jest jedynem źródłem prawa, świętem i czystem, bo nie zmaconem namiętnością ludzką, niezależnem od przypadkowych wyników głosowania, ale owszem kieruje sumieniem głosujących. Poznać tę wolę Bożą, ukochać ją, według niej żyć — oto obowiązek najpierwszy człowieka i obywatela.

W żadnem państwie, a tem bardziej w państwie o ustroju demokratycznym nie będzie obowiązywać prawo Boże, jeżeli ono nie stało się podwaliną życia większości obywateli.

Konstytucja nasza, dająca prawo czynnego i biernego udziału w wyborach wszystkim obywatelom, niezależnie od ich oświaty, wychowania i uzdolnienia, nie jest kwiatem rodzimej kultury, ani owocem narodowej dojrzałości, ale porewolucyjnym grzybem, wyrosłym na trzęsawiskach bolszewickiego potopu, bo chociaż lubelska rzeczpospolita trwała tyle, co piorun wśród burzy i zmiecioną została jednym odruchem oburzenia narodowego, jednak pierwiastki jadu, przez nią zaszczipione, w ustroju

naszym pozostały. Ręce uzurpatorów lubelskich chwyciły za ster nawy państwowej i poważyły się nawet swoim sztandarem zbeszczyć królewski Zamek stolicy.

Mamy zatem dziś konstytucję taką, jakbyśmy byli najbardziej uspołecznionym w świecie narodem, który pozwolić sobie może na wszelką wolność, bo pewnym jest, że prawo Boże będzie nim rządziło.

Czy Polacy tak rozumieją wolność?

Demokratycznym jest nasz ustrój państwowy. Polaku, rodzisz się prawodawcą. Rozumieć powinien jak ciężką odpowiedzialność ten przywilej kładzie na umysł twój i na duszę twoją. Od rozsądku, od uczciwości, od uczucia sprawiedliwości, od odwagi, z jaką będziesz bronił przekonań twoich i postulatów sumienia, zależeć będzie dobra sława i dobra wola narodu twego.

Prawodawca powinien mieć uczucie sprawiedliwości, bo *justitia regnorum fundamentum*. Sprawiedliwym być winien względem Boga, to jest uległym Jego prawu i stróżem przywilejów Jego Kościoła. Sprawiedliwym względem ludzi, a więc winien być ochroną wolności, a nie swawoli, stróżem praworządności, opiekunem rodziny, własności. Każdy ucisk, każda niewola powinna u niego znaleźć ratunek, każda użyteczna inicjatywa poparcie. Sprawiedliwym być winien względem siebie, to jest czuć się sługą Boga, Kościoła i kraju.

Czy te obowiązki znane są dzisiejszym przedstawicielom woli ludu, czy czują oni, że, prócz przywileju nietykalności, mają także obowiązek czystości sumień i czystości rąk? Wszak w Sejmie gotuje się przyszłość narodu, posłowie zatem, jak kuchmi-strze, powinni być odziani w fartuchy niepokalanej białości.

Wszystko, co tu powiedziałem, przeciwko ultra-demokratycznemu ustrojowi naszego kraju, nie jest krytyką zasady demokratycznej.

Nigdy nie będzie idealnej formy rządu, póki ludzie doskonałymi nie są. Apoteoza monarchji, czy rzeczypospolitej jest zawsze przesadą i subiektywizmem. Natomiast niema nic łatwiejszego, jak wykazywać wady każdego ustroju. Ludzkie oczy przecie żdźbło nawet w cudzym oku zobaczą, choćby belki we własnym nie widziały.

Jest jednak w ustroju demokratycznym o jedno niebezpieczeństwo więcej i jakby o jeden hamulec mniej w traktorze pań-

stwowym. Kiedy monarcha mówi: »Ja, z woli Bożej«, rzeczpospolita mówi: »Ja, z woli ludu«. Nad monarchą hamulcem jest — wola Boża. Nad wolą ludu — niema hamulca. On sądzi się być najwyższą instancją.

A te formułki nie są czczym frazesem, one są streszczeniem radykalnego przeciwieństwa co do źródła prawodawczej władzy, w tych dwóch ustrojach. Monarcha, kiedy mówi: »Ja z woli Bożej«, tem samem uznaje, że on nie jest źródłem prawa. Prawo jest nad nim. Istnieje zatem sprawdzian legalności jego władzy, jego postanowień, a tym sprawdzianem są przykazania Boże. On nie może naruszać prawa Bożego, przecież rządzi Bóg przez niego.

Wiemy, że nie zawsze monarchowie o tem pamiętali, bo oni także byli ludźmi, a jednak wielką otuchą jest, gdy prawodawca tę zasadę zależności swojej uznaje, bo to wzmacnia urok jego władzy, ułatwia poddanym szacunek i posłuszeństwo prawu, bo dla rządzonych jest podstawą legalnej obrony przeciw nadużyciom władzy.

Demokratyczny ustrój, który mówi, że plebiscyt jest źródłem prawa, że *voluntas populi suprema lex* jest takim pogwałceniem prawa naturalnego, tak despotyczną negacją sprawiedliwości, że długo ostać się nie może.

Wiemy dziś, ze smutnego doświadczenia, że ciała prawodawcze, ten rezultat pięcioprzymiotnikowej ustawy wyborczej, przedstawiają wolę narodu jakby w krzywym zwierciadle odbitą, uwypuklając jedynie tego narodu wady i braki, a jednak one będą normować przez długie lata całe duchowe i materialne życie nasze.

Arytmetyczna większość, jako jedyny sprawdzian sprawiedliwości i rozumu zapadłych postanowień byłaby niebezpieczną zasadą, nawet w najbardziej kulturalnych krajach, u nas, w kraju analfabetów, jest monstualnym absurdem.

Nie mówię, że ustrój demokratyczny jest niemożliwym, mówię tylko, że źródłem prawa winna być, nie wola ludu, ale wola Boża.

Dwa są tylko kodeksy, z pod których wyłamywać się nikt nie ma prawa. Jeden, wydany na górze Synai, przez Stworzyciela i Władcę świata, drugi — z Góry Błogosławieństw, wygłoszony usty Boga-Człowieka. Ten tylko naród, który swoją pra-

wodawcą władzę czerpać będzie z tych źródeł: sprawiedliwości i miłosierdzia, dojrzałym jest do rządzenia sobą.

Jakże i kiedy rządy były sprawowane w «imię Boże», jakże wierzyć tej hypokryzji?

Czy Ludwik XIV w imię Boże mówił: *l'Etat c'est moi*? Czy monarchowie niemieccy w imię Boże przemawiali przez usta swoich kanclerzy, głosząc, że »siła jest przed prawem«, że traktaty są »świstkami papieru«? Czy z Bożego natchnienia Aleksander II wyrzekł w Warszawie: »Point de réveries?« Aż nadto słuszne są te wątpliwości, ale one tylko potwierdzają zasadę, że Bóg nierychliwy, ale sprawiedliwy.

Za buntowniczy aforyzm dziadka swego, Ludwik XVI głowę przyplacił, a monarchowie Niemiec i Rosji, »ze swojej mocy już odpancerzeni«, stracili jedni tron, drudzy życie, za bluźniercze osłanianie Bożem Imieniem swego bezprawia.

Co będzie jednak z narodem, który sam dla siebie zdobył przywileje władzy i przyjął obowiązki prawodawcze, jeśli prawu Bożemu się sprzeniewierzy?

Panujesz, Narodzie polski, zacznij od panowania nad sobą, bo zginięsz. Nie masz monarszego namaszczenia, ani berła, dlatego pewnie uczułeś potrzebę, by Panna Częstochowska nosiła Polski koronę. Póki temu postanowieniu zostaniesz wierny, póki w Jej Imieniu będziesz wydawał prawa, sprawował rządy, póty będzie można mówić o Polsce: »Błogosławiony lud, którego panem Bóg jego«.

Póki nawę państwowości polskiej prowadzić będzie holo-wnicza łódź Piotrowa, póty prawy Polak winien ci, Najjaśniejsza Rzeczypospolito, krew i mienie, pracę i życie; winniśmy wolę Twoją posłusznie spełniać, zamiarom gorliwie współdziałać. Jeśli jednak naród zechce być niezależnym od praw Bożych, jeśli, upojony wolnością, nadużyje swej władzy, aby stanąć po stronie siły przeciwko krzywdzie, po stronie samowoli — przeciwko słuszności, po stronie chciwości — przeciwko zasadzie własności, wtedy władza jego staje się samozwańczą, a obowiązkiem sumienia każdego obywatela winno być dążenie do takiej reformy uczuć, pojęć, zrozumienia obowiązków względem Ojczyzny, by *vox populi* stał się głosem Boga.

Czy jestem z przekonania monarchistą, czy republikaninem, to nie może wpłynąć na obowiązek posłuszeństwa rządowi mojemu

kraju, bo przecież nikt nie ma prawa wymagać, by system rządowy był taki, jaki odpowiada moim sympatjom. Ale to, by rządy w mojej Ojczyźnie sprawowane były w imię Boże, tego mam prawo, mam obowiązek pilnować, bo to koniecznym jest, nie tylko dla sumienia mego, ale dla dobra Polski.

Wola ludu! Ci, którzy w ten dogmat nowoczesny wierzą, lub udają wiarę, tych historia chyba już nigdy niczego nie nauczy. Wola ludu, ilekroć razy stanęła w poprzek woli Bożej, przynosiła ludowi tylko klęskę lub zagładę. Więc widać nie jest ona ostatnią instancją. Bóg nie uznał snadź legalności, świętości tej woli, bo ona przecież sprowadziła potop i deszcz ognisty Sodomy, z woli ludu i to ludu wybranego Chrystus ukrzyżowany został. Wszak to lud wołał: »Krew Jego na nas i na syny nasze«... i Jerozolima zburzoną została, a Żyd stał się wiecznym tułaczem. Wola ludu w XVIII wieku na ołtarze Paryża wynosi boginię rozumu. Wola francuskiego ludu korzysta z najazdu pruskiego, żeby w stolicy Francji podpalić Tuilleries i mordować świętych kapłanów. Wola ludu dziś wprowadziła w Rosji ludożerstwo i pomniki stawia Judaszowi. Bóg jednak inaczej ocenia legalność postanowień i działań arytmetycznej większości. On w czasie potopu był po stronie jednej tylko rodziny Noego; On jedną tylko rodzinę — Lotę, wyprowadza z pożaru Sodomy; On jest z młodym Józefem przeciwko wszystkim braciom jego; On miasta całe ratuje od zagłady dla dziesięciu sprawiedliwych; On łaskawie ale zwycięsko powrócił na zbeszczeszczony ołtarz paryskich świątyń, a wszyscy chyba przekonani jesteśmy, że panowanie szatana w Rosji, chociaż się wola ludu zasłania, długotrwałem być nie może. Walczmy zatem odważnie przeciwko przemocy większości liczebnej, o ile ona jest bezbożną, jeżeli chcemy uniknąć nowych potopów, jeżeli nie mamy wyginąć ogniem i mieczem, jeżeli nie mamy się spodlić.

Uszanować jednak musimy wolę Bożą najpierw w sobie, bo to nam da siłę i prawo narzucić ją narodowi.

Prawodawcą jesteś, Narodzie, królem sam u siebie, idź do podnóża góry Synaj i słuchaj, co ci powie Król królów i prawodawca świata. Słyszysz: »Jam jest Pan Bóg twój, którym cię wywiódł z ziemi egipskiej, z domu niewoli«.

Jakto, więc to do nas Bóg przemawia, do nas Polaków, więc jesteśmy ludem wybranym? Ale jakże mogliśmy o tem

wątpić? Czy nie głosili nam tego prorocy i wieszczowie narodu, czy nie uświęceni jesteśmy krwią tylu męczenników, cierpieniem tylu wyznawców, chwałą tylu bohaterów, cnotą tylu przodków? Narodem wybranym jesteśmy. Królowa Niebios jest naszą królową, byliśmy przedmurzem chrześcijaństwa, a tak, jak z narodu żydowskiego wyjść miał Zbawiciel, tak naród polski naukę tegoż Zbawiciela ma nieść na Wschód.

»I nie grobu Chrystusa, lecz Chrystusa wiary,
Strzedz pilnie przed dzikimi Turki i Tatary«.

Nieść dobrą nowinę, nieść miłość — oto powołanie nasze.
Biada wybranemu narodowi, który się sprzeniewierzy posłannictwu swemu.

»Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie!
Przykład nieszczęsnej Twej Jerozolimy,
W której tak długo było Twe kochanie,
Aż się rozwiała w perzyny i dymy,
Rozdarta w sobie«.

Ach, nie zatwardzajmy serc naszych, nie zamykajmy uszu na prorocтва, słuchajmy przykazań Bożych. »Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną«. Zatem nie Ojczyzna i Bóg, ale Bóg i Ojczyzna, bo kto Ojczyznę stawia na pierwszym miejscu, a Boga na drugim, ten zdradza i Boga i Ojczyznę. Bez Boga nie odbudujemy Ojczyzny, a odbudowanej nie utrzymamy przy życiu ani dnia jednego. »Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną«, to jest będziesz wyżej w sobie cenił prawo Boże, niż ludzkie, uczciwość niż honor, który jest tylko surogatem uczciwości. W konfliktach z sobą samym i bliźnimi szukać będziesz wskazówek w katechizmie, a nie w przepisach ludzkiej etyki. Dlatego dziś, ile klubów, związków, korporacji, zawodów, zrzeszeń sportowych, każdy ma pisany kodeks etyczny, bo... katechizmu nie znają, lub nie uznają. Gdyby słuchali sumienia i znali katechizm, nie potrzebowałiby mozolnie wertować i wyszukiwać w podręcznikach, co czynić wypada, a co się nie godzi, kiedy się jest dentystą, lub przemysłowcem, cyklistą, lub budowniczym.

Ktoś powiedział, że Bóg dał człowiekowi uczciwość i wino, a człowiek wymyślił honor i piwo. Właśnie te etyki wyrobu czysto ludzkiego, ten honor klubowy, nawarzyły już nieraz piwa biednej ludzkości, bo, kiedy uczciwość zawsze rozjaśnia nam obowiązki, honor jest w stanie zamroczyć nam sumienie.

»Nie będziesz miał bogów cudzych przedemną«, to znaczy nie będziesz kłaniał się bałwanom opinii publicznej, popularności, oportunistom, nie będziesz schlebiał wyższym od siebie, by zyskać ich względy, nie będziesz bił czołem przed tłumem, żeby wyzskać dla siebie jego ciemnotę.

»Czcij ojca twego i matkę swoją, abyś długo żył na ziemi«. Ojczy, matko, słuchajcie, od was zależy przyszłość, długowieczność Polski. Od wiary i pobożności waszej, od waszego współżycia i wzajemnego udoskonalenia się, od troski o zdrowie ciała i duszy dzieci waszych, od ich wykształcenia, a przede wszystkim wychowania, od ich dla was szacunku, na który tylko życiem cnotliwym zasłużyć sobie możecie, od ich karność i posłuszeństwa, od świętości i obyczajności gniazda rodzinnego, od pracy, oszczędności, ładu, który panować będzie w domu waszym, od spójni, którą miłość wytwarza, zależy przyszłość Ojczyzny. W waszych domach, ojcowie i matki, rośnie już dziś przyszły prezydent i ministrowie, posłowie na sejm i senatorzy, rośnie pobożny ksiądz, ofiarna zakonnica, nieustraszony misjonarz, genialny wódz, żołnierz-bohater, pracowity rolnik, uczciwy urzędnik, przedsiębiorczy kupiec, rzetelny rzemieślnik, rośnie przede wszystkim człowiek — uczciwy człowiek — sługa Boga i kraju. Rośnie Polska cnotliwa i rządna, więc szczęśliwa i szanowana.

Macie wysokie posłannictwo i wielkie prawa, macie też święte obowiązki. Brońcie waszych ognisk domowych. Żądajcie dla nich opieki prawnej, to jest nierozzerwalności związków małżeńskich, nienaruszalności praw rodzicielskich nad dziećmi, wymagajcie szkoły wyznaniowej, poszanowania zasady własności i prawa spadkowego, zabezpieczającego owoce pracy waszej dla potomstwa. Ptak nawet broni swego gniazda. Tego prawa nie dajcie sobie wydrzeć. A ty, Narodzie polski, wiedz, że spójnia rodzinna, że świętość rodziny, to podstawa twojej potęgi.

Bóg — to opiekun rodziny, więc szatan jest jej wrogiem. Szatana pokusą dziś bolszewickie zasady, podkopujące świętość i spójnię rodzinną. Polsko, bądź ty z Bogiem, na straży rodziny, a nie z szatanem, przeciwko niej...

»Nie zabijaj, nie kradnij, nie pożądaj«. Kto wie, czy rozbójnik, czy złodziej, którego na drogę występku popchnęła nędza i ciemnota, nie znajdzie u Boga więcej zmiłowania, niż ten, który

dlatego właśnie był bezlitosnym, że mu się zawsze dobrze działo, dlatego głodnego nie nakarmił nigdy, że sam zawsze był syty. Bogaty, jeśli jest sybarytą, próżniakiem, skąpcem lub rozrzutnikiem, jeśli darami otrzymanymi od Opatrzności nie służy Bogu, bliźniemu, społeczeństwu i Ojczyźnie, jeśli sądzi, że jest właścicielem, a nie szafarzem, popełnia sprzeniewierzenie i kradnie.

Uczony, literat, artysta, nauczyciel, jeśli swego talentu, swej wiedzy używa na zgorszenie, podkopuje wiarę w dzieciach, a moralność w społeczeństwie, jeśli schlebia instynktom i namiętnościom tłumu, zamiast uszlachetniać duszę i oświecać umysł narodu — on kradnie i zabija.

Dziennikarze, jeśli nadużywając bezkrytycznego zaufania czytelników, podlegają namiętności, zacierają różnice w sumieniach między dobrem a złem, znieprawiają opinię publiczną, wtedy grzeszą także przeciwko piątemu i siódmemu przykazaniu.

A lud nasz, gdyby nabył poszanowania cudzej własności, o ileby prędzej doszedł do dobrobytu! Nie da mu go reforma rolna, ta, którą go radykalizm kusi... kradzione nie tuczy. Kradzież nie wzbogaca złodzieja, ale zuboża okradzionego. Jest zatem złem, które tylko zło rodzi, jest głupotą. Podnieść pracą kulturę własnego łanu, oto środek niezawodny wzbogacenia siebie i kraju.

Jeśli wieśniacze gospodarstwa w Polsce taki niski plon dają, dzieje się to, prócz wielu innych przyczyn, jeszcze i z tego powodu, że uczciwy rolnik jest okradany i to zabija w nim wszelką inicjatywę, zniechęca go do pracy, a nieuczciwy woli kraść, niż pracować. Jednym z bogactw Szwajcarii są drzewa owocowe, sadzone wzdłuż publicznych dróg, które państwu dostarczają milionowych dochodów. Czy dla Polski takie źródło dochodu byłoby możliwe?

Uszanujmy już nie cudzą własność, ale zasadę własności, a kredyt, który jest dzisiaj w Polsce »piękną marą senną«, stanie się tem, czem był zawsze, czem jest wszędzie indziej, wiernym sojusznikiem pracy i oszczędności, tak rolnika, jak przemysłowca. Kredyt wtedy uzyskać będzie można, nie drogą protekcji, nie za kolację, wydaną faktorom, ale na hipotekę realną warsztatu pracy i realniejszą uczciwego imienia.

Potrącam już parę razy o sprawę reformy rolnej, bo jakże nie mówić o bolączce doby obecnej. Nie chcę jednak być źle rozumianym. Nie przemawiam, jako obszarnik na wiecu, ale jako

katolik do katolików. Katolikami jesteśmy i encyklika *Rerum Novarum* nas obowiązuje. Wiemy, że własność to prawo użycia, ale nie — nadużycia. Własność — to dogmat prawa przyrodzonego, przez Kościół uznany i szanowany, o ile nie sprzeciwia się wyższemu, bo Boskim nakazom sprawiedliwości i miłosierdzia. Jeśli źródłem prawa o reformie rolnej będzie sprawiedliwość i miłość, a nie demagogja i egoizm jednych, a brak odwagi cywilnej drugich, jeśli pobudką do tej reformy będzie jedynie dobro Ojczyzny, a nie troska o zdobycie lub zachowanie mandatów poselskich i tek ministerjalnych, wtedy obowiązkiem Polaków katolików jest nie tylko poddać się prawu, ale przyczynić się do ułatwienia rządowi wprowadzenia reformy.

Słuchaliśmy wszyscy długich debatów w sejmie, no i w cyrku warszawskim. Czy wyczuliśmy z nich słuszną ocenę potrzeb państwowych, czy sprawiedliwość względem wywłaszczonych i miłość dla bezrolnych były pobudką do tych prawodawczych zamachów na własność? Niech inicjatorzy odpowiedzą w sumieniu własnem i to jaknajprędzej, bo kiedyś odpowiadać będą zmuszeni przed sądem potomności i przed sądem Bożym.

W kraju, w którym już w 1905 r. skrytobójcze zamachy na policjantów Warszawy nazywane były i to w pravicowych organach naszej prasy »usuwaniami niesympatycznych narodowi jednostek«; w kraju słowiańskim, więc słabo odróżniającym cudze od swego; w kraju, sąsiadującym tysiąckilometrową granicą z Rosją sowiecką, zatem narażonym, chcę mówić zarażonym, miazmatami komunistycznego rozkładu; w kraju, w którym rozwoły stały się codziennym wypadkiem, w kronice niemal każdej rodziny; w kraju, w którym bandytyzm nazywany jest dywersją, a kradzież — ekspropracją, w kraju »pożyczki odrodzenia« i »pożyczki dolarowej«, w kraju, którego sejm w znanej nam formie uchwała reformę rolną i jednocześnie kasuje wyroki Najwyższego Trybunału dlatego tylko, że są karą za złodziejstwo; w kraju, w którym przy dźwiękach jazbandu, wygrywanego na pulpitych sejmowych, zwycięsko wkracza do Polski anarchja wschodnia, — w tym kraju trzeba by w sejmie, w ministerstwach, pałacach bogaczy, w warsztatach przemysłowych, na giełdzie, w bankach, teatrach, księgarniach, redakcjach, w każdej chacie włościańskiej wypisać dla wszystkich stanów, dla wszystkich wy-

borców i wybranych baltazarowe *mane, tekel, fares*, albo chrześcijańskie »nie zabijaj, nie kradnij, nie pożądaj«.

Niema dwóch moralności, publicznej i prywatnej, rodzinnej i państwowej, a jeśli w nas wmawiają, że te moralności się różnić muszą, to tylko dlatego, że kłamstwa są różne, ale prawda — jedna. Pseudo-etyki są liczne, ale moralność chrześcijańska jedna, która obowiązuje każdego człowieka, każdy naród, każde społeczeństwo.

Niema skutku bez przyczyny. Każdy naród ma taki rząd, na jaki zasługuje. Nie mamy prawa skarżyć się na rząd, na sejm. Sejm myśmy wybrali, a rząd upadnie w chwili, kiedy się woli większości sejm sprzeciwi. Dlatego też historia życia parlamentarnego Polski notuje codzienność zwycięstwa demagogji nad sprawiedliwością i rozsądkiem, oportunistów nad dogmatem, prywatny nad dobrem Ojczyzny.

Skargi nasze są bezowocne. Powiększą tylko zamęt. Reformę zacząć powinniśmy od uszlachetnienia charakterów, od odrodzenia dusz naszych, a do tego niema innej drogi, bardziej niezawodnego środka, jak końcowy nakaz dekalogu: »Będziesz miłował Pana Boga twego, ze wszystkiego serca twego, ze wszystkiej myśli twojej, ze wszystkich sił twoich, a bliźniego twego, jak siebie samego«. Tak, kochać musimy jedni drugich, aby ze wskrzeszeniem Ojczyzny nie wskrzesić tych czasów, w których »Polska nierządem stała«.

Dziś, kiedy ścierają się egoizmy, kiedy walka wre, kiedy ogólna bieda podnieca zgryźliwość i złe podszeptuje rady, dziś, aby kochać bliźniego, potrzeba bohaterstwa. Ustąpić bratu miejsca w ogonku przed wrotami kariery, to dobrowolnie narazić się na śmierć głodową.

Zapewne, że jeść musimy, żeby żyć, ale bardziej jeszcze niż jeść, musimy kochać, bo miłość jest żywotnością narodu, bo Chrystus przez miłość świat i śmierć pokonał. Przez miłość tylko możemy pozostać narodem wybranym. Miłość ta powinna nie tylko rozgrzewać nas, ale przyświecać innym, bo wtedy tylko stanie się ona siłą twórczą.

Dla warstw przewodniczących nie wystarczy kochać, trzeba prowadzić, ostrzegać, kierować, walczyć ze złem. Trzeba znać cel życia i ku niemu dążyć. W tej zmartwychwstałej Ojczyźnie odczuwamy tysiączne braki. Wyprzedziły nas narody zachodnie,

bo nie nie krępowało ich rozwoju, kiedy my 150 lat żyliśmy w kajdanach, pod strażą wroga. Z tej świadomości naszego zacofania zrodził się u nas żywiołowy pęd ku oświeceniu. Głód wiedzy nas trawi. Ale, kto patrzy uważnie na nasze w tej dziedzinie wysiłki, łatwo spostrzeże, że chodzi nam prawie wyłącznie o taką wiedzę, któraby nam zapewniła chleb powszedni, któraby nam dała broń w rękę w walce wewnętrznej i zewnętrznej o dobrobyt materialny. O tem, że najzupełniejsze zacofanie jest u nas w dziedzinie kultury chrześcijańskiej, nikt nie mówi, nikt się o to nie troszczy, a jednak, jeśli podłożem naszego państwowego, społecznego, naukowego, gospodarczego bytowania nie stanie się kultura chrześcijańska, Polska »kramem będzie tylko, nie Narodem« — kramem, albo śmietniskiem.

Tego wielkiego niedoboru w bilansie cywilizacyjnym Polski niestety nie odczuwamy, a dowodem tego jest ustawa wyborcza i z niej powstały skład sejmu. Kto nami rządzi, kto stanowi prawa dla Polski? Czy nie sejm, posiadający tylu analfabetów, lub ludzi o bardzo niskiej, lub żadnej kulturze duchowej, z ludzi wykształconych, ale nie wychowanych, bo wychowuje tylko religja. Nie wspominam tu o szacunku godnych, nielicznych wyjątkach, bo ci są bez wpływu na bieg i wyniki pracy ustawodawczej. Przecież konstytucja zapewnia decydujący wpływ nie wiedzy, doświadczeniu, cnocie, ale jedynie przewadze liczebnej. U nas liczą głosy, zamiast je ważyć.

We wszystkich dzielnicach porozbiorowej Polski nietyło dbano o wynarodowienie, jak o pozbawienie wpływu religji na psychikę polską. Wiedziano dobrze, że gdyby Polska przestała być katolicką, to dalsze znieprawienie jej ducha byłoby tylko kwestją czasu. Odbiło się to fatalnie na psychice naszej inteligencji. Niema chrześcijańskiego podłoża w umysłowości sejmu polskiego. Wyniańczyły nas powstania; »rozumni szalem«, wszyscyśmy »dzieci rewolucji«, w której prawo gwałtu jest dogmatem, a bunt — dowodem żywotności. W służbie Ojczyzny oportunistów rewolucyjny rozgrzesza zbrodnie. Cnota cierpliwości nazwaną była serwilizmem i okryto ją pogardą.

Niech mnie Bóg broni, bym potępiał ludzi ówczesnych, musiałbym na to wyrzec się własnej krwi. Potępiam zasady. Ludziom cześć oddaję, bo kto oportunistą był dla Ojczyzny, a dowiódł szczerości swych uczuć ofiarą własnej wolności, utratą

mienia, cierpieniami katongi, lub męczeńską śmiercią, ten nie tylko w oczach naszych, ale w oczach Bożych jest męczennikiem. On nie miał może oświeconego sumienia, ale miał napewno miłość, a kiedy miłość wyraża się ofiarą samego siebie, choć błędne obiera drogi, w oczach Boga, który czyta w sercach, nie wątpię, że za zasługę będzie policzoną.

Tempora mutantur et nos mutamur in illis. Dziś, kiedy wyszliśmy z więzienia, kiedy przestaliśmy być parjasami i sami u siebie rządymy, powinniśmy podwaliny państwowości i kultury naszej oprzeć nie na chytrych, zmiennych, improwizowanych zachciankach swoich, ale na stałych i wiecznych podstawach prawa naturalnego. Niechaj dzisiejszy oportunizm nie waży się powoływać na ideologję 31-go lub 63-go roku, bo bluźniłby i uwłaczał pamięci męczenników świętej sprawy. On nie jest ich spadkobiercą duchowym. Tamten oportunizm wiódł do więzienia i na szubienicę, a wartość jego — politycznie żadna, — duchowo wyjednała nam zmartwychwstanie tylko przez zasługę ich krwi ofiarnej. Dzisiejszy zaś oportunizm, nie na szubienicę prowadzący, ale dający mandaty poselskie i teki ministerjalne, przynosi same korzyści tym oportunistom, ale nieobliczalne szkody i straty dla potomków.

Władze ustawodawcze i wykonawcze o obowiązku budowania Polski na podwalinach prawa naturalnego albo nie wiedzą, albo wiedzieć nie chcą, ale dzieje się to dlatego, że my, ich mocodawcy, tego obowiązku nie umieliśmy im narzucić.

Źródłem i podstawą naszego prawodawstwa powinny być nie obietnice wiecowe, któremi posłowie okupili mandaty, nie kompromisy klubów, zawarte dla zdobycia większości, nie koalicja idei państwowo-twórczej z dążeniami wywrotu i anarchji, ale stałe, odwieczne i na wieki obowiązujące prawo naturalne.

Gdzie szukać przepisów tego prawa naturalnego? Nie gdzie indziej tylko w sercach i sumieniach ludzkich. Tam je Bóg wypisał niezatartemi zgłoskami, bo ono odpowiada i przyrodzonym potrzebom ludzkiego współżycia i wszystkim szlachetnym pragnieniom duszy człowieczej. Ono jedno stwarza ład, harmonję, zapewnia sprawiedliwość, bezpieczeństwo, ujarzma namiętności, opiekuje się słabymi. Dekalog jest cudowną syntezą, niejako kodyfikacją wrodzonych szlachetnych dążeń i pragnień naszych, a streszczonych dlatego, by przemoc lub zła wola jednostek nie

przeszkadzała ludzkości w pochodzie ku idealnemu jej przeznaczeniu.

Prawo Boże krępuje tylko złych, dobrym daje swobodę i bezpieczeństwo. Poza tem prawem jest drugie, jemu przeciwne — prawo siły, prawo gwałtu, prawo pięści. Pierwsze daje narodowi moralne zdrowie, ład, pomyślny rozwój, zamożność. Drugie stwarza ucisk i bunt, samowolę, despotyzm i anarchję.

Ksiądz Marjan Morawski, jeden z najznakomitszych filozofów i pisarzy XIX wieku, tak kończy swój artykuł, zatytułowany: »Siła i Prawo«: »Dwie są przeciwległe doktryny prawa. W jednej władza państwowa, w tworzeniu praw, jest nieograniczoną; prawnie i logicznie ani własność, ani rodzina, ani nawet prawo do życia z pod tego wszechwładztwa nie są wyjęte; w drugiej prawa, będąc w zasadzie bezwzględne, mają bezwzględne granice; co zakon przyrodzony przyznaje: osobie, rodzinie, społeczności, tego państwo naruszyć nie może, chyba przez gwałt i bezprawie. W jednej państwa, będąc same twórcami prawa, nie mają nad sobą żadnego prawa, a jedynie siła we wzajemnych ich stosunkach rozstrzygać powinna; w drugiej państwa i narody podlegają temu samemu prawu moralności, co jednostki i to powinno być podstawą ich stosunku i rozjemcą ich sporów. W jednej prawo jest dziełem czysto ludzkim; w drugiej prawo, będąc wynikiem zakonu przyrodzonego, jest ostatecznie dziełem Stwórcy i ta jest podobno przyczyna dzisiejszego nie uznania tej doktryny, ale też niespożytej i wiecznej jej żywotności«.

Skończyłem cytate, a teraz na to, żeby przestroga świątobliwego zakonnika, godnego spadkobiercy Skargowego ducha, nie stała się raz jeszcze »głosem, wołającego na puszczy«, zastanówmy się, co Polską rządzi: siła czy prawo, wola tłumu czy wola Boża?

Uwagi O. Morawskiego piętnowały wówczas gwałt nad nami, gwałt zewnętrzny Murawiewów, Metternichów, Bismarków, ale dziś te same słowa piętnują gwałt boleśniejszy, bo wstydlivszy gwałt naszych polskich satrapów.

»Tamci podli, lecz mniej śmieli,
Ziemie brali, czci nie tknęli«.

W chwili triumfu prawa nad siłą na korzyść narodu naszego, my dobrowolnie odwracamy się od prawa, a chcemy, by siła tylko u nas rządziła.

Ale nie żalić się trzeba, nie narzekać, a przede wszystkim nie poddawać się pesymizmowi, bo to obezwładnia.

Gospodarzami jesteśmy w Polsce, a jeśli bronić będziemy praw Tego, który świat zwyciężył, i my zwyciężymy. Ufajmy dobrej sprawie naszej, nie dajmy sobie wydrzeć kierowniczej opieki nad losami Ojczyzny. Tylko bierność nasza sprzyja kulturze tych bakterij wschodniej malarji, już u nas szerzącej zniszczenie. Jesteśmy na rubieży cywilizacji i barbarzyństwa. Chwila jest osobliwa. Dziś wybierać musimy, czy z tego rozdroża zstąpimy w trzęsawiska bolszewickiej kłamliwej legendy o woli ludu, czy też uznamy nad sobą prawo naturalne, prawo Boże i stanimy pod sztandarami Jezusa i Marji.

Przeznaczeniem naszym, wolą Bożą względem Polski jest nieść światło wiary i płomień miłości na Wschód, nie zaś ze Wschodu brać wzory prawodawczego bezwstydu i moralnej zgnilizny, bo dziś *lux ex Oriente*, to żagiew pożarna Lucypera. A nam dziś stamtąd, nie światło wprawdzie, ale kierownicze ukazy przychodzą.

Opuści nas pomoc Boża, jeśli prawem Bożem wzgardzimy.

Życie jest wojowaniem, na jego równej pochyłej nie utrzyma się człowiek, ani naród beczynny. Kto nie gromadzi — rozprasza, kto nie dąży mozolnie i bez wytchnienia ku górze, ten stacza się w dół. By zapewnić Ojczyźnie szacunek, dobrobyt, bezpieczeństwo musimy być: dzielnymi, pracowitymi, odważnymi, ale na to, by zlecieć aż na samo dno przepaści wysiłków nie potrzeba, wystarczy założyć ręce. Dziś zabiorą ziemie, jutro wyrzucą z domów, pojutrze wyzują nas z owoców pracy i oszczędności, gromadzonych przez pokolenia dla potomków. Potem wprowadzą prawo o rozwodach i zniszczą rodzinę, dadzą szkołę bezbożną dzieciom naszym i zabiją w ich duszach wiarę, w ich sumieniach rozeznanie dobrego od złego. Na to wszystko, na to straszne dzieło zniszczenia, wysiłków naszych żadnych nie trzeba, wystarczy cierpieć istnienie dzisiejszej konstytucji i dzisiejszego sejmu.

Nie mam ani wiedzy, ani talentu i nigdybym się nie odważył nadużywać życzliwej cierpliwości słuchaczy, gdybym to przemówienie uważał za odczyt, za popis retoryczny. Proszę o posłuch, bo to co wypowiadam, jest raczej krzykiem wstydu i bólu.

Niech się dziś stanie głośno wypowiedzianą modlitwą do Królowej Korony polskiej, by nas strzegła, już nie od Szwedów, Tatarów, Mongołów, ale od Polaków, którzy mongolskich natchnień słuchają, by wraz z wskrzeszeniem Polski wskrzesić raczyła na przewodników narodu ludzi czystych, dzielnych, ofiarnych, światłych, którzyby, zasłużywszy na powszechny szacunek, zyskawszy zaufanie najlepszych w narodzie, potrafili skupić nas wszystkich do walki z anarchją i rozpocząć budowę przyszłości naszej na podstawie prawa Bożego w życiu prywatnem i publicznem.

To nam wyproś u Syna Twojego, Łaskawa Monarchini nasza, i niech na tę gorącą modlitwę moją serca słuchaczy odpowiedzą: »Amen«.

Śluby cywilne i rozwody, jako bezprawie przeciwko państwu.

W jedności siła! Tęgo dowodzić nie trzeba.

Filozofowie greccy, ci praojcowie myśli ludzkiej, zastanawiają się w zdumieniu nad cudem niepojętym, jakim jest życie narodu. Kto mocen jest zdziałać, żeby naród istniał całe wieki, wśród tylu powodów upadku, tylu czynników rozkładu? Jakim sposobem nie zużywają się, nie paczą tysiączne koła tego organizmu? Co jednoczy kilkadziesiąt milionów ludzi?

Jedność nie może istnieć bez poświęcenia. Co zaś do tego poświęcenia zachęca? Jak te cnoty otrzymać i utrzymać, by poświęcenie stało się ciągłą spajającą siłą, bo przecie wspólność interesów jest taka mała, że nie wyrówna nigdy ich sprzeczności. Biedni są stokroć liczniejsi od bogatych; dlaczego, kiedy siłę mają, nie ograbiają tych bogaczy? Rozkazujących mało, słuchających ogromne rzesze. Jaki tajemny powód posłuszeństwa i karność? W ustroju społecznym można liczyć setki groźnych przeciwności, a jednak jedność państwa wytrzymuje te próby. Jakim się to dzieje cudem?

Platon mówi, że jeśli Bóg nie przyczyni się do założenia miasta, jeśli miało ono tylko ludzki początek, nie uniknie największych nieszczęść.

Psalmista potwierdza to mądre zdanie pogańskiego myśliciela i mówi: »Jeśli Bóg nie wybuduje domu, darmo się trudzą ci, którzy go budują«. Narody i państwa cudem tylko istnieć mogą, a tym cudem jest woła Boża, jest prawo Boże, w miłosiernej Opatrzności Bożej poczęte.

Miłość jest osią świata, jest spójnią społeczeństw i państw.

Miłość Ojczyzny jest podwaliną państwa, ale jakie są składowe części tej miłości, którą patriotyzmem nazywamy? Składają

się na nią miłość Boga, religii, rodziny, tradycji, obyczaju narodowego, mowy ojczystej, miłość przodków, miłość żony, miłość dzieci i potomków... Miłość i tylko miłość. Ale ta potrzeba serca ludzkiego jest tylko uczuciem przyrodzonym, może dać rozkosz i życie osłodzić; cnotą się staje dopiero wtedy, kiedy złączona jest z poświęceniem, kiedy od poświęcenia jest nierozdzielna. Bo miłość tylko własnego szczęścia pragnąca nie jest cnotą, — zwierzęta przecie kochać umieją; nie jest też spójnią społeczną i trwałą, bo jeśli nawet w chwilach przypływu uczucia taką ma żywiołową siłę, tem prędzej, tem niebezpieczniejsze dla trwałości jej dobroczynnego działania są odpływy, jest zanik miłości. Miłość, jedynie godna nieśmiertelnej duszy ludzkiej, jest ta w Bogu poczęta, na religii oparta, samozaparcem oczyszczona, poświęceniem uświęcona. Jedynie miłość ofiarna jest siłą społeczną, cementem państwowotwórczym.

Gdzie jest skarbnica tego pierwiastku siły i zdrowia, gdzie szkoła uczciwego kochania? Ona jest jedynie w rodzinie, połączonej nierozzerwalnym związkiem małżeńskim, bo tylko religja daje siłę i możność człowiekowi wypowiedzieć: »a iż cię nie opuszczę aż do śmierci« i tej przysiędze, z pomocą Bożą, pozostać wiernym.

Bóg w dobroci litościwej dla ludzi sprawił, że ani rozum, ani majątek niezbędnymi nie są człowiekowi do założenia rodziny; bo rozum ma nie każdy, pieniędzy, jak dzisiaj naprzykład, nikt nie ma, a serce ma każdy. Ci wyjątkowi, którzy go w piersi nie czują, lepiejby było dla społeczeństwa, żeby się nie odradzali.

Małżeństwo bez obowiązku poświęcenia — to obyczaj zwierzęcy, to obniżenie poziomu życia i godności człowieka. Słuchajmy, jak pieśniarka polska zrozumiała znaczenie słowa: *kocham*.

»Kocham — to nie znaczy weale:

Chcę być pieszczoną w twym domu królową,
Chcę iść przez życie drogą kwicciem słaną,
Chcę w pocałunkach twoich tonąć szale.

Nie! Kocham ciebie — to znaczy: chcę z tobą
Podźwignąć ciężar, co się życiem zowie,
Być domu twego światłem i ozdobą
I nieść ci pokój i ciszę i zdrowie.

Kocham — to znaczy chcę z tobą podzielić
Gorzki chleb trudu i łez i boleści,

Chcę oczy twoje w dniach smutku weselić
I tarczą być twojej cześci.

Kocham — to znaczy: chcę, w cichym zakątku,
Życ zapomniana, byłeś ty był ze mną,
Chcę nad kołyską naszemu dzieciątku
Nucić piosenkę w noc ciemną».

Tę pieśń wszyscy rozumiemy, za nią naród polski wdzięczny zostanie Konopnickiej na zawsze; ale też jest i inna pieśń, która mogłaby służyć za motto dzisiejszym autorom projektu do prawa o rozwodach w Polsce. Słowa jej są: »Zachocz — polublu, zachocz — rozlublu«.

Pieśnią tą rozkoszowała się Rosja, w przeddzień swojego upadku, ale ta pieśń szczęścia narodowi nie przyniosła. Dla nas Polaków szczęściem jest właśnie to, że ona jest pieśnią cygańską, a nie polską.

Miłość ofiarna, bez wiary w Boga, bez pomocy religii, bez łaski Sakramentu jest nie do pomyślenia, Bóg jest budowniczym społeczeństw i kluczem ich sklepień. Chcieć wygnać Boga z rodziny, utrzymać społeczeństwo bez Boga, jest zamiarem potwornym, którego żaden wiek nigdy nie widział, którego Polska nie zechce dawać przykładu.

Profesor uniwersytetu Gonard, zabity pod Verdun, tak się wyraził: »My wiemy, że porządek społeczny nie ma nigdy u podstaw siły fizycznej, ale miłość, tę siłę duchową, i nie miecz na tronie, ale krzyż nad kołyską jest strażnikiem ładu i siły społecznej«. Ten bohater ofiarną miłość swoją śmiercią przypieczętował, więc możemy mu wierzyć, kiedy o miłości mówi.

Człowiek w szkole życia rodzinnego uczy się: kochać, słuchać, szanować.

Ojczyzna, która nie szanuje, nie otoczy czcią i opieką prawa tej szkoły cnoty i poświęcenia, nie znajdzie obrońców dość dzielnych, dość ofiarnych, aby spokojną być mogła o swoje granice.

Dwa są wędzidła, którymi ludzkość trzymana jest w karchach: wewnętrzne i zewnętrzne; pierwsze — to panowanie nad sobą, a tego państwu dostarcza religja, drugie — to siła zewnętrzna, fizyczna, i tej państwu udziela policja, więzienia i wojsko. Im ta wewnętrzna siła słabiej działa, tem silniej działać musi ta druga. Przy dobrem działaniu pierwszej, wolność obywatelska nie zagraża sile państwowej, owszem państwo powo-

lane jest wtedy strzec i pilnować rozkwitu tej wolności. Ale gdyby to pierwsze wędzidło działać przestało, tylko represje mogą uratować państwo i nie na długo.

Religja i wolność, albo ateizm i niewola. Oto jedyne dwie alternatywy. Cała historia ludzkości to stwierdza. Krasiński pisze:

»I lecieli do przepaści, coraz głębiej dalej,
Bo chcieli wolności, a Boga nie znali«.

Rosja też chciała wolności i pozbyła się caratu, ale ponieważ jednocześnie obaliła religję, dostała czerezwyczajkę. Nie wiem, czy jej smakuje wolność dzisiejsza.

Nierozzerwalność małżeństwa przyczynić się może do unieszczęśliwienia jednostek, chociaż i w to nie bardzo wierzyć można, bo rozwód, nawet dla takich najniezszczęśliwszych, najczęściej jest tylko zmianą nieszczęścia, a zwykle zmianą na gorsze; kiedy tymczasem prawo o rozwodzie jest wielką ogólną katastrofą społeczną, nieszczęściem dla wszystkich małżeństw bez wyjątku, nawet dla najlepiej dobranych, bo jest groźbą, pokusą, zakłóceniem spokoju, podkopaniem zaufania wzajemnego, jest atentatem przeciwko niewinnym dzieciom i przeciw moralności ogólnej, jest zbrodnią przeciwko Kościołowi i państwu.

Człowiek od wieków czuł potrzebę miłości prawej, bezpiecznej, a znając własną słabość, postanowił przysięgę na wierność składać w obliczu państwa, otoczyć ją opieką prawa. Ale prawo okazało się przewrotnem, i zdradziło jego zaufanie. Oportunistyczną kazuistyką swoją udzieliło poparcia nie ideałowi, ale namiętnościom, nie potrzebom serca, ale pokusom ciała.

Zwrócił się człowiek ku religji. Jedyne religja katolicka postanowiła go bronić przed zmiennością jego serca, stanęła na straży czystości tego źródła, skąd wypływa życie narodu, tego ciepła gniazd rodzinnych przez cudowne zaklęcie: »ty jeden i na zawsze«.

By tę trwałość podkopać, by tę świętość zbeszcześcić, trzeba wygnać Boga z rodziny. Nad tem pracuje dziś komisja kodyfikacyjna o ślubach cywilnych i rozwodach, z usłużną pomocą profesorów, płatnych przez społeczeństwo katolickie.

Tak być nie może. Małżeństwo w kraju katolickim jest i powinno zostać sakramentem, powinno być otoczone opieką prawa, należną tej Boskiej instytucji, a tak niezbędną dla szczę-

ścia i bezpieczeństwa obywateli, dla siły i ładu państwa, dla opieki i wychowania przyszłych pokoleń. Prawodawca, któryby odarł małżeństwo z jego sakramentalnego charakteru, któryby ten święty związek zamienił na notarialną umowę,

»Tego straszna gna pokusa,
Ni przytomny mu Duch Boży,
Ni pamiętan Duch Chrystusa«.

Takie prawo zniszczyłoby w Polsce wiekową patynę kultury katolickiej, zerwałoby więzy, łączące nas z przeszłością, obaliłoby rodzimy obyczaj i gorzej — bo obyczajność.

Jeśli chcemy wiedzieć czem grozi Polsce projektowane prawo, popatrzmy na Francję, na Rosję. Tam istnieją rozwody. Czemu była Francja, a czemu się stała, od chwili Wielkiej Rewolucji i nie dlatego, że zburzyła stary porządek, gdyż rewolucja była tylko karą i konsekwencją grzechów i nadużyć dawnego ustroju, ale dlatego, że lud, upojony i rozruchany zdobyciem Bastylji, siebie, a nie Boga, uznał za jedyne prawo dawcę, i między innymi świętokradzkimi czynami, ogłosił prawo o ślubach cywilnych i rozwodach; a chociaż to prawo, przy powrocie monarchji i królów, a nawet później, w chwilach opamiętania, było czasowo znoszone, zatem szkodliwy wpływ jego był przerywany, niszczące skutki jego podkopały siłę, potęgę, urok, którym przyświecał od tak dawna światu ten wielki naród.

Małżeństwo jest źródłem odrodzenia i rozrostu; podkopanie świętości małżeństwa jest zatamowaniem tego źródła, a skutki, to depopulacja, to zanik narodu, zanik rasy.

W latach 1874—1876 było na 1.000 mieszkańców 26.1 urodzin
W latach 1911—1915 „ „ „ „ 18.2 „

Nie mam czasu dosyć i nie chcę nudzić czytelników długim wyliczaniem cyfr statystycznych, proszę zatem wierzyć na słowo, że ten skrót jest tylko ostatecznym wynikiem stałej i logicznej dygresji urodzin, który bez żadnych wahań, fatalnie wzywa Francję co rok wyraźniej z tego bogactwa, którego widok tak wzruszył marszałka Focha, kiedy odwiedzał Polskę, bogactwa, któremu na imię: dziecko. Ale nasi indywidualiści uważają, że dzieci to nie skarb, ale balast.

Teraz spojrzymy, jakie są polityczne i społeczne skutki rozwodów we Francji. Oto w początkach XIX stulecia, Francja zwycięskie boje wiodła z koalicją wszystkich europejskich mo-

carstw, sama jedna, a w początkach XX stulecia Niemcy wypowiadają jej wojnę i 20 państw, które rzuciły się na pomoc Francji, ledwo uratowały ją od zagłady. Co byłoby gdyby tych sojuszników nie miała, co będzie, jeśli w przyszłości zabraknie jej obcej pomocy?

Leroy Beaulieu, zastanawiając się nad statystyką urodzin i śmierci we Francji, mówi: »Ludność francuska przy teraźniejszym stosunku urodzin i śmierci jest skazana na prawie zupełne i bardzo szybkie zniknięcie, w ciągu czterech lub pięciu generacji najdalej i nie później jak w 2012 roku nie pozostanie we Francji ani jednego rodowitego Francuza«.

Zanik rozrodczych sił narodu jest konsekwencją zaniku moralności, a zanik moralności jest skutkiem zaniku wpływu religji na życie rodzinne i państwowe.

Na początku XIX stulecia czwarta część ludności Europy mówiła po francusku, dziś zaledwie jedna dziesiąta ludzi, zamieszkujących naszą półkulę, to jest około 50 milionów ludzi jest w stanie mówić i czytać w tym języku. W tym samym czasie liczba mówiących po angielsku z 40 milionów wzrosła do 160 milionów, a po niemiecku — z 40 milionów do 120 milionów. Zatem język francuski, jako używany w potocznej mowie, przychodzi dziś po chińskim, angielskim, rosyjskim, niemieckim, hiszpańskim, japońskim, a jutro wyprzedzony zostanie przez włoski.

Z cofaniem się języka kurczą się wpływy Francji na historję, na kulturę świata. Zmniejszają się jej przywileje i korzyści. Niesłychany upadek wydawniczy i księgarski. Upadek portu w Marsylji. Upadek wpływów francuskich w Turcji, która zmieniła opiekuna i słucha dziś Niemiec. Zmarnowany i roztrwoniony dorobek pochodów krzyżowych. Stróżem Grobu Chrystusa już nie katolicka Francja, ale Anglja i Żydzi. Świat katolicki stracił tradycyjnego i wielowiekowego rzecznika swoich praw na Wschodzie, bo Francja zdegradowana została.

Ale, prócz tych strat widocznych, ile niebezpieczeństw, ile upokorzeń jej grozi. Prócz sił militarnych, siły handlowe, przemysłowe, kolonialne, wszystko, co powoduje i sprzyja ekspansji, co wytwarza siłę międzynarodową, światowy wpływ i kredyt państwa, wszystko to jest w nieustannej regresji. Brak ludzi powoduje anemję i zanik tej siły, obniżenie dawnego uroku, osłabienie wielowiekowej płomiennej tradycji.

Dawniej kresy francuskie były przepelnione elementem, gotowym zawsze nadmiarem sił fizycznych i duchowych dzielić się ze światem całym — obyczajem, kulturą, ideałem narodowym; dzisiaj zabrakło rąk dla uprawy własnej ziemi, więc te same kresy, pulsujące dawniej życiem francuskim, dziś opustoszałe, zaludniają przybysze obcej narodowości i przygotowują dla swoich ziomków przyszłe najazdy. Tak było przed 1870 rokiem. Francja odczuła wtedy straszne skutki swej bezbronności, ale brak przyrostu ludności nie pozwolił jej skorzystać z nauki i w 1913 roku znowu kolonista niemiecki, na kresach Francji zamieszkały, odegrał smutną rolę przewodnika dla tych nieproszonych gości. Takie jest prawo przyrody: *Natura horret vacuum*. Pustki być nie może; gdy jeden naród przestaje być żywotnym, inny fatalnie przychodzi go zastąpić. Tak było zawsze i tak zawsze będzie.

Mogą nam powiedzieć, że inne są przyczyny tej depopulacji we Francji. Owszem przyczyny są wielorakie: prócz rozwodów i ślubów cywilnych jest maltuzjanizm, ograniczający liczbę dzieci w rodzinie, jest zmaterializowanie społeczeństwa, egoizm i indywidualizm, stawiający wyżej prawa człowieka od jego obowiązków, interes jednostki od interesów rodziny i Ojczyzny, ale te wszystkie objawy są wynikiem jednego zła: zapoznania praw Bożych, praw przyrodzonych i nadprzyrodzonych, rządzących światem.

We Francji, chociaż kultura katolicka, gorliwość i duch ofiarny inteligencji katolickiej są znacznie głębsze i żywsze, niż w Polsce, jednak katolicy z przekonania są tam w znacznej mniejszości. Lud rolniczy, robotnik w miastach i mały przemysłowiec są względem religji obojętni, często nawet wrogo usposobieni więc też nic dziwnego, że przy ustroju demokratycznym lud i jego namiętności, a nie Bóg i Jego wola stały się podwaliną prawodawstwa francuskiego. Jest to wielkie nieszczęście dla tego narodu, ale to nieszczęście jest wytłómaczone.

Ale w Polsce, w której, podług jej ultrademokratycznej konstytucji, jedynie większość rządzić ma prawo, a atentaty przeciwko tej woli są zbrodnią stanu, jak może uzyskać moc obowiązującą prawo, niezgodne z prawem Bożem, obrażające moralne i religijne uczucia Polaków? Czyżby Polska straciła przywiązanie do Kościoła, szacunek dla przykazań Bożych, wiarę i potrzebę

sakramentów. Nie, tak nie jest. Nieszczęściem Polski w tej chwili jest to, że wielkie konwulsje światowe, którym ona zawdzięcza swą niepodległość, sprawiły jednocześnie, że męty społeczne wypłynęły na powierzchnię politycznego życia i niem rządzą. Rządzą bezprawnie, bo męty w polskim narodzie nie stanowią większości i ustąpić muszą, byle ten naród poczuł niebezpieczeństwo i bronił praw swoich do rządzenia się u siebie obyczajem praojców.

Kto nami rządzi? Czy nie obcy ludzie i obcy duch? Partje lewicowe mówią wprawdzie o sobie, że są narodowymi, przynajmniej niektóre, zaslaniając się lub frymarcząc frazesem patriotycznym, uspakajają nas i łudzą wewnętrznymi swarami, ale ta pozorna niezgoda to tylko wynik osobistych porachunków lub ambicji partyjnych wodzów. Kiedy chodzi o zaszkodzenie religji i Kościołowi, natychmiast następuje zjednoczenie, bo taka jest wola i nakaz wschodniej międzynarodówki, której te partje są gorliwymi rzecznikami, jeśli nie płatnymi sługami.

Wiem, że opozycja w sejmie istnieć musi i dobrze jest, że Socjaliści, Wyzwolenie, Żydzi, Rusini wchodzą w skład sejmu polskiego, bo to ich prawo, bo opozycja jest wysoce pożyteczną w ciele prawodawczem. Ona pozwala dzierżącym ster widzieć tę belkę w oku własnym, której, bez jej pomocy nigdy by nie spostrzegli. Opozycja budzi z odrętwienia, kontroluje nasze czyny, każe czuwać sumieniom, reakcję w akcję zamienia. Socjaliści, gdyby ich celem była wyłącznie miłość robotnika i dbałość o jego losy, Wyzwolenie, gdyby chciało jedynie polepszyć dolę wieśniaka, stronnictwa takie byłyby dobrodziejstwem, bo przeciwwagą egoizmu klas posiadających i wędzidłem despotycznych rządów kapitału; pomagałyby w jego dążeniu do sprawiedliwości społecznej. Niestety jednak, prócz tych haseł oficjalnych... reklamowych, nasza opozycja lewicowa dowodzi słowem i czynem, że jest wrogiem Boga, religji, etyki chrześcijańskiej, ojczyzny, rodziny.

Te ujemne cechy każą nam, katolikom, patrzeć sceptycznie także na szczerść ich postulatów społecznych, bo kto cierpiącemu ludowi odejmie wiarę, wykradnie Boga z piersi i nadzieję nagrody wiecznej, ten go nie zбоgaci, nie uszczęśliwi, ale owszem pozbawi spokoju, cierpliwości i wszelkiej pociechy. Więc niech Pan Bóg broni, by ta mniejszość, przez naszą apatję, tchórz-

stwo, brak cywilnej odwagi rej wodziła, byśmy pod jej dyktandem pisali prawa dla katolickiej ludności.

Dokąd nasza ustępliwość prowadzi, niech nas nauczy historia i losy sąsiadów, a pilną potrzebą jest dla nas nauka, bo zieloną granicą przechodzą emisariusze, pieniądze, dyrektywy i inspiracje, bo do tego kraju wyjechała deputacja od naszej lewicy sejmowej po instrukcje. Wróciła ona jeszcze bardziej uświadomiona, jak się rozprzęga wszelkie węzły społeczne, jak kala gniazdo rodzinne, jak wyrzeka się opieki nad dzieckiem, powróciła do pracy sejmowej z nową gorliwością i wiedzą, jak nierząd uczynić obowiązującym. Tak stanie się, jeśli katolicy się nie ockną.

Niech sowiecka Rosja, która podjęła się edukacji naszej lewicy, nauczy też czegoś prawicę sejmową. Ponieważ żydowski bolszewizm ma na celu obrócić w gruzy wszystko to, co wniosło chrześcijaństwo, intuicyjnie wiedział od czego zacząć i pierwszą nowelą prawa, skodyfikowaną po ustaleniu rządów sowieckich, było prawo małżeńskie. Nie mogę nużyć i nie chcę wstępu sprawić słuchaczom czytaniem tego kodeksu nierządu. Odczytam tylko ustępy z przedmowy autora, bo z niej wyziera, nie tyle to, co kodeks postanawia, ile to, do czego dąży. Oby sejm i senat przed zatwierdzeniem podanego mu projektu prawa o rozwodach mógł zapoznać się z tym wstępem do noweli bolszewickiej, możeby posłom i senatorom opadły łuski z powiek, możeby zrozumieli skąd komisja kondyfikacyjna czerpała natchnienie, jaki jest cel tego prawa.

Oto krótki wyciąg przedmowy, podpisany przez Aleksandra Chojchberga, jednego z autorów noweli: »W czasie dyskusyj, powstałych przy czytaniu tego projektu, musieliśmy wysłuchać niejednych słusznych zarzutów. Jakto... registracja małżeństw, małżeństwo oficjalne, mówiono z oburzeniem — i to nazywacie socjalizacją. Przy socjalistycznym ustroju wiązać mężczyznę z kobietą — to absurd.

Uznając słuszność tego zapatrywania, musieliśmy zwrócić uwagę oponentów na konieczność tego przejściowego stanu. Postanowiliśmy pozbawić Kościół przywileju, który posiadał, ale nie chcemy gwałcić sumienia jednostek. Usunięcie kultu nie powinno być dokonane siłą brutalną. Zostawić trzeba tym, którym o to chodzi, prawo zawierać małżeństwo przed księdzem. Ale małżeństwo kościelne, pozostawione bez żadnej konkurencji, mia-

łoby za wielki urok. Ustanowione dla ludzi o przesądach religijnych, kusiłoby i ściągało do kościoła, jakby do pułapki, ludzi o przekonaniach świeckich, gdyby dla tych ostatnich nie stworzyć konkurencyjnych małżeństw cywilnych.

Gdyby ustrój socjalistyczny miał już u nas głębsze korzenie, obowiązek wychowania dzieci ciążyłby na społeczeństwie, nie obarczając rodziców. Ale mamy do czynienia z ledwo narodowym socjalizmem, rodzina jeszcze istnieje i organizacja opieki nad dziećmi ledwo rozpoczęta u nas, a już w pierwszych swoich krokach ujawniła swą wyższość nad ogłupiającą i niekonsekwentną opieką rodziny i niema wątpliwości, że ojcowie w przyszłości patrzyć będą z pogardą na tę miłość ciasną, maniacką, gderliwą, którą dawniej rodzice zamęczali swoje potomstwo.

Ponieważ małżeństwo, tak zwane »legalnie zawarte«, nie ma żadnego przywileju nad wolnymi związkami, ponieważ te, jak i tamte związki rozwiązać można równie łatwo, ponieważ tak mężczyzna, jak kobieta, są w nich najzupełniej równi w prawach czyli woli, ponieważ cel tych związków nie jest, jak dawniej... rodzenie potomstwa i nie nakłada obowiązku mężowi iść za żoną, ani żonie iść za mężem, ponieważ prawo przewiduje (art. 140) dzieci żony, bez udziału męża, słowa: cudzołożne, naturalne, legalne tracą wszelkie znaczenie. Wszystkie te liberalne poglądy muszą w najbliższym czasie zniweczyć nie tylko rodzinę, ale nawet rozumienie pojęcia rodziny«.

Na tem kończę cytate. Przepraszam za przykrość, którą ona sprawić musiała. Ujawnić te obrzydliwe myśli uważałem za swój obowiązek, a ich brzydota sama zmniejsza niebezpieczeństwo: nie skuszą one nikogo z nas. Zastanówmy się jednak, że prawo takie jest rozumną i logiczną konsekwencją umysłu człowieka, który się wyrzekł wiary i religji. Kto w Boga, nieśmiertelność duszy nie wierzy, dla tego indywidualizm, najdalej posunięty, jest prosto postulatem rozsądku. »Użyjmy żywota, wszak żyjem tylko raz« i to tak krótko. Wychylić trzeba do dna czarę rozkoszy, użyć wszystkiego, nie stracić ani jednej chwili, ani jednej okazji, choćby przyszło deptać po sercu żony, poświęcić dzieci, zdradzić Ojczyznę. Co mi rodzice, dzieci, krewni, kraj! Ja jestem sobie jedynaczek. Ja muszę być szczęśliwym, sytym, zadowolonym, a świat cały służyć mi powinien za podnózek, lub za trampolinę.

To jest społeczne *credo*, pod wpływem którego wczoraj jeszcze potężna Rosja zamieniła się w siedlisko nędzy i zbrodni. Bolszewizm nas brzydzi dzisiaj, ale nie spostrzegamy, że socjalizm i Wyzwolenie to prolog do bolszewizmu i tem właśnie niebezpieczne, że nie wywołują u nas dość silnej reakcji, nie budzą naszej czujności, choć dążą do tego samego celu.

Mówią, że gdzie djabeł nic wskórać nie może, tam pośle kobietę i w tem jest dowód roztropności jego i doświadczenia, bo któżby djabeł usłuchał — zbyt jest brzydkim i odrażającym. Któżby z nas usłuchał Trockiego, czy Nachamkiesa, ale Wyzwolenie, ale socjalizm u nas przewodzi i rej wodzi, wmawiając, że to są partje polskie. Z ich to właśnie kuźni wyjdzie ten młot, który ma zburzyć ustrój społeczny Polski... Oni dziś kują prawo rozwodowe.

Czasem socjaliści są bardziej szczerzy i wtedy mniej niebezpieczni. Jules Guesde mówił o socjalizmie, do którego należał, że to jest partja brzucha, a Bebel, szef socjalistów niemieckich, tak się wyraża: »Mężczyzna i kobieta są przecież zwierzętami; jakże może być mowa o nierozzerwalności więzów ślubnych między zwierzętami?«

Nasi prawodawcy, patrząc na świat pod równie ostrym kątem, zapoznają wszelkie prawa etyczne, wszelkie wymogi duchowe ludzkości, a dbają tylko o biologiczne i materialne warunki, jakby chodziło o zwierzęta, a nie o ludzi z duszą nieśmiertelną.

Jest rzeczą niesłychaną, że litość nad ofiarami źle dobranych małżeństw u tych filantropów znika odrazu, kiedy chodzi o los ofiar rozwodu, tych sierot za życia rodziców, małych dzieci, których nikt nie kocha. Zatem to nie filantropi, tylko faryzeusze. Dlatego tracą całą czułość serca, gdy chodzi o dzieci, bo dziecko w tych dyskusjach nie zabierze głosu, nie zawstydy projektodawcę-krzywdziela, a on, schlebując namiętnościom ludzi dojrzałych, łatwiej zrobi karierę polityczną, niż opiekując się tymi, którzy jeszcze nie głosują.

Wróćmy do tematu zasadniczego: prawo o małżeństwach cywilnych jest występkiem przeciwko państwu.

Chociaż miłość jest najistotniejszą spójnią państwową, to nie godzi się jednak lekceważyć ani pomyślnych konjunktur politycznych zewnętrznych, ani koniecznej potrzeby karności wewnętrznej.

Jednym z tych niezliczonych i cudownych objawów opieki Bożej nad zmartwychwstałą Polską, była obecność w Warszawie pierwszego po 100-letniej przerwie Nuncjusza papieskiego, Mgr. Ratti'ego, który z nami przeżywał tak tragiczne chwile, dzielił troski, obecnością i odwagą własną krzepił nadzieję, który nas serdecznie pokochał, w stolicy Polski, z rąk naszych biskupów przyjął święcenia arcypasterskie, a dziś panuje nad całym światem katolickim. Ten wypróbowany przyjaciel katolickiej Polski dbał o to, by Stolica Święta ze wskrzeszoną Polską pierwszy po wojnie zawarła sojusz i, przez podpisanie konkordatu, Ojczyzna nasza zajęła w świecie katolickim należne jej i tradycyjne stanowisko.

Wiemy wszyscy, z jaką wyrozumiałością dla potrzeb finansowych i konieczności politycznych naszej Ojczyzny, traktowała Kurja papieska z rządem polskim, ile ofiar w materialnej i administracyjnej dziedzinie poniósł Kościół polski na dobro państwa, ile kredytu moralnego udzielono p. Ministrowi wyznań, ufając, że wszelkie ustępstwa i niedomówienia nie przyniosą szkody Kościołowi w dziedzinie dogmatycznej, w której Stolica święta ustępować nie ma prawa. Dziś, gdyby prawo małżeńskie w projektowanej formie przeszło, byłoby to oczywistą zdradą zaufania, odpłaceniem się niewdzięcznością za miłość, byłoby to wypowiedzeniem wojny Kościołowi, czyli wielką głupotą i groźnem niebezpieczeństwem, bo wojny z Kościołem jeszcze nikt nie wygrał. Spada z konia Szaweł, spieszący prześladować wyznawców Chrystusa. Pada Imperjum rzymskie przy zetknięciu z rybakami z Galilei; Henryk IV, cesarz niemiecki i Wilhelm i genialny Bismark idą do Kanossy; prawa majowe, mające wytepić katolicyzm, nowym blaskiem okrywają Kościół, a wrogom jego przynoszą upokorzenia. Kościół katolicki przetrwał zwycięsko prześladowania Aleksandrów i Mikołajów, tych prawowitych następców Iwana Groźnego, tem łatwiej mu przyjdzie pokonać naszych liliputów, których brak kultury duchowej skusił do podjęcia nierównej walki, którzy nie miarkują, że nie Kościół potrzebuje zasługiwać się Polsce, ale Polska niezbędnie potrzebuje opieki i kierunku Kościoła, bo bez niego zmyli drogę i nie wypełni swojej dziejowej misji. Wiek XVIII był w Polsce wiekiem rozwodów, a u schyłku tegoż stulecia nastąpił rozbiór Polski. Rozwód — rozbiór... pokrewieństwo tych słów nie tylko etymologiczne.

Ale drugie jeszcze tej wojny niebezpieczeństwo, a mianowicie rozluźnienie dyscypliny społecznej przez upadek moralności. Posłuchajmy co mówi w Encyklice o małżeństwie Leon XIII, przed którego rozumem świat cały nawet niekatolicki z szacunkiem uchylał głowę: »Nic tak nie niszczy rodziny, nic tak nie podkopuje istnienia najpotężniejszych królestw i państw, jak zepsute obyczaje. Rozwód, ten objaw rozwiązłości w życiu narodów, jest najgorszym wrogiem rodziny i państwa, bo otwiera szeroko wrota, jak nas poucza doświadczenie, przewrotnym obyczajom w prywatnym jak i publicznym życiu«.

Sądzę, że to orzeczenie powinno być dla katolików polskich wystarczającym argumentem. A jednak, mówiąc o osłabieniu potęgi państwowej, mam na widoku groźniejsze, bo natychmiastowe niebezpieczeństwo, które ujawnić się może w sam dzień ogłoszenia prawa. Prawo musi być szanowane, właśnie i szczególnie przez katolików, którzy wiedzą, że wszelka władza od Boga dana, jeśli nawet nie jest ona emanacją woli Bożej, to jest zawsze z Bożego dopuszczenia. Katolicy zatem mogą cierpliwie i posłusznie znosić i rzeczywiście znoszą najniemoralniejsze prawa, patrzą na bezład rządu, na bezład władzy, na krzywdy i niesprawiedliwości, bo sądzą, że na te biedy widać zasłużyli.

Ale inaczej na rząd i na swoje względem niego obowiązki patrzeć będą, kiedy on świętokradzką rękę podniesie na prawo Boże w katolickiej Polsce. Bo nad panem premierem czy p. ministrem wyznań mamy Królowę naszą Częstochowską, Ona jest Patronką rodzin naszych i Jej nad nami opieki, dla przypodobania się panu profesorowi Allerhand et C-ie, wyrzec się nie chcemy.

Montalembert tak mówi: »Apostołowie i wyznawcy pierwszych wieków chrześcijaństwa, pomni na słowa swojego Mistrza, wiedzieli, że lepiej jest słuchać Boga, niż ludzi i nie uznali władzy, gwałcącej ich sumienia. A czem bylibyśmy dziś, gdyby się oni byli poddali socjalnym przepisom ówczesnym?« Dziś rząd słucha lewicy tylko dlatego, że jest ona harda i niesforna, że jest bezczelna i krzykliwa, ale jutro katolicka większość narodu przypomni sejmowi jego obowiązki i sejm stanie w obronie prawa Bożego, honoru i szczęścia narodu, albo będzie rozpedzony.

Prof. Gołąb, autor komentarzy do noweli o prawie małżeńskim sądzi, że dowcipny, kiedy tak mówi: »Projekt prawa

o małżeństwie spotka się zapewne ze sprzeciwem Kurji rzymskiej, jako niezgodny ze 114 artykułem konkordatu, bo Kościół rzymsko-katolicki rządzi się własnymi prawami, ale tembardziej, w myśl konstytucji, rządzi się niemi Polska. Rządzić się nie znaczy jeszcze wcale rządzić innymi, tem mniej Polską«. Ma zupełną słuszość pan profesor, bo i on naprzykład, jeśli rządzi się etyką antykatolicką, to nie dowód jeszcze, że ma prawo rządzić nią w katolickiej Polsce. Tego prawa stanowczo mu odmawiamy. Jaki to nietakt, jaka niedelikatność, żeby ludzie niereligijni mieszczeni się w Polsce do spraw z religją tak ściśle związanych. Co za śmiałość tych ateuszów gospodarować w sumieniu polskim. Ma się ochotę krzyknąć: »precz z rękami!« Polska jest wysoko tolerancyjna dla wszystkich wyznań i narodowości, ale ma prawo wymagać tolerancji dla swego obyczaju i religji, ma prawo żądać, by katolicy dla niej pisali prawa, a nie panowie Allerhandy, Konice, Gołąb i Lutostański.

Nierozzerwalność małżeństwa i jego sakramentalny charakter, zależnie od tego, czy zabezpieczonym będzie przez prawo, czy też przez prawo podkopanym i obalonym, zapewni dobrą dolę, lub przygotowuje upadek państwa. Do twierdzy cnoty i ładu społecznego, jaką jest rodzina, wrogowie państwa odtrąbili szturm. Wszyscy zatem musimy biec na szaniec, bo wrogów sam szatan prowadzi.

Ale nasza Królowa nie pierwszy raz z nim się spotyka, a każde spotkanie zwyciężką dla Niej było.

Mamy szczęście posiadać bogobojnego Prezydenta,¹ a chociaż odarto jego urząd z władzy, znajdzie jej dosyć w ogólnym szacunku, jakim osoba jego jest otoczona i nie pozwoli, by epoka, w której On jest przedstawicielem narodu, splamiła się haniebnym odstępstwem Polski od prawa Bożego.

Premjer nasz i ministrowie szczęśliwi będą, kiedy im damy możliwość kroczenia śmiało na czele narodu dla spełnienia jego woli. Oni, którzy tak często z powodu naszej bierności, wstrzeźmiwości, zmuszeni byli nie naprzód iść, ale się cofać przed »burzą ze Wschodu«.

Pomogą nam kapłani na ambonach i w konfesjonałach, tło-

1. Mówione było przed przewrotem majowym.

macząc ludowi, jaka krzywda grozi Kościołowi i państwu. Ufamy w pomoc Związków katolickich i narodowych kobiet, bo chociaż nie zawsze prawdziwym jest francuskie przysłowie, głoszące: »czego kobieta, tego i Bóg chce«, ale prawdą jest, na nasze szczęście, że w Polsce, czego Bóg chce, tego i kobieta pragnie. Pomoże nam prasa uczciwa, pomoże »Odrodzenie«, ta dzielna organizacja katolickiej młodzieży akademickiej, która nieraz zawstydza starszą generację siłą swej wiary i gorliwością swej pracy. Sodalicje Marjańskie, Konfraternia Literacka, wszystkie Stowarzyszenia narodowe... wszyscy zjednoczyć się musimy w obronie państwa i praw Bożych. Walczyć trzeba do zwycięstwa z tymi, już dziś aż do zbytku rozzuchwalonemi wpływami anarchji bolszewickiej.

Mówiliśmy o smutnym stanie Francji, o wstrętnym widoku Rosji, jako o skutkach w tych krajach bezbożnego prawodawstwa. To są przygnębiające myśli, a nam trzeba dzisiaj krzepiących widoków i pięknych przykładów. Patrzymy na Włochy. W 1870 roku, kiedy jedność Italji została ogłoszona, odebrano papieżowi Rzym, w tem przekonaniu, że dwóch panów w tej stolicy być nie może, że władza papieska uwłacza i przyćmiewa władzę królewską i papież stał się więźniem Watykanu, aby Kwirynał zyskał większy splendor, by zjednoczeniu Włoch nic już nie stało na przeszkodzie. Ale się przeliczono. Rzym papieży pozostał, jak nim był od wieków, stolicą świata. Watykan to gmach frontowy w tej *Roma aeterna*, a król włoski w Kwirynale mieszkał, jakby w oficynie i dziwnie podrzędną odgrywał rolę. Taką rolę wśród narodów świata odgrywały i Włochy, a co do zjednoczenia, było ono tylko na papierze, bo w rzeczywistości rozdarte było to państwo w sobie, pełne niesnasek, intryg, zamachów i walk wewnętrznych. Aż zjawił się człowiek, który zrozumiał, jaka droga prowadzi do spokoju, ładu, jedności, do wielkości Włoch i ten socjalista — poszedł do Kanossy. Przekonał się, że religja dla włoskiej krainy jest nietylko jej siłą wewnętrzną, ale, że wobec świata całego daje jej tytuł zasług i wielkości, usprawiedliwia najśmielszą ambicję tego szlachetnego narodu i ten rewolucjonista wczorajszy zażądał, by dniem święta narodowego Włoch była rocznica urodzin — nie Machiawela, ani Garibaldięgo, ale św. Franciszka z Assyżu. Genjalny ten wódz narodu zrozumiał, że

na to, by królowi swojemu miał prawo włożyć na głowę koronę rzymskich cesarzy, musi wprawdzie uzyskać zgodę i błogosławieństwo Namiestnika Chrystusowego. I cóż się dzieje? Wszystko, co masońskie i co socjalistyczne rządy zburzyły, on odbudowuje, prawa antykościelne znosi, przywileje religji przywraca, pornografię i cynizm prostytutki wymiata z ulic Rzymu, w parę lat uzdrawia finanse, ustala władzę, zyskuje miłość narodu i szacunek świata. Jaka jest przyczyna tego powodzenia?

Mussolini jest tylko godnym przedstawicielem genjuszu narodowego, spadkobiercą najszlachetniejszych i, za przykładem Konstantyna Wielkiego, postanowił ten Rzymianin Krzyż zatknąć na Kapitolu, Krzyż przywrócić na dawne miejsce w Koloseum, krzyże zawiesić w każdej szkole. Trudno było opanować bezład i anarchję, która rozgościła się we Włoszech po wojnie, ale on przypomniał sobie, że w Krzyżu zwycięstwo i zwyciężył. Tak postąpił Mussolini, a my Krzyż musieliśmy chyłkiem przemycić do antykamery sejmowej, a nawet na grób Nieznanego Żołnierza, bo to podobno mogło rozdrażnić uczucia mniejszości.

Małżeństwo katolickie, to połączenie miłości i poświęcenia. Najwspanialszym symbolem poświęcenia z miłości jest Krzyż Chrystusowy. Ci, którzy chcą pozbawić małżeństwo sakramentalnego charakteru, pracują nad wprowadzeniem rozwodów, to wrogowie Boga w rodzinie. Chcą oni obalić Krzyż w Polsce, ten Krzyż, który na ziemi naszej postawili Mieczysław i Dąbrówka, który Jadwiga zaniósła we wianie Litwinom, którego przodkowie nasi bronili pod Lignicą, Sokalem, Cecorą, pod Chocimem i Wiedniem, dla którego chłop podlaski i ludność Kroż zносиła męczeństwo.

Dawniej, kiedy wrogowie wiary nadciągali ze Wschodu, łuny pożarów zwiastowały zbliżanie się tych hord niszczycielskich i wtedy na okrzyk: »Do broni, kto w Boga wierzy« cała Polska stawała pod chorągwie pospolitego ruszenia.

Dziś wróg jest groźniejszy, bo podszedł z nienacką, zdradliwie i już jest w murach naszego sejmu. Komisja kodyfikacyjna prawa o rozwodach — to koń trojański w twierdzy naszego rodzinnego szczęścia, naszej spójni państwowej, naszej żywotności narodowej.

Czego nie zdołali, czego nie ośmielili się zburzyć w Polsce

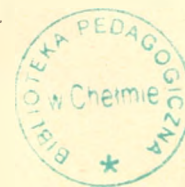
Murawiewy i Hurki, Apuchtiny i Eulogjusze, tego dokonać chcą odważniejsi i, jak widać, zawziętsi wrogowie wiary naszej, panowie Lutostański i Gołąb, Konic i Allerhand. Chcą oni dusze nasze zatruć, gniazda rodzinne zburzyć i splugawić, chcą Polskę wyludnić.

Ogłaszamy dziś pospolite ruszenie w obronie wiary Ojców i szczęścia Ojczyzny. Z nami, kto w Boga wierzy!



SPIS RZECZY.

	Str.
Od Wydawnictwa	7
Do Czytelnika	8
Pierwsze przemówienie, jako prezesa Towarzystwa im. Piotra Skargi w 1921 roku	13
Przemówienie na pierwszym organizacyjnym zebraniu Zjazdu Katolickiego w Warszawie 23 stycznia 1921 r.	16
O potrzebie Dziennika Katolickiego	23
Przemówienie przy otwarciu pierwszego Zjazdu katolickiego w Warszawie 6 września 1921 r.	30
Katolicyzm a moralna odbudowa Polski	33
Gazy trujące, a trucie sumień własnych	48
O potrzebie stronnictwa zachowawczego	54
Wychowanie i oświata	62
W 300 rocznicę męczeństwa św. Jozafata Kuncewicza	81
Przeciw filmom tak zwanym naukowym	95
Charakter	99
Kazanie Skargi o niezgodzie domowej a chwila obecna	119
Chrystus zwycięża	131
Rodzina	144
Młodości! Ty nad poziomy wylatuj!	162
O rozwodach w Polsce	172
Moralność katolicka w życiu publicznym i prywatnym	181
Śluby cywilne i rozwody, jako bezprawie przeciwko Państwu	196







10081931

BIBLIOTEKA PEDAGOGICZNA
W CHEŁMIE

CZYTELNIA

SOB
ODR

2